

67.

DRUGI TOM POWIEŚCI.



CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.

<http://rcin.org.pl>

DRUGI TOM.

POWIEŚĆ.

Podał do druku

Pauli Kowski, Mieczysław

AUTOR „PLOTOK I PRAWD“.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW.

Nakład Wydawn. „Nowej Reformy“.

1885.

<http://rcin.org.pl>



W S T Ę P.

Rzecz dzieje się w Tatrach.

Wycieczka z Zakopanego do Szmeksu wózkami góralskimi. — Czterech mężczyzn, cztery panie.

Popas w jaworzyńskiej karczynie, popas — dwudniowy.

Deszcz leje jak z cebra. Lał wczoraj od południa przez dzień cały, ustał w nocy, leje teraz od rana. Wyruszyć w dalszą drogę niepodobna.

Zerwał się wiatr i dzwoni nawałnicą w szyby. Okna źle zaopatrzone; przez szpary ram nieprzystających do futryny, przecieka woda, rozlewa się po przymurku, kapie na podłogę. Po nierównych deskach podłogi, nieułożonych według wagomiaru, sączy się strumyczek coraz dalej; to staje się coraz szerszym, natrafiwszy na jakąś przeszkodę, to wzbiera i toruje sobie przejście między sosnowemi sękami — i wije się tak wężykiem niepostrzeżenie, aż...

Aż co? Aż natrafił na jakąś przeszkodę, olbrzymią dla siebie — choć w rzeczy samej maluchną, przeszkodę wszelako nieprzepartą dla jego prądu, a nie chcąc zmieniać widocznie kierunku, zamiast ją ominąć... wsiąkać w nią zaczął...

Co to było?... Był to, powiem bez ogródki... prunełowy bucik ślicznej pani Katarzyny, najmilszej towarzyszki naszej niefortunnej wyprawy.

— Fe, fe! — i pani Katarzyna skoczyła, jak spłoszona sarneczka, na środek izby, a całe nasze towarzystwo podróżne, milczące i skwaszone niepogodą, wybuchnęło nagle pustym śmiechem.

— Mógłbyś pan przecież uważać, panie Władysławie! zwróciła się pani Katarzyna, z wyrzutem pół-seryo, pół-żartem, do młodego, przystojnego szatyna, który zamiast zawrócić naszej wesołości, dziwnie tą przygodą młodej wdówki, zdawał się zakłopotanym.

— Ja pani?... Prawdziwie...

— „Prawdziwie...” — powtórzyła, wydrzeźniając pani Katarzyna. — A przecież widzę, że pan ciągle patrzysz w tę stronę, na *nurty* tego uroczego *ruczaju*. Mogłeś mnie pan przestrzedz!

I tu przytupnęła maluchną nóżką, — nie wiem, czy chcąc wodę otrzepać z bucika, czy też, aby więcej powagi dodać swoim wyrazom. Władysław stał zdekongertowany, jak student, który lekeyi zapomniał.

— Czemuż pan nie nie mówisz? — pastwiła się nad pokonanym poetą wdówka. — Czy pan wiersz jaki układasz o tym *ruczaju*?

— Nie, pani — wtrąciłem. — On oniemiał ze szczęścia.

Władysław gorzko się uśmiechnął; jak wszyscy bowiem zakochani poeci, nie chciał uwierzyć swemu szczęściu, o którym już wiedziało całe kąpielowe towarzystwo szczeniackie i połowa gości w Zakopanem, na Krupówkach i Kasprusiowej. On jeden nie wiedział, że jest kochany.

— „Ze szczęścia?...” — powtórzyła z udaniem zdziwieniem pani Katarzyna, susząc nie bez kokieteryi swoją nóżkę przy kominku, na którym kazaliśmy zapalić ogień.

— Tak. Czuje się zaszczyconym niespodziewanie wysokim urzędem, któryś mu pani powierzyć raczyła.

— Ja? jakim urzędem?

— Pilnowania bucika pani.

Pani Katarzyna pokraśniała, jak czternastoletnie dziewczę. Władysławowi zaświeciły się oczy, jak wiejskiemu pacholęciu, na widok czerwonego jabłka.

— I panu nadam urząd — zwróciła się do mnie z przekazem. — Dopóki deszcz nie przestanie padać i nie wyruszymy z tej karczmy, będziesz pan bożkiem... milczenia.

— Momusem? czy może Momusem Żółtkowskiego?

— Nie, milczącym.

— Ha, i milczenie czasem jest wymownem — odrzekłem. — Ot, na przykład...

Władysław skoczył nagle ku kominkowi:

— Na Boga, pani się zapalisz!

— Aa, przecież pan spostrzegłeś! Nie boj się pan — ja nie ze słomy.

Władysław westchnął.

— Słomiany ogień prędko się zapala, prędko gaśnie — dodałem — ale...

— Pan zapominasz, że jesteś Bożkiem Milczenia.

— Rezygnuję z tego urzędu, podaję się do dymisji! Któż będzie mówić, jak ja zamilknę? Wszyscy państwo daliście sobie hasło milczenia. Głucha cisza. Słychać tylko ciosy wymierzane przez panią na bezbronnych i jęki rannych... Ja jeden mam odwagę mówić jeszcze wobec grozy położenia... Czy i panie także każą mi milczeć? — dorzuciłem, zwracając się do reszty towarzystwa.

— Nie, nie! — zawołały chórem, urocza lwowianka, pani Wanda, nadobna warszawianka, pani Teofila i jej siostra, pani Leonowa, najznakomitsza w tym sezonie turystka tatrzańska.

— Nie, nie! — powtórzył zachrypłym głosem srodze zakatarzony pan Leon, który z nudów grał z panem Hieronimem w *chapankę*

— Ho, nie! — zahuczał basem p. Hieronim.

— Czy tak? pięknie! Wszyscyście państwo przeciwko mnie? dziękuję! — zaszezebiotała, oddając głęboki ukłon towarzystwu, pani Katarzyna. *Nec Hercules*... panie Władysławie, jak to się mówi?

— *Nec Hercules contra plures.*

— Tak, tak. *Plures*. Ale przyznajcie państwo, że kto nas namówił na tę niefortunną wycieczkę do Szmeksu, zasługuje na jakąś karę?

— Czy zasługuję na karę? Sądź pan, panie Władysławie! — odparłem w własnej obronie.

— Pan nie masz głosu, panie kwatermistrzu! (tak mnie tytułowała pani Katarzyna w ciągu tej wycieczki). Dwa dni siedzieć w Jaworzynie! w takiej Jaworzynie! i nie móż się ruszyć ani naprzód, ani z powrotem do Zakopanego... ah, to okropne!

— Takie nudy! — uzalała się pani Leonowa.

— Nam nie nudno w towarzystwie pań! — odezwał się jej małżonek z afektowaną galanterią.

— A jednak grasz serce w *chapankę*. Już to nie dowodzi, abyś się bardzo bawił.

— Bądźmy szczerzy moi państwo — rozsądziła pani Teofila, ale i w najmiłszym towarzystwie trudno się tu dobrze bawić. A jeszcze na domiar jutro święto i nie będziemy w kościele.

— I na nieszczęście nie wzięliśmy z sobą ani książek, ani robotki! — odezwała się pani Wanda przeciągłym lwowskim akcentem.

— Nawet talii kart preferansowych dostać *mościdgeju* niemożna! lamentował basem jej długowąsy małżonek, pan Hieronim: tylko *mościdgeju* te *taroki* węgierskie z obrazkami.

— A co za jedzenie madziarskie! — dorzucił p. Leon kichając. Wszystko z papryką! usta wykrzywia!... I kichnął raz jeszcze.

— Widzisz pan! — zakonkludowała wdówka, obracając się ku mnie: wywozłeś nas pan z Zakopanego, gdzieś się nienajgorzej bawili, przyjechaliliśmy tu wczoraj przemoknięci do nitki, siedzimy dwa dni w tej jaskini, kichamy bez przestanku, papryka wykrzywia nam usta, nudy koronne, nie wzięliśmy z sobą ani szydełka do haftowania, ani igielki, ani drutów do robienia pończochy, ani *Złotego Olta-*

rzyka, ani kart preferansowych... a to wszystko winniśmy panu, panu, i jeszcze raz panu!... aaa i pańskiemu przyjacielowi panu Władysławowi...

— Mnie? — tłumaczył się Władysław. Wszakże ja przestrzegalem, że będzie burza!

— I po dwakroć wieszczu, sprawdziło się twoje prośectwo! — dorzuciłem. Nawałnica na dworze, a gromy padają w pokoju...

— A więc za karę wymyście panowie jaką zabawę.

— Nic łatwiejszego! — odrzekłem. Proponuję zatem, bawmy się... bawmy się...

— W co?

— W *chowanego*: ot np. pani się schowa, a pan Wła...

Śmiech ogólny i wykrzyki oburzenia pań nie dozwoliły mi dokończyć.

— A potem pan Władysław się schowa, a...

Nie śmiałem dokończyć, bo pani Katarzyna tak na mnie spojrzała, jakby na prawdę miała się pogniewać.

— Nie? a więc... w *kotka i myszkę*? — i spojrzałem na panią Katarzynę. — A może w *pierścionek*?

— Eh! cóż to, pan nas masz za dzieci?

— Broń Boże! Cóż poważniejszego jak *pierścionek*! Nie sądzisz Władysławie?

— Dałbyś pokój!... szepnął Władysław, widząc, że jego ubóstwionej te żarty nie w smak idą.

— A więc rozprawiamy o przyczynach psucia się kartofli, o rośnieniu lnu, o robieniu pudrety...

— Fe, fe!

— Pan Leon zaśpiewa nam tę aryę z Fausta, którąśmy słyszeli na Miodziusiu. Nucił ją wczoraj wyjeżdżając z Zakopanego.

W odpowiedzi pan Leon kichnął trzy razy raz po razu.

— Pani będziesz przebierać po stole palcami, udając, że grasz na fortepianie, a my będziemy udawać, że tańczymy...

— Ach! gdyby tu był fortepian — niech leje deszcz cały tydzień! — odezwał się muzykalny pan Leon. I zręcznie podbiwszy „chapankę“, ściągnął kilkanaście centów ze stołu.

— Gdybyś pani grała to preludjum Szopena — rzekł Władysław — możnaby lata przemarzyć.

— Lata? ile lat? — zaśmiała się wdówka.

— Wieczność całą! Ile razy o tem preludjum pomyśle, zdaje mi się, że słyszę panią grającą. Nie zdaje mi się, ale słyszę.

— Hu! hu! zaśmiał się grubym głosem pan Hieronim: *przez imaginację na koronację!*

— Ale Władysław patrzył znacząco w oczy pani Katarzyny. Z tem preludjum szopenowskiem łączyło się widocznie jakieś wspomnienie miłe dla obojga, bo i pani Katarzyna żartować przestała.

— Czytajmy może co — zaśpiewała po lwowsku pani Wanda.

— Kiedy nie mamy — odparła wdówka, otrząsając się z zadumy. Czy nie masz pan ani jednej książki w tym swoim dużym kuferku, panie Władysławie?

— Mam kilka książek naukowych polskich, któreby panie nie zabawiły — i mam Szekspira, ale w oryginale, a panie, po angielsku nie czytają.

— I pocóż pan tyle książek z sobą wozisz?

— Wszak pani wiadomo, że ze Szmeksu miałem pojechać na kilka tygodni do mej ciotki, zamężnej w Węgrzech.

— A powieści pan jakiej nie masz?

— Żadnej — odrzekł Władysław — i dodał po chwili wahania: chyba moją własną, nieskończoną.

— Własną? jako? pan piszesz powieści? A to dawaj pan, daj ją pan zaraz! — z nietajoną radością zawołała pani Katarzyna, klaszcząc w ręce i rumieniąc się po same oczy.

Władysław spojrział na nią i snadź zrozumiał, że nie jest jej obojętnym, bo także poczerwieniał na twarzy i jak

dziecko poskoczył do swego kufierka, szczęśliwszy, niż gdyby mu za powieść złote wypłacono honorarium.

Scena ta była w rzeczy samej bardzo śmieszną. Pan Hieronim zaśmiał się grubym głosem, zawtórzyl mu pan Leon, pani Leonowa; pani Wanda chichotała najszczerzej, a pani Teofila przez zbytek delikatności tłumiała śmiech, jak mogła. Na mojej twarzy widocznie osiadł jakiś dwuznaczny wyraz, który najsrożej rozgniewał panią Katarzynę, bo piękna wdówka, której śmiechy nie raziły, spojrzawszy na mnie, przegryzła wargę i z kwaśną minką usiadła w fotelu. Widocznie czuła się srodze skompromitowaną i postanowiła się zemścić — ale czy na mnie, czy na Władysławie, trudno było odgadnąć. Zakochane panie, za wszystkie przykrości, które im świat wyrządzi z powodu ich miłości, zwykły się mścić na tym, który im najmilszy: mogło się zatem skrUPIć tym razem na Władysławie za uśmiech ironiczny, dostrzeżony na mojej twarzy.

I stało się tak w samej rzeczy.

Władysław rozłożył gruby plik papierów na stole i zapytał:

— A więc, pozwalacie państwo?

— Prosimy! prosimy!

— Słuchamy — dodała pani Katarzyna obojętnie, układając kapryśno-znudzoną minkę do źle niby ukrytego ziewnięcia. I oparła się o poręcz fotelu, jakby czyniąc przygotowania do drzemki.

Panie zasiadły na kanapie, ja bliżej kominka. Pan Hieronim zgarnął do kieszeni kilkadziesiąt centów wygranych w „chapankę“ od pana Leona, który z białą o kraciastych brzegach chustką przed nosem, przygotowywał się do słuchania. Obaj usiedli przy krągłym stole.

Władysław zaczął czytać.

— „Szeroką, topolami wysadzaną drogą pomykały żwawo ręce taranty, ciągnąc nowiutką, elegancką karyolkę. W powozie dwóch mężczyzn. Starzec ogorzalej twarzy, o po-

oranem brózdami czole, brwiach krzaczystych i sumiastych, siwych wąsach, z po-za których smętny, a dziwnej łagodności wychylał się uśmiech. Obok niego przystojny, może dwudziestoletni młodzieniec, z wyrazem twarzy, który mimo zdrowej jego cery i krępej postaci dozwalał się w nim domyślać poetę, muzyka lub marzyciela. — Obaj podróżni w żywej przed chwilą pograżeni rozmowie, rozbiegać się teraz zdają myślami. Młodzian z wzrastającym roztargnieniem słucha wywodów towarzysza, spogląda po raz dziesiąty na zegarek i nagli furmana do pośpiechu. Zdała, po nad gęstym kłębem drzew ogrodowych, rysuje się na niebie coraz wyraźniej starożytna baszta wartyneckiego dworu. — W szerokich jej oknach połyskuje odbłask zachodzącego słońca.

— „Mój drogi, rzekł starzec, kończąc przerwane uwagi — mylisz się. Honor i uczciwość, to dwa odrębne światy, które nie wiele mają zasad wspólnych, a częstokroć wykluczają się nawzajem. Uczciwość nie wzbrania znieść pokornie największej obelgi, stehórzyć, albo się narażać na ubliżające posądzenie o tchórzostwo, błagać o litość, zebrać wsparcia. Owszem, niekiedy uczciwość tego wymaga od nas... A honor? honor nie stoi na przeszkodzie uwiedzeniu niewinnej dziewczyny — przeszkadza tylko ożenieniu się z nią, jeśli jest biedna i bez nazwiska; honor pozwala zbałamucić cudzą żonę, byle tylko potem zabić męża jeśli się o tem dowie i osierocić dzieci. Wolno zgrać do nitki niedoświadczonemu młokosa, choćby sobie potem z rozpaczycy miał życie odebrać. Zastrzelić komu w pojedynku syna jedynaka za bagatelną obrazę — to sprawa honorowa. Tyśiące rzeczy honor każe, których uczciwość zabrania. . . . Twój kuzyn n. p.

— „Z okna baszty ktoś chustką ku nam powiewa — przerwał młodzieniec. — Jeśli się nie mylę, to panna Klau-dya. . . . Ale nie! to nie ona.

— „Któżby to mógł być?

„Zwawiej pomknęły konie. Z po-za bżów i jaśminów przeglądają długim pasmem białe mury, zbudowane z gruzów i na gruzach obronnego niegdyś zamczyska.

„Oto zajechali przed bramę. Zeskoczył lekko młodzieniec i podał starcowi ramię. Nikt ze służby się nie zjawił. Weszli obaj do sklepionej wysokiej sieni, przybranej świątecznie w dywany i kwiaty.

„Zanim tam za nimi się udamy, winniśmy poprzedzić opowiadanie nasze kilkoma słowy o starożytnym dworze wartynieckim, odwiecznej dawnego rodu siedzibie, która główną powieści naszej będzie widownią.

„Od zachodu, tam, gdzie niegdyś fosy i wały...“

— Co pan robisz, panie Władysławie! — zawołała nagle pani Katarzyna z obrzaniem. Wszyscy z nieudaniem zdziwieniem spojrzeliśmy na nią. Siedząc przy kominku, a więc w niejakiem oddaleniu od stołu, przy którym odbywała się ta scena, mogłem całą snadnie objąć oczyma. Wi-działem dobrze co się działo na d stołem i co się działo pod stołem i nie takiego nie dostrzegłem, coby piękną wdówkę do takiego upoważnić mogło wykrzyku. Wstałem i zbliżyłem się z ciekawością do towarzystwa.

— Co pan robisz? — zawołała raz jeszcze z emfazą. Co to jest, co pan czytasz?

— Moja powieść...

— Ależ to wiem! Ja się pytam, zkąd pan ją zacząłś czytać?

— Od początku.

Pani Katarzyna roześmiała się z całego gardła dźwięcznym ale nieszczerym jakimś śmiechem.

— Od początku? Niepodobna!... Któż powieść czyta od początku! Powieść, powieść! i od początku!... Tego jeszcze nie słyszałam nigdy...

I znowu pustym zadzwoniła śmiechem.

Pani Wanda była zgorszona. Pan Hieronim wzruszył ramionami. Pan Leon mrugał na żonę znacząco.

— Zkądże pani każesz mi zacząć? — zapytał z cierpliwością baranka Władysław, na którym jednak widocznie ta przerwa nienajmilsze wywarła wrażenie.

— A w iluż tomach ta powieść pańska? — zapytała z ironią wdówka.

— Miała być w trzech.

— Aaa, w trzech. Powieść w trzech tomach czytać się zaczyna od drugiego tomu — a pierwszy idzie pod placki, albo do kominka...

Do... kominka? — powtórzył Władysław nerwowym jakimś głosem. Zwinął w rulonik kilka zeszytów swego rękopismu i nie wstając z krzesła, rzucił w ogień.

Żywszy buchnął płomień — ale zanim zdołał ogarnąć rzucone mu na pastwę papiery, zerwała się z fotelu pani Katarzyna i jednym skokiem była już przy kominku, a drobnemi rączkami ratowała szczątki rękopismu.

Stało się to wszystko tak nagle, że zanim zdołaliśmy pospieszyć jej na pomoc, trzymała już w popieczonych rączkach płonące zeszyty, starając się ogień dłońmi przydusić.

Władysław pierwszy był przy niej, wyrwał jej z rąk papiery i rzucił na ziemię, a sam, trzymając jej drobne rączki, przypatrywał się popieczonym i osmolonym paluszkom i całował je bez ceremonii. Nie broniła mu tego pani Katarzyna w pierwszej chwili pod wpływem niezwykłego wzruszenia czy bólu. Lecz nagle ujrzała rękopis płonący na podłodze, wyrwała ręce z rąk Władysława i zawołała z niekłamany przestraczem:

— Przydepcz pan! przydepcz!

Przydeptałem dogorywające szczątki i ugasiłem dogasający ogień. Jak to zwykle bywa na partykularzu, straż pożarna przybyła zapóźno.

Pani Teofila, pani Wanda, pani Leonowa, otaczały już bohaterkę, oglądając jej osmolone rączki. Jedna radziła bawełną owinać, druga w zimnej wodzie potrzymać, trzecia

ręce mocno namydlić i dać im tam wyschnąć z mydlinami. Władysław jednocześnie zdesperowany i szczęśliwy, rozglądał się z niepokojem po pokoju, słuchając tych sprzecznych ordynacyj i szukając nadaremnie skuteczniejszego jakiegoś środka. Chciał wreszcie posyłać po arnikę do najbliższego miasteczka. Pan Leon dowodził, że najlepiej posmarować oliwą albo łożem, przypomniał także studenckie na oparzenie lekarstwo — umaczać palec w kałamarnicy. Pan Hieronim nic nie mówił, ręce trzymał w kieszeniach, chodził po izbie od kąta do kąta, uśmiechał się ironicznie, fałdując czoło w poprzeczne bródy i wruszał ramionami.

— Ależ nie mi nie jest! — protestowała ochłonięszy z pierwszego bólu pani Katarzyna. Zaręczam państwu, że zaledwie trochę sobie palce popiekłam. To nie... Ale obaczmy też, czyśmy co uratowali?

— Niewiele pani — odrzekłem. — Kilka kartek spalonych tylko do połowy, reszta nie zda się nawet i „pod placki“.

Z wyrzutem spojrzała na mnie pani Katarzyna za to złośliwe przypomnienie jej własnych wyrazów.

— Ależ panie Władysławie — rzekła, obracając się do autora spalonej powieści — czy godzi się być takim szaleńcem! pracę własną rzucać w ogień! Gniewam się, na seryo gniewam się na pana... Nie, prawdziwie, nigdy panu tego nie daruję...

I podała mu rękę przy tych wyrazach, którą on do ust swoich przycisnął.

Coś, niby łezki, zabłysło w jej siwych oczach.

— Nie można, widzę, z panem żartować... Pan wszystko bierzesz tak seryo!... — rzekła cichszym głosem.

— Każde słowo pani brać będę zawsze na seryo.

— Więc cofam wszystko, com kiedy przykrego powiedziała — rzekła jeszcze ciszej. — Tego wszystkiego — szepnęła — nie bierz pan na seryo!

— A to — zapytał równie cicho Władysław — co mnie napełniło szczęściem i nadzieją... czy mogę brać na seryo?

— Możesz pan! — odrzekła ledwie dosłyszalnym szeptem i wymykając szybko osmołoną rączkę z jego dłoni, włożyła ją do garnuszka z wodą, który tymczasem przyniosła pani Teofila.

Ja i pan Leon mamy dobry słuch. Nie uszły nam ostatnie półgłosem wyszeptane słowa rozmowy. Co się nie dosłyszało, nie trudno było się domyśleć.

— To zdaje się koniec powieści? — szepnąłem na ucho panu Leonowi.

Pan Leon kichnął jak z pistoletu.

Zasiedliśmy przy stole.

Władysław zaczął czytać *Tom Drugi*.

* * *

T O M D R U G I.

Pogłoska, puszczone w obieg w tak zręczny sposób przez Ignacego, chciwie pochwycona i kolportowana przez młodzież próżniaczą i stare dewotki, rychło rozeszła się od dworu do dworu po całej okolicy. Nie się szybciej nie rozszerza od skandalicznej wieści. Opowiadano sobie o niej zrazu na ucho, pod sekretem; po kilku dniach mówiono już głośno, uzupełniając ją rozlicznymi barwnymi komentarzami. Nikt się nie znalazł, ktoby rzecz podał w wątpliwość. Źródło, z którego wieść pochodziła, zdawało się usuwać możliwość przypuszczenia, aby rzecz była zmyślona.

Major, nie żyjąc prawie z nikim z całego sąsiedztwa, nie wielu liczył życzliwych. Odosobnienie się jego, przypisywano dumie milionera, chociaż ta duma i niechęć do okolicznej szlachty, inne wcale miała źródło. Bądź co bądź, nie lubiono go, a więc cieszone się skrycie nieszczęściem, które miało go dotknąć. Byli nawet tacy, którzy jawnie objawiali swe zadowolenie.

Nie czekano długo na dalsze wieści — a opinia poczytała je za stwierdzenie pierwszej. Bryczkę cwałem pędzącą po lekarza, widziało całe sąsiedztwo, był bowiem tego dnia targ w miasteczku. Dowiedziano się o nagłym niebezpiecznym zasłabnięciu majora. Atak paralityczny. wytlómaczono sobie łatwo tym gromem, który spadł na głowę starca. W tej mierze miano poniekąd słusność.

Tymczasem poczciwy doktor Czarka siedział przy jego łóżu, nie szczędząc starań lekarskich, a w chwilach wypo-

czynku, łamał sobie głowę nad rozwiązaniem trapiącej zagadki, która go doszła przed kilku dniami, a której radby nie dał wiary. Przesuwał dłonią po zmarszczkach swego czoła, bębniąc po niem zlekka palcami, to znowu ogryzał paznokcie i chwytając w dwa palce dolną wargę, wyciągał ją naprzód, zwykłym gestem zakłopotania.

Chory zdawał się spać ciągle snem niespokojnym. Stan, w jakim się znajdował, do snu podobny, nie był jednak snem, nie była to drzemka. było to jakieś połowiczne odurzenie władz duszy, nie przeszkadzające jednak pewnej, acz niewyraźnej świadomości tego, co się koło niego działo. Niekiedy zdawało się, że umysł jego na chwilę całą odzyskuje przytomność; otwierał wtedy oczy, powiódł niemi po twarzach osób, które go otaczały i wymówiwszy z największym wysileniem kilka wyrazów, świadczących, że obecnych poznaje i że świadom swego stanu, usypiał napowrót, budząc się za najmniejszym szelestem i powtarzając dopiero co wymówione słowa.

W tej chwili jednak oddech był lżejszy. Klatka piersiowa w regularnych odstępach podnosiła się i opadała. — Major spał teraz snem rzeczywistym.

Stary lekarz, cicho, na palcach wyszedł do drugiego pokoju. W progu skinął ręką na Klaudyę, która kryjąc się przed chorym, za kotarą stała zapłakana.

— Uspokój się pani — rzekł półgłosem — no, lepiej jest widocznie i zdaje mi się, że to złe przeminie. Kilka-naście lat temu, kiedy matka pani skoła, był taki sam atak paralityczny, no i uratowaliśmy pani ojca — i był zdrów aż do dziś dnia... No, ale opowiedzże mi pani teraz, jak się to dzisiaj stało?...

Klaudia zaczęła opowiadanie od chwili, gdy przywołana do ojca, zastała go stojącego na środku pokoju, bladego, z twarzą strasznie przekrzywioną — jak groźnie ku niej wyciągnął rękę i wymówiwszy kilka słów niezrozumiałych upadł bezprzytomny.

— Psst! psst! — przerwał lekarz. — Nie mów pani tak głośno. Przekonałem się, że chory dobrze słyszy. — Chodźmy raczej do salonu, bo muszę z panią dłużej pomówić.

— A któż będzie przy ojcu?

— Jest tam Jędrzej; gdyby czego potrzebą, to mnie zawoła.

— Zajrzę jednak na chwilę...

— Nie chodź pani! Nie chodź pani tam wcale i nie pokazuj mu się nawet, bo widok pani widocznie go bardzo irytuje. Słyszałaś pani przecież, jak wybełkotał trzy razy: „Lodzia precz!... Lodzia precz!”

Klaudia przycisnęła rękę do serca, które jej pękało z bóleści. Siłą woli przytłumione łkanie jękiem jakimś odezwało się głuchym. Dr. Czarka wziął ją pod ramię i wyprowadził do salonu.

— Tu się pani wypłacz, wyszlochaj. I ja będę płakać z panną Klaudya, no, bo to dwadzieścia siedm lat, jak tu jeżdżę do Wartyniec. Ja wasz stary i najlepszy przyjaciel... Ale lekarz musi wiedzieć wszystko, aby wiedział, co radzić. No, musi mi panna Lodzia prawdę, całą prawdę powiedzieć. Przed lekarzem nie ma tajemnicy.

— Cóż mam panu konsyliarzowi powiedzieć?

— Wszystko. Aby chorobę usunąć, trzeba znać przyczynę. *Lata causa tollitur effectus...* Co tu u was takiego zaszło? Kilka tygodni tu nie byłem i niczego nie mogę się domyśleć. Co się tu stało? Czemu ojciec woła: „Lodziuprecz“?

— Ależ ja myślę, że ojciec nieprzytomny...

— Hm, hm, nie, nie. On mówić nie może, no, bełkocze, prawda, no, lewą nogą, lewą ręką — nie... ale on ma przytomność, ma! On nie majaczy, gdy mówi: Lodziu precz. Nie, nie... No, jak panna Lodzia nie powie staremu doktorowi Czarce, który ją pierwej miał na rękach od ojca i matki... no, to będzie źle! Doktor nie będzie wiedział co robić i *finis* — no!

— Przysięgam panu na pamięć matki mojej, że nie wiem, nie przypuszczam nawet, jakaby ojciec mógł mieć przyczynę niezadowolenia. ... Chyba jaka niegodna plotka... Wczoraj wieczór jeszcze ojciec ze zwykłą czułością uściskał mnie na dobranoc i długo mnie pieścił. ...

Rzęsistą strugą popłynęły łzy po jej twarzy.

— A no, no, no, to wierzę. Ale kto był dziś rano u ojca? Ekonom, gumienny, leśniczy, urzędnik jaki, ksiądz? kto z obcych może?

— Był ekonom, ale ojciec nie gniewał się na niego. Był także z pożegnaniem pan Ignacy, który wczoraj wieczór do nas przyjechał. ... Chyba on? ... W samej rzeczy zasłał ojciec wkrótce po jego odjeździe. Ale pan Ignacy, jak mi mówiono, zaledwie kilka minut bawił u niego. . . z poczty przyniesiono także rano jakąś przesyłkę. . . może ojciec list jaki nieprzyjemny otrzymał. ...

— Czy pan Brwicki stara się o rękę pani?

Błada, spłakana twarz Klaudyi, oblała się rumieńcem.

— O którym Brwickim pan mówisz?

— O panu Ignacym.

— Oh! nie!... Ojciec go nie lubi, przyjmuje go tylko przez pamięć na przyjaźń, która go wiązała z ojcem p. Ignacego. ...

— A jednak w całej okolicy mówią, że p. Brwicki... stara się.

I bystro w oczy dziewczęcia wpatrywał się lekarz.

— Może mówią o panu Aleksandrze? — zapytała i znowu rumieńce zjawily się na jej twarzy.

— Nie — nie. Pan Aleksander bardzo młody jeszcze, za młody! To o panu Ignacym mówią.

— To dziwne!

— I wiem autentycznie, że sam pan Ignacy mówił o tym związku, jako o rzeczy... no, skończonej. ... Mówił, że panna Klaudya... no, mówił, co mu ślina do ust przyniosła. ...

— Co mówił? co? — zawołała, załamując ręce. — Oh! rozumiem! domyślam się! Powiedz pan, powiedz!

Doktór zrobił dwuznaczną minę.

— Co więcej mówił? na Boga! ja muszę wiedzieć, ja powinnam wiedzieć wszystko!... Mów pan, zlituj się!... Ach! to on, to pewnie on winien tej chorobie ojca... On dziś rano musiał mu to samo powiedzieć... Przestrzegaj mnie, a ja nie chciałam słuchać! Mój Boże, mój Boże...

— Kto? kto panią przestrzegał? nic nie rozumiem! — pytał zaniepokojony lekarz.

Ale ona twarz ukryła w obie dłonie, łkając boleśnie.

— Panno Klaudyo — rzekł lekarz po chwili milczenia, z całym spokojem. I pochwycił ją za rękę, jakby szło o zbadanie pulsu. — Posłuchaj mnie panno Klaudyo! — mówił dalej tonem serdecznym, ojcowskim.

Ocknęła się, przestała płakać.

— Matki nie masz oddawna, ojciec śmiertelnie chory, no, ja mam nadzieję, że jeszcze go uratujemy, ale w każdym razie choroba ciężka — długo potrwa... a tymczasem panno Lodziu, jesteś jak sierota, nie masz nikogo. — Ja mam lat 62 i doktór wasz jestem, a przyjaciel wasz szczerzy przeszło od ćwierć wieku. — Tu coś w tem wszystkim jest, no, a ja nie wiem co. Ten paraliż, ten nagły gniew ojca na panią, którą kochał i pieścił jak bóstwo jakie, ta rozpacz pani w tej chwili... to gadanie pana Ignacego... Powiedz-że mi pani, wyznaj mi wszystko szczerze jak na spowiedzi! Sama sobie nie poradzisz, nikt ci nie poradzi — chyba ja jeden, stary wasz przyjaciel — a ja widzę, że tu potrzeba coś radzić złemu... że tu oprócz choroby ojca, jeszcze jakieś inne grozi ci niebezpieczeństwo... Zaufaj-że staremu i powiedz wszystko!

— Powiem panu... bo w tem wszystkim jakaś straszna tajemnica... ja nie nie rozumiem.. wierzaj mi pan!.. przysięgam panu!... W głowie mi się miesza!...

Obie dłonie przycisnęła do czoła. Nie mogła mówić dalej.

Doktór Czarka nalał szklanke wody, sięgnął do kieszonki swej szafirowej, aksamitnej kamizelki w brązowe palmy, wyjął malutką ciemną flaszeczkę, potrząsł nią w rękę, wyjął korek i zwilżył nim brzegi szyjki z jednej strony.

— Jedna, dwie, trzy, cztery... półgłosem licząc, nakapał dwanaście kropel do pół szklanki wody i dał wypić Klaudyi.

— No, a teraz słucham pani.

Klaudia milczała jak bezprzytomna. Starzec patrzył na nią z współzuciem.

— No... no... pani mogłaś nie wiedzieć... może pani jeszcze nie wiesz, co to za człowiek — ten p. Ignacy. To człowiek... no, zły, zły i basta... utracysz, rozpustnik, kłamca, uwodziciel, komedyant... Kto swego nie szanuje, nie poszanuje cudzego. A kto drugich z mienia obdziera, ten lekkim sercem obedrze z dobrej sławy i życia pozbawi: szuler i pojedykacz, to jakby złodziej i zbój... Ale pani o jego życiu nie słyszałaś... pani jesteś młoda... to wszystko tłómaczy. Mów pani, mów śmiało! Ja nie jedną taką historję serca znam. Ja pani nie będę miał za złe...

Klaudia spojrzała nań zdziwiona. Widocznie nie rozumiała wcale do czego doktor zmierzał.

— Cóżbyś mi pan mógł mieć za złe? Wszak mówiłam panu, że nie wiem i domyślać się nawet nie mogę powodu gniewu ojca. Po tem tylko, coś pan wspomniał, że pan Ignacy wygaduje, domyślałam się znaczenia słów, które wczoraj z ust jego słyszałam... Ale coż on ojcu mógł powiedzieć?

— Opowiedz-no pani naprzód, co on tobie powiedział. Ale dosłownie! dosłownie! Nie mi pani nie taj... bo inaczej nie zaradzimy złemu.

— Wszystko panu opowiem, wszystko!

Zadane przez lekarza, silnie podniecające krople, za częły widocznie działać. Znękana, omdlewająca prawie pod

wpływem ciężkiego strapienia, zaczęła się zwolna ożywiać; na twarz jej, przerażającej bladoci, zwolna występowały kolory. Mówiła coraz prędzej i jakby pod wpływem jakiegoś upojenia, głos jej i słowa przybierały niezwykłą dla dziewczęcia energię.

— Wiesz pan, jak mój ojciec polubił pana Aleksandra. Otóż pan Aleksander temu dwa miesiące oświadczył się o moją rękę.... Ojciec go wyśmiał, powiedział mu, że za młody na konkurenta, a ja za młoda, aby mnie wydał za mąż. Zabronił mu odtąd bywać u nas częściej jak raz na kwartał. — „Za dwa, trzy lata, obaczymy“ — powiedział mu i pocałował w czoło.

Rumieniec osiadł na twarzy Klaudyi. Po krótkiej przerwie, mówiła dalej:

— Od chwili, kiedy pan Aleksander przestał u nas bywać, przyjeżdżał tam częściej pan Ignacy — a w obec mnie zmienił zupełnie swoje postępowanie. Nie występował wprawdzie jako konkurent, ale zachowanie się jego było więcej, niż dziwne. Starał się zawsze spotkać się ze mną sam na sam. Kilka razy zaczął ze mną rozmowę o Aleksandrze — ale w taki sposób, że musiałam przerwać... Mówił raz o nim z ojcem, nie wiedząc, że ja się znajduję w drugim pokoju. Nie rozumiałam dobrze co opowiadał, ale tyle wiem, że źle o nim mówił, a ojciec śmiał się głośno i powtarzał: „To nic, to nic, wyszumi się“. Ale w końcu rozgniewał się ojciec i zawołał: „To nieprawda, temu nie wierzę“ i zgromił go surowo, że krzywdę czyni bratu... bo pan Aleksander, to jego brat stryjeczny.

— A cóż na to pan Ignacy?

Klaudya opowiedziała znane nam zakończenie podsłuchanej rozmowy. Dosłownie powtórzone wyrazy, dla niej niezrozumiałe, dały wiele do myślenia poczciwemu doktorowi.

— A z panią nie mówił? — rzekł po chwili.

— Odjechał. Za trzy dni wrócił, jakby wcale nie nie zaszło, w złotym humorze. Po obiedzie jednak, gdy ojciec na chwilę zostawił nas samych, przystąpił do mnie z zapierzoną twarzą i rzekł z gorączkowym pośpiechem:

— Muszę z panią pomówić sam na sam. Idzie tu o szczęście pani — i o pani honor!

— Pomów pan z ojcem moim — odrzekłam spokojnie.

— Ojcu tego powiedzieć nie mogę... Jestem słowem związany. Nie mogę.

— A więc mów pan, jesteśmy sami.

— Krótko rzecz powiedzieć się nie da. Daj mi pani godzinę czasu. Naznacz mi pani miejsce, gdzie będę z nią mógł pomówić. Bądź pani odważną! To są straszne, straszne rzeczy! Życie moje z rozkoszą dam w ofierze, aby ocalić dobre imię pani — ale proszę, zaklinam. daj mi pani godzinę, pół godziny!... Pierwszy i ostatni raz w życiu! Na honor!

— I cóż mu pani odpowiedziałas? — zapytał doktor surowo, ściągając swe gęste, siwe brwi.

— Na mnie to zrobiło wrażenie jakiejś ukartowanej intrygi — tak, jakbym powieść jaką czytała lub dramat. — Patrzałam na niego, jak na komedyanta — ale mimo to, trzęsłam się cała ze strachu. Zapytałam go, co tak okropnego zaszło? co mojej dobrej sławie grozi?

— Dowiesz się pani, niestety! — odpowiedział. Oh! gdyby można zataić to przed tobą! oszczędzić ci tej boleści! Ale musisz, musisz się dowiedzieć — i to dziś, dziś koniecznie! to ostatnia pora!

— I zezwoliłaś pani? — no, no, powiedz! — pytał doktor z udanym spokojem.

— Zawahałam się... — W ogrodzie, w lipowej ulicy, rzekł — po wieczery, jak ojciec się położy, a pani pójdziesz do siebie. Ja dam pani znak, skoro się przekonam, że nikogo nie ma już w ogrodzie....

— A to łotr — mruknął doktor pod nosem.

— Nie, to niepodobna! — odrzekłam mu stanowczo i zaczęłam się śmiać.

— Zawierz mi pani choć raz! — błagał coraz natarczywiej. A po chwili, widząc, że się zdecydować nie mogę, dodał jeszcze: tu i o ojca pani idzie! o jego dobrą sławę! czyba pani ojca nie kochasz!

— Czy pański kuzyn wie o tem? — zapytałam.

— Oleś? — zasyczał z wściekłością. — Oleś? o gdyby nie on! I on także ofiarą! nieszczęśliwy... ale on ciężko tu zawinił! — Spojrzałam na niego z pogardą. — Pan wiesz, panie konsyliarzu, jaki to zacny człowiek, pan Aleksander. Już byłam pewną, że te strachy i pogrożki pana Ignacego są niegodną komedią. Chciałam wyjść z pokoju. Chwycił mnie za rękę:

— Przekonasz się pani. Złożę pani dowody!

— Puść mnie pan! — zawołałam z gniewem. — On trzymał moją rękę z całej siły.

— Puść mnie pan, bo zawołam ojca!...

Zabrakło Klaudyi głosu — nie mogła mówić dalej. Po wrażeniu, jakie przypomnienie tej sceny w niej budziło, można się było domyśleć, jaką przeżyła chwilę.

— Puść mnie pan, bo zawołam ojca — powtórzyła raz jeszcze. — Puścił mi rękę i zapytał zimno, mierząc mnie oczyma:

— Więc nie?

— Nie!

— Ha! będziesz pani tego żałować! — szepnął cicho strasznym jakimś głosem. — Chwyciłam za kłamkę od salonu. Poskoczył za mną jak tygrys, zatrzymał mnie we drzwiach, ręce złożył jak do modlitwy:

— Przebacz mi pani! przebacz! Ja sam nie wiem co mówię — bo szaleję! Ale ja panią uratuję — nawet wbrew twej woli ... przysięgam! — uratuję! — i jakby pasując się sam ze sobą przez chwilę, zgrzytnął zębami i rzekł: bo ja panią kocham!...

Na dźwięk tego słowa „kocham“, wymówionego przez siebie, zadrżała Klaudya. Bładość śmiertelna pokryła jej lica. Ostatkiem sił dokończyła opowiadania:

— Ach! pan nie wiesz, panie konsyliarzu, jak on to strasznie powiedział! Straszny był, oczy mu zaczerwieniały, zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło. Uciekłam co tchu i biegłam korytarzem, jakby zły duch za mną gonił, aż do baszty, do mego pokoju...

— I nie mówiłaś pani z nim potem? — zapytał doktor z wy pogodzonem czołem.

— To była ostatnia nasza rozmowa. Przy wieczerzy, jakby nie zważając na mnie, wyciągnął ojca na opowiadanie o jego kampaniach, a dziś rano przyszedł do niego z pożegnaniem, zabawił tam tylko kilka minut i pojechał....

Wyczerpawszy siły opowiadaniem, bezwładnie Klaudya opuściła ręce. Głowa jej zwiśla na oparcie kanapy, szeroko rozwartemi oczyma patrzyła na starego przyjaciela, wzrokiem przerażenia. Wpół przetwarte usta zdawały się szeptać słowo: Ratunku!...

Doktor Czarka, w ciągu jej opowiadania to potrzasał głową, to brwi ścigał. tarł czoło dłonią, to znowu wyciągał dwoma palcami dolną wargę i od czasu do czasu powtarzał swoje przysłowiove: *no, no!* Gdy Klaudya skończyła, milczał chwilę, wpatrując się w jej twarz z współczuciem, a potem machinalnie pochwycił ją za rękę, jakby szukał pulsu.

— No, no! teraz to wiem już, wiem! domyślam się wszystkiego!... To cały plan łotrowski — cała intryga! Te nikczemne baśni, które puścił w obieg... i tam i w miasteczku i w całej okolicy... no, zapewne i ojcu nabajał coś podobnego.... Obawy moje były słuszne... A z panią chciał sobie inaczej poradzić, aby się bajka prawdą stała. ... No, szczęście! szczęście! żeś pani była roztropną ... nad wiek! nad wiek!... No, no, ale ludzie wszystkiemu wierzą! Tak rzeczy zostawić nie można!

— Cóż trzeba robić?

— Krewnych blizkich tu nie macie...

Zadumał się starzec.

— Ha! — rzekł po chwili, napisz pani do pana Aleksandra! On młody, ale roztropny. On do swojej się uda rodziny. Rodzina Brwickich tak liczna i ucziwa. Oni wszyscy staną po jego stronie, zmuszą pana Ignacego, aby odwołał. Pisz pani śmiało.

— Nie panie. Aleksander nie czekając na krewnych, wyzwaby Ignacego.

— Hm! hm. I to prawda. Gotów wyzwąć bez namysłu — a ten łotr jaskółki strzela w locie z pistoletu.

Dreszcz tajemny przebiegł biedną dziewczynę.

— A gdyby do sąsiadów się udać o pomoc? — zapytała.

— Nie, nie. Ojciec pani mało z kim tu żyje, a Ignacy pełno ma znajomych i przyjaciół. Pije z nimi, poluje, ugania z chartami, daje się zgrywać w faraona... no, boją się go zresztą jak diabła. Nie mieliby odwagi wystąpić przeciw niemu.

— Cóż więc robić? co robić! — wołała rozpacznie.

W tej chwili stary Jędrzej zjawił się we drzwiach:

— Jasnie pan znaki jakieś daje, podobno woła pana konsyliarza.

Długo przechadzała się Klaudya po swoim krągłym pokoiku, ważąc w srodze strapionej główce różne plany i projekty ratunku. Przy świetle przyémionej umbrellką lampy, jak cień przesuwiała się jej wiotka postać w popielatej sukience, bo i kroków jej, to powolnych, to spiesniejszych, słyhać nie było na wysłanej wzorzystym kobiercem posadzce.

Skołatana myśl jej ulatała od planu do planu, a na żadnym zatrzymać się nie mogła. Klaudya chciała je zważyć na szali rozsądku i wybór między niemi uczynić, lecz żadnego dosnuć nie mogła do końca; rwała się nić splątana

i z każdego węzła wysnuwały się inne i znów inne nici, a każda plątała się i rwała. .. Rozwaga rozpadała się w bezkształtne okruchy wyobrażeń, w fantastyczną rozwiewała się mrzonkę.

Cicho upływało jej dotąd życie w ojcowskim domu. tak cicho, jak płynie spokojny strumyk po błoni. rozmawiający tajemnym szmerem tylko z kwiatkami, chylącymi ku niemu swe główki, lub z wieśniaczą chatką, przeglądającą się zazdrośnie w jego przeźroczu, lub z cmentarną nad brzegiem mogiłką. Nagle przepaść otwiera się u stóp nieszczęsnej dziewczyny: czyż dziwna, że w tej przepaści dusza jej jak strumyk w drobne rozpryska się krople?

W tym pokoju, tak artystycznie ozdobionym, a pełnym przeróżnych kosztownych gracików, z których każdy łączył się z wspomnieniem jakiejś pieszczoty ojcowskiej, samotna teraz jak ptaszę w klatce, rozbija się w myślach. pełnych obaw i niepokoju. Nie wolno jej pielęgnować teraz niebezpiecznie chorego ojca — on jej widoku nie znosi. Zjawił się duch zły, w postaci Ignacego, a ojcowska miłość jak czarem zmieniała się w gniew jakiś straszny, tem straszniejszy, iż to gniew bez słów, gniew, który on z sobą może do grobu ponieść...

Chciało pocziwe dziewczę, mimo oporu dra Czarki, za drzwiami ojcowskiej sypialni przeczuwać noc tę straszną po dniu tak strasznym, ale opuściły ją siły i czując się bliską omdlenia, dała się odprowadzić do swego pokoju i przyrzekła staremu przyjacielowi, że się uda na spoczynek. On będzie za nią czuwał przy ojcu wraz z pocziwym kredencierzem Jędrzejem, niegdyś towarzyszem broni majora. — W przedpokoju cała służba kolejno przez noc całą będzie na wezwanie. Gdyby ojcu miało być gorzej, dr. Czarka obiecał Klaudyę kazać zbudzić. A więc może być spokojną choć w tej mierze. Znużenie przemaga, trzeba się snem pokrzepić.

Uklęła pod wizerunkiem ukrzyżowanego, wyrzeźbionym misternie z słoniowej kości, a wiszącym na przymurku alkowy, gdzie się kryje jej białe łóżeczko. Niżej pod Chrystusem, wiszą trzy wizerunki osób dla serca jej świętych: dwa kobiece portrety, a pod niemi portret ojca. Te dwie niewiasty — to matka, po której niewyraźne tylko zostało jej w duszy wspomnienie, a druga — to nauczycielka a opiekunka młodości, której winna co najmniej tyle, ile matce rodzonej. Pustką stoi po niej przyległy do pokoiku Klaudy salonik. Panna Róża własną chorą pojechała pielęgnować matkę i od roku blisko nie wraca. Ach! jakże jej bez niej samotnie i nieporadnie na świecie!

Najcięższy smutek i cmentarna nawet żałoba znajdzie słowa modlitwy, lecz nie znajdzie jej nigdy serce pełne niepokoju i napojone goryczą.

Łzy nie przyniosły jej ukojenia, na chwilę tylko ukołysane serce, po skończonej modlitwie gwałtowniej jeszcze zakolatało na trwogę: „A gdyby ojciec umierał w tej chwili? Spiesz! spiesz!“ wołało coś za nią — a ona biegła długim, ciemnym korytarzem pałacu, aż do drzwi ojcowskiego mieszkania.

Uchyliła je z cicha i weszła do przedpokoju. Stary doktor usłyszał jednak wehodzącą i wysunął się na palcach z pokoju chorego.

— Aj! aj! jeszcześ pani się nie położyła?

— Jak teraz ojcu?

— Znacznie lepiej. Władza w lewej ręce powraca, mowa wyraźniejsza.

— Bogu dzięki!... Strach mnie jakiś ogarnął i musiałam tu przybieść.

— No, no! idź-że pani już spać!

Klaudya wróciła do siebie tą samą drogą; w korytarzu cicho i ciemno jak w grobie — ale jej tam nie straszno teraz. „Ojcu lepiej! lepiej! lepiej!“ — powtarzała sobie w duszy i cały dalszy wątek nadziei wysnuwała z tej myśli. Oj-

ciec wyzdrowieje — a z wyzdrowieniem jego, wszelkie te ciężkie strapienia, na które nie może znaleźć rady, znikną w jednej chwili. On ją wysłucha wtedy, przekona się, że niesłusznie ją obwiniał i jeszcze bardziej wtedy ją ukocha... Ignacemu ojciec dom zamknie na zawsze... a za trzy tygodnie kwartał się już kończy rozłąki: *On, on* przyjedzie!

Weszła do swego pokoiku, lecz zamiast się rozebrać i do snu ułożyć, z nowymi myślami i miłszymi planami nowy zaczęła spacer od ściany do ściany.

* * *

Duszno jej było w pokoju. Otworzyła okno. Chłodem nocnym owiał jej skronie wietrzyk, niosąc z sobą upajającą woń róż i jaśminów, które gęstym kłębem otaczały basztę.

Zkąd ta władza upajająca w tych niedojrzanych okiem, niewidzialnych nawet pod szkłem mikroskopu drobnych pyłkach kwiatowej woni, płynących z podmuchem wietrzyka po fali powietrznej? Nie dociekli tego fizyologowie i nie rychno docieką.

Te niedostrzegalne atomy potężnym czarem owiewają nas dokoła — jak duchy. Mędrzec zadumany nad księgą ascety zagłębiający w pobożnym marzeniu o nieziemskich rzeczach, rycerz w stalowym pancerzu i z duszą jak stal hartowaną, prostak, nie wznoszący się myślą i uczuciem nad najzwyczajniejsze życia potrzeby, wszyscy czujemy ich władzę nad sobą i jak potędze pieśni, tak i tych duchów potędze nikt się z nas oprzecz niezdolny.

Jak elfy, grające w świetle księżycy na niewidzialnych arfach eolskich, tak te legiony kwiatowych demonów wlatują z czarownych swych mieszkań i o nerwy człowieka, jakby o struny lutni uderzają skrzydłami. Pieśń inną śpiewa każdy kwiat. A chociaż to pieśń z jednego niby złożona tonu, ten ton całą w duszy człowieka wywoła melodyę. — Inną róża, inną fiołek, lilia, jaśminy, bzy, las sosnowy i lipa. Wśród gwaru świata, lub wśród natłoku myśli i uczuć

gwałtownych, nie czujesz często ich czarownej potęgi, tak jak we wrzawie bitwy, wśród huku strzałów, słyszysz tylko hębny wojskowej orkiestry, lecz głuchniesz na dźwięki muzyki. Ale idź przed słońca wschodem, półsenny jeszcze, nim świat się przebudzi, lub w noc cichą, gdy wszystko się do snu ułoży i w własnym twym sercu ucichnie wrzawa uczuć i myśli, idź wtedy i upój się wonią codziennego innego kwiatu a uczuje twa dusza, że codziennym pod innego demona jest władzą.

Upojona wonią, rozmarzona, błędziła Klaudia niebieskimi oczyma po zasianym gwiazdami niebie. I na chwilę uleciała z jej myśli codzienna troska, uciszyła się burza, która od rana tak gwałtownie szarpała jej łonem.

Zapomniała na chwilę surową twarz ojca, który postradawszy mowę, groźnymi oczyma tem boleśniejszym ranił ją wyrzutem, że niezrozumiałym i niezasłużonym. Zapomniała ową poszarpaną namiętnościami, dziką a wstrętną twarz Ignacego, szepejącego jej słowa miłości. Innym uczuciem, jakby strumień przejrzysty, szeroki, płynęła jej dusza prądem wspomnienia w rajska, niby ziemską, a zaziemską dziedzinę.

Dwa razy w życiu z ust mężczyzny to słowo „kocham“, słyszała. O jakże inaczej brzmiał w ustach Olesia ten wyraz! Nie ona pokraśniała, pokraśnili oboje przy tem słowie. Przysięgłaby, że on je po raz pierwszy wymówił w swym życiu kobiecie. I nie przysięgłaby krzywo.

On mówiąc „kocham“, wiedział już dobrze, że jest kochany i jaką otrzyma odpowiedź. A ona, usłyszawszy to słowo z ust jego, nie zdziwiła się wcale. Zdziwiła się tylko, że to tak słodko, że to słodziej słyszeć, niż marzyła...

Tak słodko... a jednak i strasznie jakoś przy tem w duszy dziewczęciu! A co dziwne, oh, to już najdziwniejsze, że to tak trudno jej było to samo mu słowo powtórzyć.

O teraz, teraz, miałyby więcej odwagi, niż wtedy, tam — tam, w dzień pożegnania, w tej alei lipowej.

Pocałunek?... ach, nie, nie! O tem chciałyby zapomnieć. To może był grzech!... O! to pewnie grzech był!... Ten całus wpadł w jej duszę jak coś obcego, jak kamień rzucony na gładką szybę jeziora... wszystko się zmąciło na chwilę... fal narobiło się mnóstwo na kryształowem przeczoczniu... Czowała ten całus nie na ustach tylko, lecz w każdej kropelce krwi — wszędzie, wszędzie, aż w paluszkach! To był blask jakiś wielki w oczach, dźwięk jakiś w uchu, upojenie jakies niewysłowione, jakby kto się wonią róży upoił — omdlewał — umierał.

O gdyby *on* był tu... tam w tym cieniu lip! Skrzydła jej urosły, z okna swej baszty na skrzydłach zleciały ku niemu... nie tak jak Aldona, która na prośby Konrada zstąpić z swej wieży nie chciała. O! Aldona nie kochała tak, jak ona kocha!...

A gdyby *on* chciał znowu całusem zakłócić jej spokój?... Nie, *on* dobry, *on* widział wtedy łezki w jej oczach, *on*by tego po raz drugi już nie zrobił. ...

Och, gdyby *on* tu był!

Westchnęła.

Szmer jakiś usłyszała za sobą.

Odwrociła się ku drzwiom — i do wielkiego krzyku przerażenia podniosło się jej łono. Lecz, jakby na widok czegoś nad wyraz strasznego, krew lodem ścięła się jej w żyłach. Zdrętwiała, niezdolna do wydania głosu.

Za nią, z błyszczącymi złowrogo siwemi oczyma i uśmiechem satyra na ustach, stał Ignacy i gładził spokojnie rudą swą bródkę...

Ale chwilkę tylko. chwilkę tak krótką jak mgnienie błyskawicy widziała go z tym uśmiechem i z temi oczyma. Zaledwie ją ujrzał, ruchliwe rysy jego twarzy jakby trącone tajemną sprężyną, przybrały inny wyraz, inny i znowu inny. Burza zmarszczków, jakby fal, pehniętych siłą gwałtownego wichru, przepłynęła przez tę twarz rumianą, rysując ją w najrozmaitszych kierunkach.

— Nie chciałaś pani dać mi *rendez-vous* w ogrodzie— rzekł wreszcie nieśmiało z kłamanym jakimś spokojem, starając się ubarwić głos swój tonem boleśnej wymówki, z po za którego przebijała się niedwuznacznie ironia tryumfatora.

— Nie chciałaś... Musiałem innej szukać drogi... Przebacz mi Klaudyo!... Ja cię ratować muszę! Wbrew twej woli nawet!... Choćbym życiem przypłacił!... Ja cię Kocham!...

Ugiął przed nią kolano i pochwycił ją śmiało za rękę.

Czy na te wyrazy, czy na to dotknięcie, ocknęła się Klaudya z otrętwienia.

— Co to znaczy? — zawołała z oburzeniem, wyrывая rękę z jego dłoni: — Jak pan śmiesz tu wchodzić?... Karolino!... Marysiu!...

I zerwała się ku drzwiom.

On powstał z ziemi i drogę jej zastąpił z uśmiechem pobłażania, z jakim się zatrzymuje rozswawolone dziecko.

— Wyjść pani ztąd nie dozwolę — a służących niech pani nadaremnie nie woła. Spią.

Klaudya nie przestawała z całej siły wołać na służącą i pokojówkę. Od garderoby pokój jej tylko drzwi parapetowe oddzielały.

— Spią — powtórzył dobitnie Ignacy — i nie obudzą się. Za sto dukatów i najprzywiązawsza panna służąca twardym snem usnąć potrafi — a Maryska za dziesięć.

— To nizeczemnie! podłym pan jesteś!... Puść mnie pan!...

I chciała siłą do drzwi się dostać.

Ignacy klucz w zamku obrócił i schował do kieszeni.

— Bądź pani rozsądną — rzekł stanowczo. — Jam silniejszy. Siądź pani i posłuchaj.

Odprowadził ją do kanapy i posadził.

Klaudya zaprzestała oporu. Wzrokiem wziętej w niewolę królowej patrzyła mu prosto w oczy. Usta jej drżały jak w febrze.

— Czego pan chcesz? — zapytała z dziwną odwagą.

— Chcę cię ratować, Klaudyo!... Kocham cię!

W błyszczących gniewem jej oczach łatwo było wyczytać odpowiedź: pogardę.

— Tak, kocham cię, szalenie, namiętnie! A ty mnie nienawidzisz. ...

— Nienawidzę, pogardzam.

— Ale mnie będziesz musiała szanować, gdy się dowiesz, co mnie zniewala do tego kroku... do tego nocnego napadu, jeśli chcesz, na który jednak nigdybym się nie odważył, gdyby tu nie o ciebie szło, o twój honor, o twoje szczęście. ...

— Mój honor! moje szczęście! — powtórzyła z ironią.

— Bo ja cię czezę, Klaudyo, jak anioła—jak świętą...

I dodał po chwili milczenia:

— Choć ty nie anioł już — i nie święta!...

Zakrył oczy obiema dłońmi, jakby miał płakać. Przez szpary między palcami patrzył na Klaudyę, której blada twarz karmazynowym pokryła się rumieńcem. Przypomniła sobie całus skradziony w ogrodzie.

A na widok jej pomieszania, z umysłu rzucone przez niego posądzenie, w rzeczywiste wzrastało podejrzenia.

— Wiem o wszystkim! — rzekł głosem, jakoby tłumionym od łkania, wydobywającego się z piersi. I nagle zmieniając postawę, pięści zaciśnięte podniósł z wściekłością w górę i zaryczał:

— Ha, ten niekzemnik!... Jakto? I pani mu dotąd wierzysz? Jeszcze go kochasz!

— Kogo? o kim pan mówisz? — drżącym wyszeptala głosem.

— Pocóż się pytasz Klaudyo!... Biedna! ty wierzysz mu jeszcze, ty sądzisz dotąd jeszcze, że Oleś cię kocha... że to miłością było, co było z jego strony najstraszniejszą zbrodnią!...

— Zbrodnią? — zapytała, mierząc go przez chwilę wzrokiem pełnym oburzenia. Ale nieszczęsny pocałunek w lipowej alei, znowu jej żywo stanął w pamięci. Rumieniła się na przemian i bladła. Wszak sama nazwała pocałunek ten „grzechem“, ale zbrodnią? nie, nie pomyślała nigdy, aby go kto „zbrodnią“ mógł nazwać!

A Ignacy mówił dalej:

— Tyś mu zawierzyła!... Krok po kroku... dzień po dniu... coraz bardziej zbliżał się do ciebie... osnuł cię jak pająk zdradziecką siecią, miodowe słówka kładł ci w uszy, ukołysał cię i uspił twoją czujność... Jedna chwila słabości...

Ignacy cedził słowo za słowem, patrząc jej w oczy. które ona teraz spuścić ku ziemi musiała. „Zkąd on wie o tem?“ dręczące cisnęło jej się na myśl pytanie. I jedną tylko mogła znaleźć odpowiedź: Oleś, tylko Oleś mógł wydać tę serca najskrytszą tajemnicę. ... Oh! to boleśne, to nad wszelki wyraz boleśne! I przed kim ją zdradził! przed Ignacym!

Byстрыm wzrokiem śledził Ignacy widoczne jej pomieszczenie, jej rumieńce, każde drgnienie powieki. Zdawało mu się teraz, że dla jego podejrzeń nie ma prawie już wątpliwości. Powziął je przed chwilą i miał już nieledwie pewność, że są prawdziwe. Ktoby spojrział teraz na jego twarz wyrazistą, w jego duże, siwe oczy, widziałby, że w nim się odbywa walka sprzecznych jakichś namiętności. Ale jakich? Tegoby nawet nie docieknął, ktoby w głąb duszy mu zajrzał, tak tam te straszne zapaśnice w walce były z sobą splątane. Nakoniec chłód jakiś, jakby chłód spekulanta rozlał się po jego twarzy, kontorsyie zazdrości czy nienawiści ustąpiły miejsca jakowemuś zadowoleniu, snadź, w duszy mu błysła myśl: Kiedy tak, to mi się długo opierać nie będzie...

— Pobawił się tobą, pochwalił się przed ludźmi, i porzucił... (zawołał z emfazą), ale ja nawet upadłą podniosę i uratuję!...

I spojrział na nią takim wzrokiem, jakby trzymał w ręku szalę i życia i śmierci.

— Pobawił się? porzucił? upadła? — powtórzyła Klaudya głucho sama do siebie, jak uśpiona powtarza słowa magnetyzera. Porzucił?... i ocknęła się z tego snu na dźwięk tych wyrazów. Kto? on? Oleś, porzucił?... Nigdy! nie, to nieprawda!

I całą nagle odzyskała przytomność.

— To fałsz! — zawołała głośno i z dumą podniosła czoło: to wszystko nie prawda! Milez pan — bo obrażasz mnie i jego!... Mój ojciec nie jest mu przeciwny. Nie ma w tem zbrodni, że się kochamy!... Chcesz pan wiedzieć? dochodzisz pan? A więc powiem, że go kocham, kocham z duszy całej i będę jego żoną... jego, albo niczyją!...

Prześliczną była w tej chwili, z płomieniejącymi zapaleniem oczyma. Osłupiał zrazu Ignacy w obec tak nieprzewidzianego zwrotu, rychło jednak odzyskał przytomność i rzekł spokojnie:

— Jego żoną być nie możesz Klaudyo.

— Jakiem prawem mówisz pan ze mną o tem? jakim prawem mówisz pan do mnie „Klaudyo“? Czego pan chcesz odemnie? Słyszałeś pan, że kocham pana Aleksandra. Na tem wszelka między nami w tym przedmiocie kończy się rozmowa. Teraz pan wyjdź ztąd!

Ignacy uśmiechnął się dobrotnie.

— Jego żoną być pani nie możesz... powtórzył, kładąc przycisk na każdym słowie. — Nie możesz... według praw boskich i ludzkich!

Spojrzała na niego zdziwiona, jakby pytając o przyczynę.

— Nie chciałem ci zranić serca tak boleśnie, Klaudyo... i dorzucił z westchnieniem: ale muszę! Po to tu przyszedłem niestety!... Muszę całą odsłonić ci prawdę... On nie może być mężem twoim, bo on jest...

I zniżając ton głosu, dodał po chwili milczenia:

— Bo on jest... bratem twoim Klaudyo...

Osłupiałym spojrzała na niego wzrokiem, jakby niezrozumiałym przemówił do niej językiem.

— Są listy twojej matki. ...

— Matki? mej matki!

Zwróciły się jej oczy mimowiednie na portret matki, wiszący na ścianie, jakby od niej żądała zaprzeczenia oszczerstwa. Znała ją tylko z portretu.

— Czytałem je. Będziesz je pani czytała... Bo ci przysięgam, że je wydobanę z tych rąk, w których być nie powinny! Choćby kosztem życia!

— W czym są ręku? — zapytała niespokojnie.

— Ale moją być musisz Klaudyo! — dokończył Ignacy.

Promykiem światła w ciemną otchłań — tak padły te słowa w duszę Klaudyi: mary, które ją trapiły, rozwiały się jak utwór wyobraźni.

— To kłamstwo! to potwarz na moją matkę rzucona!... On nie jest moim bratem! nie!

— Nie? — odrzekł najspokojniej Ignacy. — Mógłbym panią jego własnymi listami przekonać, w których cię siostrą nazywa. ... Znasz pani jego pismo?

Klaudya zawahała się z odpowiedzią.

— Znam — odrzekła po chwili. Znała je zaledwie z widzianego raz jeden listu, który jej ojciec dał przeczytać.

Coś nakształt przelotnego błysku przemknęło po twarzy Ignacego.

Wyjął z zanadru kilka listów i jeden z nich położył przed nią na stole.

— Czytaj pani.

Założył ramiona na piersi jak bohater i czekał, śledząc oczyma wrażenia na twarzy Klaudyi. Fale drobnych zmarszczeków przesuwwały się po jego twarzy, jakby na jeziorze poruszonem od wichru.

Pochwyciła list jej podany, zbliżyła do lampy i poznała znane jej pismo Aleksandra. Tak, to jego pismo! Znała je z listu, pisanego do jej ojca. Tak, to jego pismo. Chciała czytać, ale ręce jej drżały, szeleścił papier w jej

drobnych palcach, niewyraźne litery skakały i mieniły się jej w oczach.

— A więc on wie? — zapytała smutnie.

Wypogodziła się twarz Ignacego.

— W biurku swego ojca sam znalazł listy nieboszczki pani majorowej.

— Ah! a więc te listy w jego, w jego rękę! — szepnęła Klaudya takim głosem, jakby chciała mówić o jakimś wielkiem szczęściu.

Uśmiech szyderyczy prześliznął niepostrzeżenie po ustach Ignacego.

— Czytaj pani.

Łzy kroplami padały jej z oczu, przez te łzy zaczęła czytać:

W liście stały następujące wyrazy:

Kochany Ignasiu!

Napróżno przypominasz mi o terminie. Wszelkiemi drogami starałem się o pożyczkę — ale nadaremnie. Za kilka tygodni zlicytują mój i matki majątek, a o oddaniu Tobie i zapłaceniu innych honorowych długów nie ma mowy. Matka znajdzie u krewnych przytułek — a ja sobie w łeb palnę. Daję ci tu na piśmie na to najświętsze słowo. Winienem to nazwisku, które noszę, winienem to zresztą sobie samemu.

Nieszczęście, w które samoświadcząc wpadłem, należy odpokutować. Wiem o tem i krwią własną zmyję te fałszywe podpisy, którymi się chciałem ratować. Co mi najboleśniej, to ta myśl, że Ciebie, mój poczciwy bracie zrujnowałem.

Przebacz mi i nie przeklinaj mojej pamięci! Żądając od ciebie tak wielkiej ofiary majątkowej, której mi wielkodusznie nie miałeś serca odmówić, czyniłem to w dobrej wierze i z tą pewnością, że wkrótce z posagu Klaudyi dług mój zwrócę. Ona mnie kocha, a Major mi zawsze był przy-

chylny, odwlekał wprawdzie nasze połączenie, ale gdybym ją nawet wykradł z domu rodzicielskiego, tłómaczyłyby to sobie tylko moją miłością, nie posądzając o inne pobudki i dałby się z łatwością przebłagać. Liczyłem na to i nie wahałem się zażądać Twojej pomocy.

Dziś stoją rzeczy całkiem inaczej. Po owem nieszczęsnem odkryciu, którego Ty i Seweryn byliście świadkami, po znalezieniu listów Majorowej w kryjówce biurka ś. p. mego ojca, nie mogę już myśleć o zaślubieniu Klaudyi. — Wyznaję ci ze wstydem, że przebywałem ciężkie walki z samym sobą, w których nieraz przychodziła mi myśl, aby listy te oddać na pastwę płomieniom... i całe odkrycie puścić w niepamięć. Ale nie! głos natury przemógł we mnie. Burzyła się we mnie krew moja i włosy stawały na głowie na myśl kazirodezych związków z rodzoną siostrą. Ocaliłbym może tą zbrodnią siebie, moją matkę, Ciebie i kilku jeszcze zacnych ludzi od ruiny majątkowej, a nadto honor mój i naszej rodziny — ale... to nad siły, nie mogę! — Czuję, żebym oszalał, stając z nią przed ołtarzem. Seweryn grozi mi więc bez potrzeby, że, zanimby dopuścił do tego związku zbrodniczego, raczej wszystko wyda. Popełniłem może niekzemność ratując się od wierzyieli w tak lekko-myślny sposób, ale zhańbić własną siostrę, to byłoby więcej niż niekzemność. Tegom niezdolny.

Klaudya moją być nie może: wiem o tem.

Klaudya będzie twoją, mój pocziwy bracie! Wstręt, jaki ma do ciebie, to tylko panięskie urojenie. Wstręt ten ustałby może od razu, gdyby się dowiedziała, że ja bratem jej jestem. Ale ja nie mam odwagi tego jej powiedzieć.

Oh! chroń mnie Boże! aby mi nie przyszła pokusa widzenia się z nią jeszcze! bo mógłbym przy niej zapomnieć o wszystkim i uleść zbrodniczemu zmysłom szaleństwu...

Ona będzie twoją! Myśl ta powinna mi być pociechą, bo wiem, że siostra moja będzie z tobą szczęśliwą, szczę-

śliwszą, niżby mogła być ze mną. Ja nie umiem tak kochać jak ty... namiętnie i wiernie aż do szaleństwa. Znasz mój stosunek z Walerką i Cesią i wiesz jaki jestem. A jednak przyznaję ci: gdy pomyślę, że ona twoją będzie — zazdrość mnie pali, jakbym piekło miał w sobie.

Tyś mnie wprowadził w dom Majora. Wiedziałem, że kochasz szalenie Klaudyę, że Major ci sprzyja, że ci się szczęście uśmiecha. Wiedziałem o tem wszystkim, a jednak zawróciłem głowę biednej dziewczynie, a zaufanie, jakie Major miał do ciebie, podkopałem nikczemnie. Srogo jestem ukarany.

Czuję teraz całą szlachetność Twego postępowania. — Widząc, że Klaudya ku mnie się skłania, usunąłeś się, aby nie być zawadą jej szczęściu, chociaż ci serce z bólu pękało. Ileż ja wyrządziłem krzywdy wam obojgu!

Niech ci to miłość mej siostry wynagrodzi! To moje ostatnie pragnienie!

Przebaczcie mi! zapomnijcie! Od dziś za sześć tygodni ja będę już w grobie. — Klaudya będzie Twoją. — Bądź szczęśliwy!

Twój przywiązany krewny

Aleksander.

Nie będziemy się starali wypowiedzieć, co się działo w sercu Klaudyi przy czytaniu tego listu. Za słabe nasze pióro do wyrażenia tak wielkiej boleści. Szlochaniem przerwywała ciche czytanie, w którym każdy wyraz zaprawny był dla niej trucizną, w którym każde słowo zabójczym było dla niej ciosem.

— Ratuj go pan! — wyjąkała wreszcie zaledwie zrozumiałym głosem, wyciągając ku Ignacemu rękę.

Ignacy nie pochwycił tej ręki. Stał nieporuszony.

— Ratować? — rzekł nakoniec: — Ale jak? Oddałem mu cały mój majątek. Nie ma ratunku — tylko jeden. Zostań moją żoną Klaudyo — a twoim posagiem wykupię życie twego brata.

— Zostanę... odpowiedziała bez namysłu.

Pochwycił jej rękę i całował z zapałem. Ona zadrgnęła, ale się nie broniła.

Przycisnął rękę jej do swoich oczu, jakby chciał, aby na niej łyzy jego poczuła. Ale oczy miał suche. Wargi mu tylko płonęły namiętnością, jakby żarem napełnione.

Wtem kroki jakies dały się słyszeć na korytarzu... bliżej i bliżej, tuż pod drzwiami pokoju. U drzwi zatrzymał się nagle idący....

Klaudia struchlała.

Chmura gniewu przewrzała po twarzy Ignacego, fałdując ją w najrozmaitszych kierunkach. Lecz snadź przypomniał sobie, że drzwi na klucz zamknięte, wnet wygładził czoło i tylko wymownym ruchem ręki nakazał Klaudyi milczenie — na wpół błagając, rozkazując na poły.

Przed chwilą byłaby Klaudia przechodzącego korytarzem witała jak zbawcę i wołała go na pomoc, teraz truchlała na myśl, że ktoś przeszkodzić może rozmowie. Wszak tu szło o życie ukochanego. Ręka jej w rękę Ignacego drżała konwulsyjnie.

— Ej, ej, panno Lodziu! — odezwał się za drzwiami doktor Czarka. — Jeszcze nie śpisz, jeszcze nie zgasiłaś lampy!

Ignacy zdmuchnął lampę coprędzej.

— Czyś pani nie chora? pytał doktor.

— Nie... wyjękła z trudnością Klaudia.

— Ale płaczesz... słyszę to w twoim głosie. No, no, uspokój się, ojcu lepiej, znacznie lepiej. Posłałem po inne lekarstwo.

Słychać było oddalające się kroki doktora — a po chwili zamknięcie drzwi na końcu korytarza.

— Co majorowi? — zapytał wreszcie Ignacy, przerywając milczenie.

— Paraliż...

— Paraliż! — powtórzył Ignacy głosem, w którym czuć było, że miłej doznał niespodzianki. Ciemność nie dozwalała widzieć wyrazu twarzy.

— Tak, dziś rano zachorował... po rozmowie z panem — rzekła Klaudya, usuwając się na drugi róg kanapy, na której zasiadł był przy niej Ignacy, trzymając ciągle jej rękę w swych dłoniach rozpalonych i szorstkich.

— To pan sprawiłeś! — rzekła surowo. A na wspomnienie chorego ojca i chwil dziś rano przebytych przy jego łożu, obudziła się uśpiona odraza do Ignacego i wszystkie uzasadnione podejrzenia straszyla.

— Ojciec strasznie zagniewany na mnie, obecności mej nawet nie znosi — a domyślić się powodu nie mogę... Co pan z nim mówiłeś dziś rano? mów pan!

— Nic, nie wcale... O obojętnych rzeczach słów kilka... Pożegnałem się tylko... Taki był uprzejmy dla mnie, w wybornym humorze. Nie pojmuję!... Aha! to może ów nieszczęsny list, który przyniesiono, gdy się z nim żegnałem... Zdaje mi się, że poznałem na kopercie pismo Aleksandra! ... Ale cóżby w tym liście być mogło?

— List? od Aleksandra? — powtórzyła w zamyśleniu Klaudya.

— Nie traćmy czasu, Klaudio, na próżnych domysłach. Zabierz co ci najpotrzebniejsze i jedźmy. Do ucieczki wszystko gotowe. Za stodołą czeka mój powóz. Nad ranem będziemy w parafii, gdzie sobie zjednałem wikarego, który nam da ślub — a jutro...

— Co?... uciekać! Po co? — zapytała Klaudya z nieudanem zdziwieniem.

— Jak to? czyż sądzisz, że major zgodziłby się na nasz związek?... Nigdy! On cię przeznaczył dla Olesia, a mnie nie cierpi. A zresztą: zważ tylko, czy tu możebna zwłoka!...

— Czemu? — zapytała głucho.

— Nie pojmujesz pani? Najprzód dla samych już tych pogłosek, które cię kompromitują w najwyższy sposób....

— Wiem... słyszałam... To pan je rozpuściłeś!

Zawahał się chwilę, rychło jednak odzyskał przytomność.

— Tak jest! ja!... Przyjaciele Olesia opowiadali całemu światu szczegóły waszych schadzek, któremi się im pochwalił. Dziś, gdy jego żoną być nie możesz, nie pozostawało mi nic innego dla ratowania twej dobrej sławy, jak rozgłosić, że te szczegóły nie Olesia, ale mnie się tyczą, że jesteś moją Klaudyo!

— Mój Boże! mój Boże! — jęka nieszczęśliwa.

— O twój honor idzie!... Ale i o Olesia życie. Wszak wierzyście czekać nie będą, a Oles za sfałszowanie weksli pociągnięty do odpowiedzialności, wahać się nie będzie: zastrzeli się... Tu trzeba, abyśmy byli po ślubie, żeby posagiem rozporządzić można.

— Ja się pisemnie posagu wyrzeknę, na zaspokojenie jego wierzycieli.

— Jesteś małoletnią.

— A więc wystarczy pisemne moje oświadczenie, że pójdę za pana... do roku. Niech choć rok poczekają jeszcze.

— Niepodobna.

— A jeśliby ojciec nie chciał wcale wypłacić mi posagu?

— Jeśli nie umrze, to da się przebłagać. A jak nas będą widzieli pobranych, to i kredytu nie odmówią... Chodź Klaudyo, czas leci!

Pochwycił jej rękę gwałtownie i obsypał pocałunkami.

— Nie, nie! ja tak odjeżdżać nie mogę. Ja nie mogę porzucać ojca w tej chwili — chorego, umierającego, zagniewanego na mnie...

— Ależ to nie twój ojciec!

— Oh! to zawsze mój ojciec! On jak córkę mnie kochał! Tem więcej jestem mu winna, jeśli cudze wychował

dziecko, jeśli jego pieśczęty i dobrodziejstwa odbierała, nie mając prawa do tego... oh! biedny mój ojciec! Nie, nie, ja go teraz opuszczać nie mogę!

— A więc wydajesz pani wyrok śmierci na Olesia?

— Nie! nie!... Pójdę za pana. panie Ignacy—przysięgam — ale go pan ratuj!

— Ja go uratować nie mogę bez pomocy pani! Jedź Klaudyo ze mną, jedź natychmiast, póki czas!

Złożył przed nią ręce błagająco:

— Czas leci! za chwilę może nam kto przeszkodzić! Na Boga, Klaudyo, ty będziesz winna śmierci jego... i mojej, bo i ja także tu u nóg twych sobie mózg roztrzaskam, jeśli mnie z niezem odprawisz... Po co mi wtedy żyć!

I ostentacyjnie wyciągnął z kieszeni pistolet, jakby się chciał przekonać, czy go ma w pogotowiu.

— Nie, nie żądam pan odemnie tego, czego uczynić nie mogę... w tej chwili. Ja będę twoją żoną, panie Ignacy — mówiła łkając — na wszystko najświętsze, na imię mej matki przysięgam, że nie cofnę danego ci słowa. Ale dziś? dziś mi niepodobna opuścić ten dom... mego ojca... wszystko...

— Dziś, za godzinę, przeminie chwila sposobna, a jutro może już nie wróci — i wszystko stracone! Nie, Klaudyo, ty musisz, musisz jechać — zaraz!

I pochwycił ją za ramię, jakby chciał ku drzwiom prowadzić.

— Jutro... pojutrze... gdy mu będzie lepiej, do nóg mu się rzucę, czołem będę bić o podłogę, włosami ziemię zamiatać — i ubłagam, aby oddał mój posag Aleksandrowi... Wszystko mu powiem...

— Wszystko? — z ironią zapytał Ignacy — ha, to powie: idź za niego. Cóż wtedy powiesz mu Klaudyo? Nie mogę, bo to mój brat?

— Ja powiem... powiem, żeś to pan w niebezpieczeństwie, że to ja pana chcę ratować... że ja pana...

— Że mnie pani kochasz? nieprawdaż? Cha, cha! temu stary nie uwierzy. — A choćby uwierzył, nie dałby mi ciebie. A na mój ratunek, nie wydałby i grosza! Nie łądź się pani napróżno takimi planami. Jedna tylko droga i jeden środek ratunku — chodź!

— A jak się jutro dowie ojciec o mojej ucieczce... on umrze.

— Nie bój się Klaudyo. Jutro mu nie powiedzą. — A potem powiedzą, żeś chora, a potem... eh! kiedy dziś rano nie umarł, to już chyba nie umrze... A zresztą, co ci do niego! czy to twój krewny? ojciec? brat?

— A jak *on* się dowie? co *on* wtedy powie? o co *on* mnie posądzi?... On będzie mną pogardzał!

— Kto? Oleś? Ależ on sam chce tego oddawna. On wie dobrze, że to jedyny sposób, aby wyszedł cało z tej matni. Sam mi pierwszy zaproponował, abym cię wykradł, lub porwał... To jego plan!

— Co? on?... to nieprawda!... zawołała Klaudya, zalamując ręce.

— Nie wierzysz? jakto? znowu nie wierzysz? Dobrze więc! kiedy chcesz, to czytaj drugi jego list....

I pocierając zapałki, usiłował zapalić świecę, stojącą na biurku. Przez okno otwarte dmuchał wietrzyk silniejszym przeciągiem i gasił zapałkę po zapałce, zaledwie płomyk na której zabłysnął. Przy tych błyskach jaskrawego światła, twarz Klaudyi, przerażającej bledości, gorączkowem jakimś, nienaturalnem jaśniała życiem; drgały w niej nerwy, jakby mierzonym na takty prądem elektrycznej targane maszyny.

Na rumianej twarzy Ignacego osiadł spokój myśliciwa, pewnego swej zdobyczy; w pół-przetwarte usta, chłoneły chciwie powiew wietrzyka, nasycony wonią jaśminu, a pośród czerwonych warg, wzdętych jakimś rozkosznem zadowoleniem, szeregiem ostre, białe, świeciły zęby.

— Nie chciałem pokazać ci tego listu — mówił on, rzucając na dywan przygasłą zapalną — bo nie chciałem nielitościwie deptać twoich ideałów, zniweczyć szacunku twego dla niego...

Zapalił świecę, a postawiwszy ją przed Klaudyą, wyjął list z pularesu i podał.

— Szanować chciałem uczucia twoje, oszczędzić ci bóleści... i przemileżeć. Zmuszasz mnie, abym całą ci wyjawiał prawdę. Chcesz? czytaj!

Machinalnie zapalił cygaro i w zamyśleniu zmierzył kilkakrotnie pokój i alkwę wielkimi krokami, rzucając od czasu do czasu przelotne na czytającą spojrzenie, jakby śledził wrażeń, jakie wyrazy listu na nią wywierają. Nakoniec usiadł w alkwie na jej białej pościeli i w nawpół leżącej postawie oparł głowę na poduszkach, gęste kłęby dymu wydmuchując w powietrze. „Ileż to ceregieli z tą dziewczyną!“ zdawał się myśleć.

Klaudia chciała czytać — nie mogła. Lewą rękę cisnęła gwałtownie do serca, bo serce pękało z bóleści, pękało od przecucia treści tego listu.

— Dziwna rzecz, dziwna prawdziwie! — mówił Ignacy półgłosem, jakoby to sam do siebie: że człowiek tak szlachetny, jakim był Oleś, tak znikczemnieć może, tak upaść nisko... z tchórzostwa przed śmiercią! Niedawno temu wołałby był zginąć, niż się spodlić. A teraz! a teraz!

Klaudia list czytała. Ignacy z wygodnej swej pozycji rzucał od czasu do czasu dalsze filozoficzne refleksje w kształcie komentarza.

— *Vogue la galère!* powiedział sobie Oleś, mam w błocie siedzieć, to po uszy.... Ha, ha! nie przebierał w środkach, aby mnie zmusić do tego szalonego kroku... Matko Boska!... *C'est vraiment incroyable!*... Ofiarowanej usługi i listu rekomendacyjnego do pani oczywiście nie przyjąłem... Żal mi pani serdecznie, że to czytasz... wstyd mi, że to pani dał... I to Brwicki? — mocny Boże!... Ha! z jedne-

go drzewa... A uważaj pani zakończenie... *C'est exceptionnellement fort...* jakby z francuskiej powieści... Gdyby to w powieści było, powiedzianoby, że przesadzone...

List Aleksandra był następującej treści :

„Trzy listy pisałem do ciebie i zostawiłem je bez odpowiedzi. Odrzuciwszy moją propozycję dla dziecinnych powodów, raczysz mnie teraz lekceważyć. Myślałem może, że już sobie w łeb strzelił, tak, jakem to w chwili zwątpienia zapowiadał. Strzeż się! ja jeszcze żyję i umierać wcale nie myślę za młodu dla głupiej opinii waszego świata.

.Ja chcę żyć. Mnie się od życia wiele jeszcze należy. Młodość jest piękna, świat tak piękny i pięknych dziewcząt jeszcze dość.

Nie mam zresztą powodu rozpaczać nad mojem położeniem, kiedy środki ratunku dotąd nie wyczerpane. Chciałem się z Klaudyą ożenić, mimo tego problematycznego bliskiego pokrewieństwa naszego. Oświadczyłem mi uroczyście, że tego „kazirodczego“ związku nie dopuścisz. Seweryn to samo mi napisał. Dobrze więc, niech tak będzie.

Zrobiłem ci wtedy propozycję, abyś Klaudyę ty wykradł a mnie odstąpił połowę jej posagu. Odpowiedziałeś, że „nie możesz gwałcić jej woli, bo ją kochasz“. Bezrozumny idealizm!

Jeśli myślisz, że ci ją major sam da za żonę, to się grubo mylisz. On takiego zięcia za żadną cenę nie zechce, jakim ja cię przed nim odmalowałem. Jeśli jej nie wykradniesz, to jej nie będziesz miał — a ona bez mego listu wykraść ci się nie da.

Podpisz deklarację, że połowa posagu do mnie należy, a odwrotną pocztą będziesz miał list do Klaudyi, który poskutkuje. Będzie myślała, że ją wykradasz dla mnie i — pojedzie z tobą choćby na koniec świata. Propozycję tę powtarzam ci po raz czwarty i ostatni. Ale tym razem, zaręczam ci, że to zrobisz i zdecydujesz się ją wykraść mimo całego twego idealizmu — i to nawet właśnie z powodu

tego idealizmu i twojej ku niej rycersko-poetycznej miłości. Teraz, jeśli ją kochasz, to ją wykradniesz. Słuchaj! rozgłosilem w całej okolicy o twoim z nią romansie, który mnie zniewolił do odesłania pierścionka, o waszych ponocnych *rendez-vous* w ogrodowej altanie i t. p. i tak mi się udało, że już drugi tydzień o niczem tutaj nie mówią, tylko o tym skandaliku. Opowiadają nawet... ale zostawiam ci tę przyjemność, abys sam się o szczegółach dowiedział.

Może ci się to postępowanie moje nie podoba — choć do twego dobra zmierza. Twoja wina, żeś mnie do tego zmusił niedorzecznym uporem swoim. A wszak pisałem ci, że „człowiek w niebezpieczeństwie, który zachować chce życie, straszny jest i do wszystkiego gotów, a żadnym nie ulega przesądom i skrupułom.

Teraz wykradaj ją mazgaju i żeń się z nią coprędzej, jeśli nie chcesz, aby twoja panna przepadła w opinii świata, a ty, abys był uważany za ostatniego łotra. — Ale listu mego do niej mieć nie będziesz, dopóki nie podpiszesz deklaracyi, której żądałem.

Masz jeszcze blisko miesiąc czasu na przygotowania, udało mi się bowiem przedłużyć terminu za wpływem adwokata, u którego zastawiłem pakiet listów nieboszczki majorowej do mego ojca pisanych. Adwokat mój zna się na ich wartości i wie o tem, że sam major dałby za nie nie-mało. Wykup je coprędzej, albo mu je sprzedam.“

Aleksander.

Zaczynając czytać fatalne to pismo, rzesistemi Klau-dya skropiła je łzami. Ścisnęło się jej serce w łonie, rękę przyciskała do serca, aby nie pękło. Pierwszych kilka ustępów wzmagало tylko jej ból; ciche łkanie wydobywało się z piersi, oddechu jej brakło, ćmiło się w oczach, myśli mąciły się w głowie. Wieść o zgonie ukochanego z większą przyjęłaby odwagą, niż wieść o jego moralnym upadku. —

Każde słowo śmiertelnym było dla niej ciosem, stokroć straszniejszym było od śmierci. Szalona rozpacz, boleść bez granic szarpały jej duszą. „A więc on mnie nigdy nie kochał! — powtarzała w myśli: „a więc on, on, ten mój ideał szlachetny — on nie żył nigdy; ten, któregom kochała, nie istniał wcale na świecie. On był tylko mojem urojeniem! mrzonką!“

I nie wierzyła sama sobie, oczom swym i świadomości, czy to sen tylko straszny — ten list i ta scena ponocna, czy to jawa od sennych widziadeł straszniejsza. Ciemno jej w oczach. Już nie rozeznaje liter tego pisma, nie widzi nie przed sobą, nie wie, gdzie jest, co się z nią dzieje.... Czuje tylko, że zamiera w niej życie, że wszystko dla niej się kończy.

W oczy zajrzała jej śmierć. Nie, nie, ona nie chce umierać. „Świat tak piękny“ — pisze Oleś... „Świat tak piękny — a pięknych dziewcząt jeszcze dość...“ Dreszcz zimny przebiegł ją całą, ocknęła się, czyta... nie doczytała jeszcze do połowy....

Pałac cygareto, spoglądał na nią Ignacy, nie ruszając się z miejsca; poprawił sobie tylko poduszkę pod głowę i spokojnie oczekiwał decyzji. Nie wątpił, że list podany Klaudyi najlepszy wyrwie skutek. „Jeśli rozsądek w niej przemoże — pomyślał — to pójdzie ze mną. Jeśli nerwy, to zemdleje i łatwo będzie ją wynieść. Tak, czy tak, zawsze dobrze będzie“.

Uśmiechnął się. Po chwili spojrzął na zegarek. „Ho! ho! czas leci! Trzeba będzie skończyć już te ceregiele panińskie.“ Zaczął niecierpliwie szarpać jedwabne fręzle jasno-niebieskiej kołderki.... Zadumał się... Popiół z cygara upadł na białą pościel. Otrząsł go. Po chwili jednak jakiś koncept niezwykły przyszedł mu do głowy: uśmiechnął się z zadowoleniem i po pościeli dziewczęcej pootrzęsał więcej popiołu. Zostawiał ślady bytności swej, któreby świadczyły

o poufałym jego z Klaudyą stosunku, nie pozwalającym powątpiewać, iż dobrowolnie z nim poszła.

A ona czyta. Czyta i pierwszej nawet stronnicy listu doczytać nie może. Oczom nie wierzy własnym, przytomności własnej, siły ją opuszczają, omdlewają ręce, a list, który w nich trzyma, wydaje jej się tak ciężkim, tak ciężkim, że go utrzymać nie może. ...

Ocknęła się znowu. Nie, trzeba skończyć! Przetarła oczy. Krew jej do głowy uderza, biją gwałtownie pulsa. Oparła się piersiami o stół, głowę podparła rękoma, zwiesiła czoło nad listem — czyta. Wietrzyk od okna podmuchem ją rzeźwi, omdleć jej nie daje...

Ach, jaka woń jaśminu. ...

Taki sam wietrzyk wiał, woń taka sama rok temu rozlewała się w powietrzu owego wieczora, gdy *on* jej rzekł, że ją kocha nad życie, nad wszelkie myśli i marzenia swoje, — że gdyby ona, jej postać, jej dusza snem była, onby ten sen nad całą ukochał rzeczywistość świata.

I rzekł jej wtedy, że odkąd ją kocha, pokochał wszystkich ludzi, cały świat! Dla wszystkich pragnąłby szczęścia, dla wrogów nawet... I sam się wtedy śmiał z siebie, że zapalony myśliwy, odkąd pokochał, polować nie lubi, bo mu przykro pozbawić życia, choćby ptaszynę.

... „Lepszym się stałem miłością moją i teraz boję się słowo wyrzec takie w rozmowie z przyjaciółmi, które-gobym nie śmiał powtórzyć przy tobie, wzdrygam się na każdą myśl, którejbym tobie nie mógł udzielić. Wydaje mi się, że każda myśl taka rysuje się skazą na mojej duszy — a ty mnie już mniej kochasz“.

... „A czasembym znowu pragnął wielkie staczać boje z ludźmi i światem całym, aby cię zdobyć i wielkim jakim czynem stać się ciebie godnym, walczyć i zginąć u twoich stóp“.

... „I wolałbym ziemię i niebo postradać i ciebie utracić na zawsze, niż abys ty wiarę utraciła we mnie i kochać przestała“.

„Kochasz mnie?“ — „Kocham!“

Jakto? i *on*, *on*! *on*! miałby napisać ten list?...

Nie! Chyba to fałszem wszystko, kłamstwem, niekierownością bez granic! — To list podrobiony!...

Czy ten drugi tylko? czy oba?...

I zdawało jej się, że list drugi, haniebny, nie tylko duchem technicznie innym od pierwszego, ale że innym pisany charakterem.

O! ten list nie od niego, to pewnie!

A pierwszy?... mój Boże! mój Boże!...

Może podrobione oba!... Czy oba?

Ale ten drugi list — ach, jakże mogłam uwierzyć na chwilę! To fałsz tak jawny, to haniebna sztuczka, aby mnie w przepaść pociągnąć!

Boże mój, dzięki ci!... Boże, dajże mi siły! natchnij mnie dobrą jaką myślą, jakby się wyrwać z rąk tego szatana!

Co począć? co począć?...

Ztąd mu się nie wymknę — ale na korytarzu — na schodach... Powiem mu, że z nim pojedę, a na korytarzu zaczęnę wołać ratunku... Słudzy nadbiegną...

Ochłonęła. Zbierała w sobie siły i odwagę na stanowczą chwilę.

I już bez łez i drżenia, śmiało przebiegła oczyma list do końca, płomieniejąc z oburzenia na niegodziwca, który na chwilę zdołał zachwiać jej wiarę w ukochanego.

Skończyła — list złożyła spokojnie i powstała. Nie chwiała się nogi pod nią.

— Pojadę z panem! Chodźmy, jam gotowa! — rzekła tonem stanowczym, nawet wesoło.

Jednym rzutem zerwał się Ignacy na nogi i poskoczył ku niej. Cygaro z ust wyrzucił na pokój.

— Klaudyo? — zawołał niepewnym jakimś tonem, który miał zachwyty radości czy rozczulenie wyrażać, a w którym czuć było raczej zdziwienie.

Liczył on na pomyślną decyzję Klaudyi, liczył na to, że po przeczytaniu listów, „rozsądek“ i konieczność ratowania honoru własnego i honoru matki i życia brata przemoże wszelkie wstręty serca, skoro dla serca list żadnej nie zostawia nadziei. Nie zadziwiłaby go zatem decyzja Klaudyi. Zadziwił go tylko dźwięk jej głosu, czysty, śmiały, wesoły. Nie drżały w tym głosie łyzy, nie było w nim słychać rozpaczki, ani żalu, ani nawet tego mimowolnego patosu, jaki wywołuje zawsze krok tak stanowczy, postanowienie tak ważne, a tak nagle powzięte pod przemożnym naciskiem nieubłaganej konieczności, czy też za natchnieniem rozpaczki lub zemsty.

Patrzył na nią przez chwilę milczący, jakby osłupiał.

Uśmiechnięta, z podniesionem odważnie czołem, jak bohaterka, która wierzy w zwycięstwo — powtórzyła:

— Chodźmy!

Nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną.

— Klaudyo! — zawołał z komedyanckim gestem, mającym wyrażać uniesienie idealnej miłości: A więc tyś moja! moja! . . .

Rozpłomieniały mu siwe, wypukłe źrenice, lecz nie idealnym blaskiem oczu marzyciela, ale piekielnym żarem rozkiełzanej namiętności.

— Tyś moja! — i pochwycił ją w żylaste ramiona, obejmując wiotką jej kibić, aby ją do serca przycisnąć.

Zadrgnęła i gwałtownym ruchem wyrwała się z tego objęcia, odskakując od niego o kilka kroków.

— Po ślubie! — rzekła, jak mogła najspokojniej. Ale jej rysy i cała jej postać i ruch, jakim wydarła się z jego ramion, taką wyrażały odrazę i nienawiść, że o jej uczuciach nie mogła pozostać już wątpliwość.

Dziką kontorsyą wściekłości przekrzywiła się twarz Ignacego. Zapanował jednak nad sobą.

— Przebacz, najdroższa! — rzekł z przymileniem, łagodny jak baranek.

Szukał po kieszeniach klucza od drzwi pokoju, które był zamknął.

Spojrzał na nią: niecierpliwość dręcząca malowała się w jej rysach.

— Czemu nie weźmiesz pani na siebie zarzutki lub szala? Ranki bywają chłodne.

W tej chwili pod oknem w ogrodzie dał się słyszeć szepc jakiejś rozmowy.

— Ratunku! — zawołała Klaudia. — Ratunku! — i jednym skokiem była już przy oknie.

Wpół ją pochwycił żelaznym ramieniem, odciągnął od okna i przyciskając z całej mocy do siebie, usta jej zamknął swemi ustami. ...

* * *

Nie sprawdziła się smutna przepowiednia, którą pan Robert przed rokiem, w dzień swoich imienin, odjeżdżających gości pożegnał. Przekroczył starzec ową, wedle jego mniemania fatalną dla rodziny Brwickich „szóstkę z siódmką“ i oto dzień siódmy czerwca zgromadza znowu w skromnym dworku Płotkowskim cały zastęp corocznych gratulantów.

Znowu starzec, jak przed rokiem, siedzi na ganku w odwiecznym skórzanym fotelu, otoczony licznym gronem starych i młodych Brwickich, poprawia machinalnie szeroki fontaż białej chustki na szyi, przygląda się wypędlonym i poplamionym połom granatowego fraka, posądzając najnieśluszniej Onufrego, że ich z prochu należycie nie wytrzepał.

Znowu przymawia pani Pawłowej, że z dziewięciorga swoich dzieci, tylko czworo przywozła na imieniny do dziadunia. Znowu rumieni się i dostaje tremy, ile razy któremu z dzieci p. Marcelego, przy recytowaniu wierszowanego powinszowania pamięć nie dopisze.

Onufry, gładko ogolony, z serwetą na ramieniu, stoi za fotelem w piaskowym surducie z peleryną miasto kołnierza, zasłania dłonią oczy od słońca i wypatruje gości, jadących drogą ku Płotkowicom. Gdy kto z obecnych opowie co zabawnego, lub p. Bartłomiej rozśmieszy towarzystwo jaką pocieszoną facecyjką, Onufry z równą, jak w roku przeszłym ciekawością, chłonie każde słowo szeroko otwartymi ustami, aby przytępemu słuchowi w ten sposób dopomóż — a w końcu basowym swoim głosem roześmieje się głośniejszy i serdeczniejszy od wszystkich.

Ale pan jego nie śmieje się i nie cieszy z miłymi gośćmi w tym roku, tak jak to zawsze bywało. Uśmiech jego jakby wymuszony. Uleciał gdzieś z ust ten wyraz, pełen słodyczy i łagodności, który mu jednał serca ludzkie. Zaduma jakaś posępna na jego czole. Już on nie ten sam, jakim był przed rokiem.

Miałżeby to być wpływ wieku? Miałżeby rok jeden życia o tyle powiększyć brzemię jego lat? Wszyscy widzą w nim zmianę i zadają sobie takie pytania z niekłamanem dla starca współczuciem.

Dziarską czwórką bułanków zaprzężony elegancki powóz zajeżdża na dziedziniec. Krakowiak z kozła strzela z biczem po dwakroć. To państwo Adamostwo.

— Cha, cha, a licowy zawsze się strychuje! — zawołał Onufry, skory do wznowienia przeszłorocznej w tym przedmiocie dyskusji.

Pan Robert, jakby wysiłkiem jakimś wygładził zachmurzone czoło, raźnie, jak młodzieniec zerwał się z fotelu i podał rękę wysiadającej z powozu wystrojonej jak na

bal, pani Adamowej. Młodziutka i ładna, była ona zawsze jego ulubienicą.

— Nie wiek to mu cięży, ale jakaś tajona troska — rzekł pan Paweł na ucho panu Marcelemu.

— Ale coby to być mogło?

— Trzeba wybadać.

— Co tam chcecie badać? — zapytał, przysunąwszy się do nich pan Bartłomiej.

Paweł pofałdował czoło i mrugnął oczyma, wskazując na solenizanta.

— Aha! — sapnął z pod naszczurzonych wąsów pan Bartłomiej, zrozumiałwszy o co idzie. — Hm, hm! tu coś jest... Jest dalipan!... Ja się znam na tem.

I szybkim ruchem otworzył i zamknął obie dłonie. Tym razem ulubiony gest jego zdawał się oznaczać niecierpliwość, lub niepokój.

— A to kto jedzie tą taradajką? Tych koni... koni, nie znam — zauważył pan Józef flegmatycznie.

— No! to przecież mój Kazio! własnymi końmi, swemi własnymi! — odparł żywo obrażony pan Cypryan. — I z dumą ojcowską dodał: — Przecież ma już dzierżawę od wiosny!

— A za nim kto węgierskim wózkiem?

— Abecadło! — odpowiedział pan Paweł.

— Ba! piękne mi abecadło! Bolek na czwartym roku prawa, a Henryś technikę kończy.

— No, to jużesmy prawie... prawie wszyscy...

— Ale cóż znowu! a Oleś! a Wenanty! ba! — upomniał się ze zwykłym swoim gestem pan Bartłomiej.

— Ignas! Sewerynowie! — wyliczył resztę nieobecnych pan Adam.

— No, Ignas stawić się przecież nie może tak rychło po ślubie...

— Czemu nie? Właśnie powinien żonę zaprezentować familii.

— E, e! — przeciągał pan Józef. — Wykradziona żona nie może... może się tak rychło światu pokazać...

— Cesium! — przerwała pani Pawłowa piętnastoletniej córce, przysłuchującej się rozmowie stryjasków: przynieśno mi kilka róż z ogrodu.

— Ja panią wyręczę! — pospieszył się z usługą ośm-nastoletni brunecik, któremu wąs się już zasiał na wardze.

— Nie, nie! — pochwyciła skwapliwie pani Pawłowa. — Niech Cesia idzie, ona najlepiej wie, jakiej ja chcę róży.

— Nie wiem, mamu. ...

— Idź-no tylko, poszukaj białej. ...

Pobiegli oboje.

— A cóż major? — zapytał po chwili p. Cypryan. — Czy nie wiedział jak rzeczy stoją?

— Paraliż go naruszył. ...

— To straszne rzeczy! brrrr! — zatrzęsł się p. Bartłomiej.

— Ale żyje stary?

— Nie wiem.

— A Oleś, czy wie już o wszystkim? bo to on podobno nie na żarty był zakochany w majorównie?

— Ale jak!

— I ona podobno była za nim?

— Ba! tak się zdawało. Ale czegooby Ignacy z kobietą nie dokazał, jak mu co do łba strzeli. Byłem teraz właśnie w tamtych stronach kupować kamienie do mego mły-na... no! czego tam nie opowiadają o tym romansie! Skandaliczne historie! fe!

Pan Cypryan pokręcił głową z niezadowoleniem.

Pan Józef toż samo uczynił. I p. Paweł. I p. Marcelli.

— Ba! — zakonkludował rozszerzając palce u obu rąk pan Bartłomiej.

Kilku nowych gości zajechało przed ganek. Byli to bliżsi sąsiedzi pana Roberta. Pragnęli się przyłączyć do fa-

milijnej uroczystości, zgromadzającej co roku całą rodzinę Brwických w Płotkowicach.

— Ot, Rolecki jedzie....

— Z żoną?

— Ale gdzież! Sewerynowa całkiem nie wstaje. Podobno to nie na żarty galopujące suchoty.

— Niepodobna! Kobieta jak łania!

— Baa! — przeciągnął smutnie pan Bartłomiej, roztwierając dłonie szeroko.

— Patrz! patrz! cóż to za bryczka przepędza Roleckiego?

— Ba, któżby? to Wenanty! figlarz stary! Patrz, jak wymachuje rękami — nie chce być ostatni!... Ou! ale i stangret Seweryna puszcza koniom lice... ba!... ba!

I na szerokiej drodze topolowej wiodącej do dworku, zaczęły się wyścigi w całym tego słowa znaczeniu. Zrazu potężnym klusem, wreszcie co koń wyskoczy pędziły obie bryczki obok siebie.

Całe towarzystwo zgromadzone na ganku, przypatrywało się z ciekawością tym zapasom. Pan Bartłomiej raz po raz roztwierał i zamykał dłonie, klaskając pociesznie grubymi palcami.

W bramę pierwszy wjechał pan Wenanty i mając się już za zwycięzcę, zwolnił biegu, gdy wtem furman pana Seweryna klasnął z bicia i nie objeżdżając gazonu, zajmującego środek dziedzińca, pierwszy stanął przed gankiem.

Pan Wenanty rozpaczliwie ramiona podniósł do góry, jakby niebo wzywał na świadka popełnionej na nim zdrady.

Głośny śmiech przywitał przybyłych, a basowy głos Onufrego górował w tym chórze.

— Przemienienie Pańskie! — wołał pan Wenanty, kłaniając się na wszystkie strony, całując mężczyzn po kolei w oba policzki, a paniom rączkę prawą i lewą. — Przemienienie Pańskie! ja dziś pewnie ostatni!

— Nie smuć się Wenanty, nie smuć. Jeszcze Olesia nie ma.

— Nie przyjedzie Oleś — odpowiedział Seweryn, ścisnąc podawane mu dłonie i witając wszystkich swoim łagodnym a melancholijnym uśmiechem. — Oleś został przy siostrze. A ja tylko na kilka godzin przyjechałem.

— Jakże żona twoja? — zapytał p. Robert.

Smutnem kiwnięciem głowy odpowiedział na to Seweryn.

— Oleś jak dawno wrócił z zagranicy?

— Nie ma tygodnia. Dziś rano przyjechał do nas, aby nam towarzyszyć do Włoch.

— Kiedyż wyjeżdżacie?

— Może za kilka dni, jeśli zdrowie żony pozwoli.

— Czy Oleś już wie?... zapytał p. Marcelli.

— O czym? że lekarze źle wróżą?

— Nie. O Ignacym.

— O Ignacym? czy go tu nie ma?

— Ale! to i ty nie wiesz jeszcze?

— Cóż? stracił wszystko? przegrał co do grosza? w łeb sobie strzelił?... pytał p. Seweryn z niejakim lekceważeniem.

— Ba! ożenił się.

— Z kim? z swoją baletnicą?

— Z majorówną Wartyńską.

— Z ma-jo-rów-ną? — powtórzył Seweryn z nieudanym przerażeniem, kładąc przycisk na każdej zgłosce. — To być nie może, nie, nie, to nie prawda!... Zkąd macie tę wiadomość?

— Ależ to pewne! Wykradł pannę...

— Wykradł? wykradł?... To niemożliwe! chyba żartujesz?

— Proszę jaśnie państwa do stołu! — zawołał odezdrzwi Onufry uroczystym głosem.

— Służę kuzynce! — rzekł gospodarz, podając ramię pani Cyprianowej, najstarszej z obecnych kobiet.

Pan Cyprian poprowadził panią Pawłową.

— A Antoś zdrów rośnie? — zapytał.

— Jaki Antoś? — i spojrzała nań zdziwiona.

— Nie, nie Antoś, Jaś! Jaś, chciałem powiedzieć! — poprawił p. Cyprian.

— Jaki Jaś?

— Aj!... jęknął skonfundowany pan Cyprian. Przecież Jaś na imię najmłodszemu?

— A broń Boże! — odparła urażona widocznie tem przypuszczeniem pani Pawłowa. — Staś!

— Staś! Staś!... śliczne dziecko!... aj, że ja też mogłem zapomnieć!... prawda! Staś! — przepraszał pan Cyprian, srodze zawstydzony, że nie wiedział imienia dziewiątego z rzędu potomka państwa Pawłostwa.

— Wszyscyśmy się zebrali jak przeszłego roku — rzekła pani Marcelowa idąc z p. Adamem — tylko mojej Karolci już nie ma!

I łzę otarła ukradkiem za podrastającą córką, którą w ciągu roku straciła.

— Przemienienie Pańskie! — zawołał p. Wenanty, odbijając jak w polonezie panu Bartłomiejowi panią Adamowę. Prowadziłeś przeszłego roku, a ja gryzłem paznogie. I mnie się coś należy!

— Ba! — odrzekł z rezygnacją odsadzony kawaler, i roztworzył szeroko dłonie po swojemu.

— Czy pamięta kuzynka, coś mi przeszłego roku na tym progu powiedziała? — zapytał półgłosem młody technik, prowadząc pod ramię pannę Cesię.

— Nie pamiętam... odrzekła spieszenie, rumieniąc się po same uszy.

— Jak się *ożenimy* — projektowała pięcioletnia Malcia ósmioletniemu Wiciowi, to mi kupisz taką zieloną sukienkę, jak ma ciocia Adasiowa.

— A ty mnie co?

— Ja ci wyhaftuję pantofle, takie, jak mamcia tatko-
wi dała na imieniny.

— Nie, ja nie chcę pantofli! — protestował Wicio.

Przysuwanie krzesel, chrzęst sztućców, brzęk talerzy,
gwar ogólny.

Pojawiła się nareszcie zupa rakowa, z pływającymi
w niej, nabalsamowanymi farszem skorupkami.

Uwolnimy czytelnika od czytania spisu potraw, które
po sobie następowały, a których szereg był dość długi. —
W razie, gdyby jednak która z ciekawych a pięknych czy-
telniczek (wszystkie czytelniczki są piękne) o spis ten oso-
biście się do nas zgłosiła, nieomieszkalibyśmy go dostar-
czyć, zaręczając za autentyczność.

Tymczasem powiemy tylko, że obiad był smaczny,
a goście przy apetycie. Niefalszowany węgryzn i pocieszne
koncepta pana Wenantego jeszcze bardziej podniosły weso-
łość objadających.

Podawano sobie jednak na ucho pytanie, czemu sam
solenizant dziś nie w humorze, czemu tak zamyślony i mało-
mowny. Nikt na to nie umiał dać odpowiedzi.

Opowiadał pan Bartłomiej facecyjkę po facecyjce: to
o starej profesorowej niemce, u której za młodu był na pen-
syi, a przez lat pięć, codzień zupełną kminkowajadał i w jaki od
tej potrawy uwolnił się sposób; to znowu mówił o poczi-
wym kwestarzu kapucynie, któremu na popasie w karczmie
habit skradziono, tak, iż w braku innej sukni, musiał się
przebrać za żyda i jakie z tego powodu wynikły historye
i t. d. Śmiali się wszyscy, śmiała się nawet smutna pani
Marcelowa. I pan Seweryn zapomniał na chwilę o swej tro-
sce i rozśmiał się z innymi. Śmiał się wreszcie z innymi
najgłośniej Onufry, dyrygujący służbą. Tylko solenizant nie
uśmiechnął się ani razu.

Nie uśmiechnął się nawet i wtedy, gdy ulubienica jego,
śliczna pani Adamowa, przymilając się do starca z dziecięcą

kokieteryą, zapytała go o powód tak niezwykłego usposobienia.

— Ot, nie... Starość, kuzyneczko!... Starość nie radość... Starość i kwita!

Pan Cypryan zażądał toastowego kielicha.

Podał mu Onufry puchar olbrzymich rozmiarów.

— A! zlituj się, człowieku. Chcesz nas pozabijać! Ten puchar zaplątał się tu chyba z archeologicznego muzeum...

— Pijaliśmy z niego za młodu! — rzekł p. Robert.

— Dziś inne czasy. A i dzieciom złego przykładu dawać się nie godzi. Podajno mniejszy kielich, Onufry!

Podano mu średniej wielkości roztruchan.

Napełnił go p. Cypryan po brzegi. Powstał i wznosił zdrowie solenizanta.

Ogólny okrzyk: niech żyje!

I kolejno obszedł kielich wszystkich obecnych. Każdy wstawał z swego miejsca i przychodził do pana Roberta i według wieku swego, albo w twarz go całował, albo w ramię, lub w rękę.

I wołano: niech żyje! niech żyje! z wzrastającym po każdym kielichu zapalem.

— Patryarcho nasz! — wołano — nasz Nestorze!... dobrodzieju!... ojcze!...

— Ilu nas tu jest, każdy twoim dłużnikiem!

— A żaden z nas, nieczem ci się wywdzięczyć nie zdoła!

I ze łzami w oczach przypadł do niego po raz wtóry pan Paweł, p. Marcei, Józef, Bartłomiej, Wenanty, Bolesław — wszyscy całowali go i ściskali.

— Ależ moi drodzy! moi kochani! Cóżem ja takiego dla was zrobił? — bronił się pan Robert, widocznie rozrzuwniony. — Tyle tylko, że byłem starszy od was i robiłem, co najstarszemu w rodzinie przypada... Każdy z was robiłby to samo, gdyby był najstarszym... Kiedy mnie nie będzie, to

kolejno na każdego z was spadać będą te same obowiązki wobec młodszego pokolenia.

— Tego niktby nie robił, co ty robiłeś!

— Gdyby nie ty, czemybśmy, byli?

— Kto był sierotą, tyś się nim opiekował!

— Kto sobie rady dać nie mógł z interesami, tyś mu je rozwikłał. Kto z nas podupadł majątkowo, komu się nie-szczęściło, tyś go ratował, tyś mu był radą i pomocą.

— Kto bąki strzelał za młodu — dodał pan Bartłomiej — tyś nie szczędził pracy i trudu, aby go przypro-wadzić do opamiętania.

— Jeżliśmy wszyscy poczciwymi ludźmi i zdobyliśmy sobie szacunek u swoich i obcych — to twoje dzieło!

— Nazwiska Brwickich nikt się dziś wstydzic nie po-trzebuje — a to tobie jesteśmy winni!

— A kto nas wyswatał? komu zawdzięczamy nasze szczęście domowe?

— Dzieci! dzieci! całujcie dziadzia w ręce! w nogi! wołali pan Marceli, p. Cyprian, p. Paweł na młode poko-lenie, na szarym końcu stołu.

I zaczęła się scena rozrzewniająca. I podrostki i dro-bna dziatwa tłoczyła się koło dziadzia i całowała go i ści-skała ze wszystkich stron.

Rozpłakała się pani Pawłowa, rozpłakał się pan Mar-celi i pan Bartłomiej i rozpłakał się w końcu sam soleni-zant i nie było oka, w któremby łzy nie świeciły.

A stary Onufry, widząc pana swego tak rozrzewnio-nego, rozbeczał się na dobre basowym głosem.

— Przemienienie Pańskie! — zawołał p. Wenanty— toż zamiast się radować, płaczemy, jak bobry.

— Słodkie to łzy takie! — odparł pan Paweł: — to łzy wdzięczności i miłości rodzinnej!

— Hej, bracia! — i podniósł kielich w górę p. Adam: jeśli trzymamy się razem i kochamy, to także jego dzieło!

Kochajmy się i trzymajmy się razem solidarnie, tak jak on chce! Kochajmy się!

— Wiwat! — huknął pan Bartłomiej. I dodał: A kiedy jeszcze jest w kraju taka rodzina, jak nasza, to nie narzekajmy, że się wszystkie węzły rozprzegają na świecie. ... Wiwat! Lepsze nastaną czasy!

I do dna kielich wychylił.

Raz jeszcze trącono w kielichy, a przy wetach, wstało od stołu.

Dziwny to zaiste i niezwykły w dworach szlacheckich był obchód imienin. Nikt się nie upił, a wszyscy się spłakali.

Podano czarną kawę, mężczyźni zapalili cygara i rozsypało się towarzystwo w ogrodzie i na dziedzińcu. Dzień był prześliczny.

— Ej! panie Robercie — rzekł pan Cyprian, biorąc go pod ramię: — wszyscy dzielimy się z tobą każdą troską i zmartwieniem, podziel-że się i ty z nami! Nie ukrywaj: ciebie coś niezwykłego dręczy!

Pan Robert kołysał fajkę swą na długim cybuchu, aby lepiej ogień rozpać. Zasepił czoło i boleśnie się uśmiechnął.

— Chmurzy się — rzekł po chwili: Jutro Medarda, będzie czterdzieści dni śloty!... Zły rok, zły...

— Stryju! — przerwał mu tonem serdecznej prośby pan Paweł: czyż my zasłużyli na to, abyś nas zbywał Medardem!

— No, czegoż-bo chcecie odemnie?... Zdrów jestem, nie mi nie jest.... Zakochać się nie zakochałem na starość... i w łeb sobie strzelać nie myślę....

I spojrzął, śmiejąc się na pana Pawła, który sobie przypomniał dzieje swoje przedślubne.

— Pieniędzy nie zakopałem, bo wiem, że węgla w Płotkowicach nie znajdę...

— Daj pokój tym wspomnieniom — odrzekł p. Cypryan. Przecież i ja już węgla w Białorybach nie szukam.

— Powiedz stryju: co ci dolega? Przecież wiesz, jak cię Kochamy! jak nas to boli, że tak mało masz do nas zaufania!

— Ale czegoż chcecie? przecież taki jestem jak zawsze!

— O nie!

— Nigdy cię takim jeszcze nie widział, od trzydziestu lat! — dodał p. Cypryan.

— Eh! ubrdaliście sobie...

— Ba! — zaprzeczył p. Bartłomiej.

— Każdy człowiek ma swego móla... pocóż więc o to pytać?... — przyznał wreszcie po dłuższej pauzie p. Robert, sądząc zapewne, że się tą odpowiedzią od dalszych uwolni indagacji.

Omylił się w tej rachubie. Podwoiły się prośby i nalegania. Nie było rady, musiał wyznać prawdę.

— Dajcież mi dzisiaj pokój! dajcie mi dziś o tem zapomnieć! Pamiętajcie, że to moje imieniny — a zapewne ostatnie... Dziś nie będę z wami o tem mówił, dziś się wami nacieszę, a jutro wszystko wam powiem... jak się rozjadą sąsiedzi, a sami nasi zostaną. Choćbym nie chciał, muszę z wami się naradzić — bo to was wszystkich tak obchodzi, jak mnie...

I do wieczora bawiono się wesoło. Chwilami sam gospodarz nawet zdawał się zapominać o swej tajemnej trosce.

Wieczorem rozjechali się sąsiedzi. Została tylko liczna rodzina Brwickich i pan Seweryn Rolecki, którego po żonie, także do rodziny Brwickich liczono. Kilku jednak członków rodziny zabierało się także do wyjazdu, tłumacząc się koniecznością powrotu do domu.

— Zostańcie! — prosił pan Robert: W domu was moim wszystkich nie pomieszczę, ale w stodole jest siana dość —

a nocleg na sianie może lepszy, niż na materacu ze sprężynami. Kobiety i dzieci w domu — a mężczyźni w stodole!

Ale pan Seweryn spieszył się do chorej żony, pan Paweł niespokojny był o dziecko, które słabe w domu zostawił, pan Adam spodziewał się odwiedzin swego teścia, pan Józef miał termin w urzędzie, a młodzież musiała wracać do nauki.

— Przemienienie Pańskie! — usprawiedliwiał się p. Wenanty — buraki! buraki okopuję, owce strzygę!

— Ba! ja koniczyzny nie dosiałem, a kośba? kośba na karku! Górali moich co nie widać! — troszczył się pan Bartłomiej, zamykając i otwierając dłonie naprzemiany.

— No, to już widzę, że nie ma z wami rady! — rzekł wreszcie pan Robert. — Nie chcecie mnie oszczędzić w dzień moich imienin... a to już pewnie ostatnie... Chodźmy więc do sali: mam z wami do pomówienia na osobności w ważnej sprawie familijnej. Noce teraz jasne, pojedziecie o księżycu.

I w dużej sali jadalnej zasiedli znowu panowie Brwiccy. W środku, świeciła się srebrna głowa pana Roberta.

Cisza była uroczysta, jak w kościele.

Cisza była — i dłuższa upłynęła chwila oczekiwania, zanim przemówił p. Robert.

Westchnął i rzekł silnym, ale drżącym od wzruszenia głosem:

— Domyślcie się zapewne wszyscy, że chcę mówić o Ignacym.

Po wyrazie twarzy większej części pp. Brwickich znać było, że się w samej rzeczy domyślali, o kim będzie mowa. Na kilku tylko twarzach wypiętnowało się zdziwienie.

— O Ignasiu? Przemienienie! — wykrzyknął p. Wenanty.

— Ba! to wykradzenie panuy... domyślił się pan Bartłomiej.

— Ignaś, jak słyszałem, podobno w bardzo złych interesach... wtrącił p. Cypryan.

— W złych?... zapytał pan Paweł z jakimś niepokojem.

— Au! — stęknął Wenanty.

— Wiecie wszyscy — mówił dalej pan Robert — w jakim stanie oddałem Ignacemu majątek, kiedy ze szkół powrócił. Przez te dziewięć lat opieki, szczęściło mi się bardziej, niż kiedykolwiek w życiu: spłaciłem długi i dokupiłem mu kawał ziemi, który między braćmi wart kilkanaście tysięcy.

— Przemienienie Pańskie — a ciotka Teofila zapisała mu przecież Podbarańce!

— Podbarańce warte ze dwakroć! — dodał p. Marcelli.

— Dwakroć? nie! ale trzykroć blisko, prawie trzykroć, bo tam jest ornego pola około... około... około... (ciągnął p. Józef).

— Przesadzasz Józiu! trzykroć nie warte: najwyżej dwakroć trzydzieści, do czterdziestu — odparł p. Marcelli.

— Mniejsza o to! dość, że majątek był duży — a teraz długów po uszy, ruina! — przerwał pan Bartłomiej i klasnął zwykłym swym ruchem palcami w szerokie dłonie.

— Podbarańce wystawione na licytacyę — objaśnił pan Adam — a mówią, że Mianowo lada dzień także zlicytują.

— Au! au! — coraz żałośniej stękał p. Wenanty.

— Co najszczerzej — ciągnął dalej p. Adam: to ten talent osobliwszy z jakim Ignas umiał ukrywać stan swoich interesów. Majątek mojej żony graniczy o miedzę z Podbarańcami i bywam tam dość często, wiedziałem, że w Mianowie nieład, ale nigdy mi na myśl nie przyszło, aby Ignas był zrujnowany. Najniespodzianie dowiedziałem się o tem — i niestety zapóźno...

— Czemu zapóźno? — zapytał p. Robert z niepokojem jakimś spojrzawszy na p. Adama.

— Zapóźno, bo nieprzeczuwając niebezpieczeństwa uległem jego prośbom i pożyczyłem mu z posagu mojej żony trzydzieści tysięcy! Przepadną!

— Au! au! jęczał p. Wenanty.

— Czy tyłk o trzydzieści? Adasiu, powiedz szczerą prawdę! — pytał p. Robert.

— Czy to nie dość!

Paweł blady jak ściana zawołał:

— Tyś bogaty człowiek, to cię i strata trzydziestu nie zrujnuje, ale ja, cóż ja pocznę! Dziewięcioro mam dzieci i małą wioszeczynę... to dla mnie bankructwo...

— Ileś mu pożyczył? zapytał p. Robert.

— Cóż ja mu mogłem pożyczyć! Maciek zrobił, Maciek zjadł. U mnie ledwie końce się zchodzą. Zaoszczędziłem przez lat dwadzieścia, szcędząc bardzo, sześć tysięcy, to mi zabrał. Ale to najmniejsze! Będąc u mnie, zapotrzebował nagle dwunastu, sześć mu dałem, bom miał, a sześć pożyczył w miasteczku a ja musiałem poręczyć! Cóż ja teraz pocznę, jeśli nie zapłaci!

— Mnie winien cztery — wtrącił p. Marceł.

— A mnie... mnie pięć — wycedził wyznanie p. Józef, — pięć, ale podpisałem mu weksel na dziesięć!... dziesięć! A nawet... nawet mi słowa dać nie chciał. Powiedział, że na takie, takie bagatele nie szafuje się słowem honoru...

Wenanty oburącz trzymał się za głowę i pochylał się to w lewo, to w prawo.

— A ty Wenanty? także cię zarwał Ignas? — zapytał Bartłomiej.

— Oj, zarwał, zarwał! Przemienienie Pańskie! Dałem mu pięćset i podpisałem jakiś świstek — niewiem na ile, bo tam cyfra nie była wpisana. Mówił mi, że to tylko formalność, aby mógł wziąć od żyda jeszcze sto, bo mu sześciu-set było potrzeba... On tam teraz może wpisał... czy ja wiem ile?...

— Ah, tegoby przecież nie zrobił! — przerwał z oburzeniem p. Cyprian.

Gorzko się uśmiechnął p. Robert.

— No, moi drodzy, dowiedźcie się całej prawdy! Mógł i to zrobić, skoro gorsze zrobił rzeczy. Mam w stolicy znajomego bankiera, z którym niegdyś bliskie łączyły mnie stosunki. Dostał on do rąk weksel z moim podpisem na dwadzieścia tysięcy... Słyszycie: na dwadzieścia tysięcy! Powiedźcie: czy ja jestem w stanie, z moim skromnym mająteczkiem takie sumy pożyczać, albo poręczać? Ponieważ bankier miał pewne wątpliwości co do autentyczności podpisu, napisał do mnie. Wyszła oliwa na wierzch. Ignas pisze do mnie wtedy list rozpaczliwy i sumitując się bardzo, zaręcza, że weksel ten sfalszowany spłaci do trzech miesięcy. Zaniu mu odpowiedziałem... a w pierwszym gniewie byłbym może odmowną przesłał odpowiedź, sam przyjechał. — Oczekiwałem, że z wielką pokorą będzie mnie przeproszał za nadużycie mego nazwiska i kredytu. Otóż nie. Wystąpił zupełnie w innym tonie, niż w swoim liście. Zaledwie raczył mnie na wstępie przeprosić kilkoma zinnemi słowy... a uczynił to z pewną ironią... i uważając sprawę tę niejako za skończoną, zaczął mówić o czemś innym, najobojętniejszem w świecie. Wtedy nie mogłem już pohamować gniewu. Wobec surowych słów, któremi go zgromiłem, wybuchnął — i otwarcie mi wyraził swoje oburzenie...

— On? oburzenie?

— Tak, on! Oburzony był, że mogłem powziąć choćby najmniejszą wątpliwość, że suma ta w terminie wypłaconą przez niego zostanie. Twierdził, że powątpiewanie to jest najdotkliwszą obelgą, jaką wyrządzić można i że tylko mnie jednemu, którego czci jak ojca, przebaczyć może tę obrazę.

— Ależ to bezczelność! Jak może mówić o honorze ten, kto fałszuje podpisy!

— Otóż Ignas nie mógł wyjść ze zdziwienia, że ja się nie domyśliłem, iż tylko nieubłagana konieczność honorowego obowiązku zniewoliła go do nadużycia mego nazwiska. Skomponował historię arabską z tysiąca i jednej nocy, aby

swój postępek usprawiedliwić. — Przypominacie sobie zapewne księcia Floryana i ten tajemniczy jego koniec...

— Zabił się...

— Niektórzy utrzymują, że go zamordowano...

— Otóż wiecie, że Ignas żył z nim w bardzo zażyłym stosunku. Nikt nie umiał sobie wytlómaczyć powodu, który pechnął księcia Floryana do samobójstwa: Ignas utrzymuje, że mu ten powód wiadomy, lecz że go wyjawić nie może. Tyle mi tylko powiedział, że księżę Floryan został wplątany w kabałę haniebną i zaskoczony koniecznością bezzwłocznego spłacenia jakiegoś honorowego długu — a gdy nie mógł na razie dostać potrzebnej sumy trzechkroć stu tysięcy, udał się wtedy do Ignacego, żądając pomocy. Ignacy winien był mu wdzięczność za usługę przyjacielską tak wielkiego znaczenia, iż — jak się Ignas wyraził — „ofiarą własnego życia, spłacić nawet tego nie byłby w stanie“. Otóż tym obowiązkiem wdzięczności i przyjaźni powodowany, poruszył Ignas niebo i ziemię, aby w ciągu kilku godzin wydostać znaczną część tej sumy, jakiej potrzeba było jego przyjacielowi. Na własny kredyt udało mu się pożyczyć tylko sto-tysięcy. Więcej dać mu nie chciano. Pożyczył tedy na moje imię jeszcze dwadzieścia, będąc pewnym, iż nie tylko kroku tego za złe mu mieć nie będę, ale że w imię zasad, które w nim zaszczyślałem, sambym mu tak postąpić nakazał... Tymczasem, pomimo tych rozpaczliwych środków i poświęcenia Ignasia, nie udało mu się uratować przyjaciela, któremu uczucie honoru jedną już tylko pozostawiło drogę — samobójstwa. W szale rozpaczy zaniedbał młody księżę ubezpieczyć Ignasiowi pożyczoną sumę na swym majątku...

— Jakie to wszystko nieprawdopodobne! — zauważył p. Cypryan.

— Prawda, prawda! ale wiesz Cypryanie, że i jam niezbyt łatwowierny. Ignas jednak tak dobrze odegrał swoją rolę, że mu wówczas zawierzyłem. Podpis mój na wekslu uznałem za prawdziwy.

— A Ignas nie spłacił?

— Nie spłacił. Postarał się o to, że z kwartału na kwartał prolongowano. Wreszcie, gdym począł nalegać, zaręczył mi, że weksel wykupiony, że Podbarańce sprzedaje i długi swoje spłaca. Wiedziałem bowiem, że ma oprócz tego znaczne długi osobiste. — Otóż, przed kilkoma dniami dowiedziałem się, że i to skłamał... Ale słuchajcie dalej. Pewnego dnia przyjeżdża do mnie, smutny, zrozpaczony, i przedstawiając mi fatalny stan swoich interesów, wyluszcza, że pod naciskiem wierzycieli, Podbarańce za bezeensprzedaćby musiał, jeżeli nie zdoła lichwiarzy tymczasem zaspokoić sumą dziesięciu tysięcy. Sumy tej wydostać nie może, kredyt jego zachwiany. Zażądał mego podpisu... Nie śmieje się ze mnie starego: zawierzyłem mu i podpisałem.

— Au! au! — jęknął znowu p. Wenanty.

— Podpisałem. Za kilka tygodni pisze do mnie Ignas znowu: Podbarańce jeszcze nie sprzedane, a wierzyciele siedzą mu na karku. Potrzeba mu dalszych dziesięciu tysięcy — albo go czeka ruina... W tym czasie dowiedziałem się jednak o kilku jego sprawkach, o grubej grze w kasynie, o romansie z baletniczką, która go na bajeczne wyciągnąć miała wydatki... i odmówiłem stanowczo. — Wiecie co zrobił? Weksel sfalszował.

— Przemienienie Pańskie!

— Dowiedziałem się o tem bezzwłocznie. Napisałem list w wyrazach... w wyrazach, jakich nigdy może w życiu jeszcze nie użyłem. Ignas przyjechał. Tłómaczył się, iż prosząc mnie listownie o podpis, nie wątpił, iż go uzyska — a nie mogąc na odpowiedź czekać, puścił tymczasem w kurs weksel z sfalszowanym podpisem, aby go później na prawdziwy wymienić.

— Ach! panie Robercie, to już za wiele! Święty człowiek jeste. Jabym się nie dał był ubłagać! — zauważył p. Seweryn.

— Tak — może nie należało zmięknąć. Ale ja przypomniałem sobie jego ojca, który także dyabelnie szumiał za młodu, ot i wyszumiał i stał się potem najzacniejszym człowiekiem. Pomyślałem zresztą: wszak to Brwicki! — albo uznasz podpis, a wtedy on może nie zapłacić i zrukuje ciebie, albo też nie uznasz podpisu i zrukujeś tem poczciwą sławę imienia Brwickich... Podpis uznałem za własnoręczny.

— Ach! — zawołał pan Marceł: to już czterdzieści tysięcy!

— A od każdego z was zaciągając dług, wyfnógł pewnie, tak jak odemnie, obietnicę najściślejszego sekretu? — zapytał p. Adam.

— Tak! tak! — odpowiedziało chórem kilka głosów.

— Czy myślicie że to wszystko? — drżącym od gwałtownego wzruszenia głosem, pytał pan Robert: — Nie! nie dość i tej infamii! Dowiedziałem się przed dwoma tygodniami o nowym jakimś wekslu z moim podpisem na piętnaście tysięcy, a napisawszy list do mego przyjaciela, adwokata, którego ścisłej dyskrecyi mogłem zaufać — dowiedziałem się... dowiedziałem się o wszystkim!...

Zabrakło głosu panu Robertowi. Zamilkł, zadyszany, jakby wyczerpawszy siły, zbyt gwałtownem na wiek swój wyęzieniem.

— Dowiedziałem się o wszystkim! — powtórzył.

Cisza była w całym zgromadzeniu, z trwogą spoglądano na zmienione rysy starca.

— Tak!... to infamis bez granic... Nie ma tu prawie nikogo z was, czyjegoby imienia i kredytu nie nadużył... Jeśli moich weksli puścił w obieg na 55 tysięcy, to blisko drugie tyle pożyczył na imię Adama! na imię Józefa 16 tysięcy! na Pawła sześć! na Wenantego dziesięć! na Olesia dwadzieścia! na Seweryna nie pomnę już ile... a na poręczenie osób, nienależących do naszej rodziny, wypuścił weksli nie mało, pewnie za sto tysięcy co najmniej, a z tych

zapewne także niejeden fałszywy... Lichwiarze jak się domyślałam, wnoszą z mego postępowania, że nie dozwolimy zhańbić się żadnemu Brwickiemu kryminalnym procesem i sami go zachęcali do tej szacherki...

— Łotry! Łotry! — jęczał p. Wenanty wśród ogólnej ciszy i przerażenia.

— On największy łotr! — wybuchnął p. Bartłomiej i klasnął palcami w dłonie, a podnosząc ramiona w górę, potrząsał nimi, jakby owoce z jabłoni otrząsał.

Oburzenie w całym zebraniu doszło do najwyższego stopnia. Po złowrogiej ciszy i osłupieniu, gwar się wszczął jak w kotle pełnym wrzątku. Wszyscy mówili naraz, wszyscy gestykulowali. Nie można było zrozumieć ani jednego wyrazu, ale rozumiałem było aż nadto uczucie zgromadzonych dla winowajcy.

— Słuchajcie! — zabrał znowu głos gospodarz. — Ja nie chciałem nie przedsięwziąć bez naradzenia się z wami... Ale was przestrzegam: gdybyśmy chcieli pospłacać długi Ignacego i weksle wszystkie puszczone przez niego w świat z fałszywymi podpisami — wykupić... możeby całe nasze mienie nie wystarczyło... A czy ja wiem o wszystkich?... Baczcie więc na to... Radźcie, radźcie teraz!... Jam już stary i znękany życiem, myśl mi stępieła i nie widzę rady... ani dla nas... a tem mniej dla niego...

— Dla nas? — zapytał strwożony p. Paweł: — Przecież dla Boga! my nie potrzebujemy płacić tych sfałszowanych weksli!

— Tak, zapewne, nie musimy — odparł p. Cyprian. — Ale dobre imię Brwickich w co się obróci, jak mu wytoczą proces o oszustwo? o złodziejstwo?...

— Przemienienie Pańskie!

— Na jego miejscu, dawnobym sobie w łeb strzelił! — zawołał najmłodszy w zgromadzeniu pan Kazimierz, syn p. Cypriana. — I on powinien tak zrobić.

— Czy ty myślisz Kaziu, że taki nikiemnik miałby odwagę odebrać sobie życie?

— Przecież jemu przynajmniej odwagi to nigdy nie brakło. Ileż to on odbył pojedynków!... Ja pojedę do niego i powiem mu: Nie ma dla ciebie wyjścia! strzel sobie w łeb, albo ja cię zastrzelę jak psa! Na tyle uczucia honoru, przecież w nim jeszcze zostało...

— Facecye, mój drogi! Jak sobie w łeb strzelić nie zechce, to ty go nie zabijesz przecie? Wie on dobrze o tem i w oczy ci się rozśmieje z twojej pogroźki.

— Wszakże on musi wiedzieć, że jak go nie zechcemy ratować, to mu nic innego nie pozostaje, tylko kula w łeb, albo zgnić w więzieniu.

— Stchórzy i będzie wołał umykać, dopóki go nie złapią, a potem żyć w towarzystwie złodziejów...

— Nie — przerwał p. Seweryn. — Innej to odwagi potrzeba, aby strzelając w lot jaskółki, zabijać ludzi w pojedynku — a innej wcale, aby przed hańbą uciec do grobu, komu się chce żyć i używać za trzech... On sobie życia nie odbierze, jestem tego pewny.

— A więc, cóż robić?

— Mem zdaniem — rzecze pan Adam — należy przywołać go tu na sąd familijny, przyprzeć go do muru i wyspowiadać ze wszystkich długów. Zagrozić mu, że się go cała familia publicznie wyprze. Tą groźbą wymódz od niego wyznanie zupełnej prawdy. Może się przecież pokaże, że te wieści, które doszły do stryja Roberta, są przesadzone... Sprawdzimy zresztą wszystko, Ignacego wyprawimy za granicę, choćby do Ameryki lub Australii na lat kilkanaście, albo i na zawsze — a tymczasem będzie się można jakoś z jego wierzycielami ułożyć... Przecież majątek jego wart przeszło pół miliona... Niech nam podpisze pełnomocnictwo i odda dobra w administracyę... a sam niech...

— Łudzisz się Adasiu — przerwał pan Seweryn. — Prawdy on nigdy nie wyzna całej, bo kłamał całe życie.

Wyprawimy go za granicę? to rychło powróci, aby na nowo bruździć...

— Stary jestem — zabrał znowu głos pan Robert — i nie wiele mi już potrzeba na tym świecie. Chętnie oddałbym wszystko, co mam, aby zatrzeć tę plamę na czystem i nieskalanem dotąd nazwisku naszej rodziny. Znalazłbym na resztę życia przytułek u któregośkolwiek z was... A nie wątpię, że również każdy z was uczyniłby chętnie znaczną nawet ofiarę, aby ocalić nazwisko nasze od hańby...

— Nie wiele mam, ale oddam wszystko i pójdę w służbę! — wrzasnął pan Bartłomiej — i klasnąwszy palcami, szeroko roztworzył dłonie.

— Przemienienie Pańskie! i ja! i ja! — przyłączył się pan Wenanty ogniście.

— I ja także... także wyrzekłbym się wszystkiego — ciągnął flegmatycznie pan Józef: — żony nie mam ani dzieci, ani dzieci... to i cóż mi....

— Tak, ale czy wasze poświęcenie przyda się na co? — zauważył p. Marcelli: — Wszakże stryj nam powiedział, że na spłacenie długów Ignacego może całe nasze nie wystarcząłoby mienie. Nie szukajmy tam ratunku, gdzie go nie ma.

— Ogłosić go za infamisa! wyrzec się go i koniec! — wołał pan Paweł.

— Ale on się nazwiska naszego nie wyrzeczy — odparł p. Cyprian: — Nie przestanie być zakałą naszego rodu i hańbą naszą!

— Sąd! sąd złożyć na niego i utopić jak psa — zaproponował pan Kazimierz, ten sam, który domagał się wprzód, aby winowajcy kazać sobie życie odebrać.

Pan Józef ściągnął w górę ramiona, a ręce na pierśsiach skrzyżował.

— Kaziu drogi, a któż go... któż go będzie topić? I poklepał p. Kazimierza po głowie.

— Ja na seryo mówię! — odparł zaciętrzewiony pan Kazimierz. — Cóż to? czy my nie mamy prawa stanąć w obronie naszego honoru? pozwać go przed sąd familijny i kazać mu, aby sobie w łeb strzelił? Utopić jak psa, jeśliby się opierał?...

— Pleciesz Kaziu, pleciesz!

— Wcale nie! Jabym go zabrał łódką na staw, na dzikie kaczki i popłynąłby tam na dno między szuwarami...

— Wstydź się, Kaziu! — zgromił go p. Cypryan.

— Przemienienie Pańskie! — zawołał, śmiejąc się gorzko pan Wenanty: — możeby to w samej rzeczy najlepsze było...

— Łódź się przewróci... obaj utoniemy...

— Nie traćmy próżno słów! — odezwał się pan Seweryn. — Zabić go, nikt z nas nie zabije, ani do samobójstwa namawiać nie będzie. Nacóż o tem mówić? To niewykonalne....

— Nie o to idzie, że niewykonalne, ale to nas niegodne! to byłoby zbrodnią!

— Grzech! grzech tak nawet mówić! fe, Kaziu!

Pan Seweryn mówił dalej:

— Jedni z nas oświadczają się z gotowością poświęcenia całego swego mienia na spłatę jego długów, drudzy chcą go wyprawić do Ameryki a tymczasem układać się z wierzycielami, a ktoś wreszcie zaproponował, aby się go familia wyrzekła. — Zanim rozstrzygniemy co robić, odpowiedzcie mi na jedno pytanie: kto z was wierzy w możność poprawy z jego strony?... Nie mówię o poprawie kiedys na starość, albo nawet za lat dziesięć lub dwadzieścia... ale kto z was wierzy, aby Ignacy mógł teraz już zmienić z gruntu swój charakter i inne zacząć życie?

— Któżby mógł w to wierzyć! — odezwał się pan Paweł.

— On do śmierci łotrem będzie, jak był! — zadekretował pan Bartłomiej i obie pokazał dłonie, jakby tam dekret był wypisany.

— A więc nikt w jego poprawę nie wierzy?

— Nikt! nikt!

— Przestańcież go uważać za krewnego!

— Tak, dobrze to mówić—podchwycił p. Cypryan— ale Ignacy nie przestanie zwać się Brwickim i szarzać będzie nasze poczciwe imię...

— Ja nie skończyłem—upomniał się pan Seweryn.— Aby nie hańbił imienia Brwickich, trzeba go więc wyprawić gdzie za morze, jak radzi Adam, a kupić mu paszport cudzy, niech tam pod obcem jedzie nazwiskiem. Niech kto z nas odwiezie go do Hamburga i wsadzi na okręt płynący do Nowego-Yorku, albo do Melbourne. Dać mu na drogę kilkanaście dolarów a jak stanie w Ameryce lub Australii, niech się weźmie do pracy, albo niech ginie z głodu—to już jego rzecz.

— Jabym mu chętnie paręset dolarów rocznie posyłał, byle do Europy nie wracał—odezwał się p. Adam.—Seweryn dobrze radzi.

— Prawda! prawda! — odezwało się kilka głosów.

— Gdybyśmy skórę zdarli z siebie aby go wyratować, to on znowu za rok zabrnje w długi! — zauważył p. Paweł.

— Do Ameryki z nim! wyprawić, odstawić nawet jeżeli potrzeba!

— A jak nie zechce jechać?

— Hoho! musi! wszak wie co go tu czeka: kryminal!

— Już ja go wyprawię! — ofiarował się p. Adam.— Ale swoją drogą, ponieważ nas wszystkich wplątał w te brudy, trzeba objąć administracyę jego majątku i ułożyć się z jego wierzycielami w ten sposób, aby po sprzedaniu Miłnowa i klucza Podbarańskiego nikomu nie pozostał winien ani grosza — oprócz nam.

— Na cóż to? — zapytał p. Seweryn.— Wyparłszy się go i wyprawisz za morze, nie mamy już potrzeby mieszać się w te brudy.

— Ależ to Brwicki zawsze i nie możemy dopuścić, aby taką pamięć zostawił po sobie! — odparł p. Cyprian. — Mem zdaniem, administrację jego majątku, czy likwidację trzeba komuś oddać z po-za rodziny, któryby przeprowadził układy z wierzycielami podług danych mu przez nas wskazówek.

— Zgoda! zgoda!

— Dobrze, ale układy te prowadzić będziemy nie dla ratowania Ignacego, ale tylko dla honoru nazwiska, a Ignacy jest już dla nas obcym! Wyjedzie jako obcy i pod obcym nazwiskiem na drugą półkulę i nie ma go już dla nas! Przestał być naszym krewnym, nie mamy krewnego tego imienia — nie żyje!... Czy tak?

— Tak, tak!... zgoda! — odezwało się kilka głosów.

— Ha, to i ja się zgadzam ... skoro tak chcecie — odezwał się wreszcie gospodarz. I po chwili dodał drżącym głosem, a z dziwnie uroczystym jakimś wyrazem, pełnym głębokiego smutku: — A więc... a więc Ignacy przestał od tej chwili być naszym krewnym!

— Umarł dla nas!

— Umarł! — zawołano grobowym chórem.

— Umarł!

I cisza cmentarna nastąpiła w zgromadzeniu na dźwięk tego słowa. Dreszczem tajemnym przebiegło ono po nerwach każdemu z obecnych.

— Umarł... umarł... — ledwie dosłyszalnym szeptem powtórzono jeszcze.

— Czekaście! jeszcze jedno! — zabrał głos nagle p. Marceli. — Wiecie, że wykradł majorównę Wartyuską. Mówią, że już po ślubie z nią, inni mówią, że nie... Jeśli ślub się odbył, to gdzieś pokryjomu... Bądź co bądź, to jedynaczka, a niech się major gniewa jak chce, to córki przecież nie wydziedziczy i kiedyś pewnie da się przebłagać, tembardziej, że go łączyła serdeczna przyjaźń z ojcem Ignasia. Majątek majora, to najmniej półtora miliona w zie-

mi — a i kapitały podobno bardzo znaczne są... Cóż będzie, jeśli major zechce popłacić długi Ignasia?

— Major sparaliżowany, podobno — podobno o świecie bożym nie wie i może... może przytomności już nie odzyska.

— Tem-ci-bardziej. Jeśliby major umarł, panna Klau-dya, jako jedyna spadkobierczyni, będzie mogła bezzwłocznie rozporządzać majątkiem.

— W takim razie nie ma mowy o Ameryce i trzeba być przygotowanym, że Ignas jeszcze dłuższy czas będzie naszą zakałą, dopóki majątku swej żony nie strwoni.

— A jeśli major żyje, to Ignas także nie da się wyprowadzić za morze, tylko wyczekiwać będzie jego śmierci...

— To się może nie doczeka. Ja słyszałem, że majorowi już się polepszyło.

— W takim razie, trzeba, aby kto pojechał do majora i całą mu wyjawiał prawdę, co grozi jego zięciowi, jeśliby on jego długów nie chciał teraz spłacić... Jeśli powie stary, że nie chce — to bądź-co-bądź, trzeba będzie Ignacego wysłać za morze.

— Z żoną?

— Z żoną, czy bez żony — to mniejsza: jeśli z nim jechać zechce, niech jedzie. Ale trzeba jej powiedzieć, co to za ptaszek!

— Kto pojedzie do majora?

— Któż inny, jak nie stryj Robert.

— Stryj, stryj pojedzie!

— Ach! moi drodzy, cóż to za przykre poselstwo!

— Przykre, nad wszelki wyraz przykre, ale któż je godnie spełnić potrafi, prócz ciebie!

I ze wszystkich stron poczęto błagać i nalegać, dopóki pan Robert zwiesiwszy głowę, nie odrzekł z ciężkiem westchnieniem:

— Pojadę.

* * *

Smutny i stroskany Seweryn wracał do domu księżycową nocą. Żwawo pomykały rącze koniki po gładkiej jak stół równinie, a on, zapatrzony w daleki widnokrąg, chciałby w tem półświecie srebrzystego blasku dojrzeć ukochaną swą Sosnowkę; w nocnym mroku chciałby dostrzedz światło w oknach swego dworku, ile razy księżyc skryje się za chmurę.

Ciężkie jakieś i nieodgadnione tłoczyły mu serce przecucia. Dręczył go niepokój o chorą żonę, którą zostawił pod opieką brata, dręczyła go również myśl o konieczności wyjawienia Olesiowi, bolesnego nad wyraz ciosu, jaki tegoż spotkał. Odczuwał, jak straszną będzie dlań wieścią porwanie Klaudy, z którą tak serdeczne wiązało go przywiązanie, miłość młodzieńcza, pierwsza w życiu, niewysłowionego pełna uroku i poezji...

Kruczeż to szczęście ludzkie!... Przebiegł Seweryn myślą pamięć tych trzech lat słodkiego, domowego pożycia, pieścił i rozraniał serce wspomnieniami szczęścia, którego rychły przeczuwał już koniec. Nie łudził się on bynajmniej co do groźnego stanu zdrowia ukochanej żony. Wiedział, że lekarze wyprawiają do Włoch, do Szwajcaryi tych najczęściej, w których wyzdrowienie nie wierzą. Wiedział o tem, że z wszelką już prawie należy zegnać się nadzieją, a wobec żony starał się z wypogodzonym czołem mówić o przyszłości i udawał, że podziela te jej różowe projekty i pomysły, które tak bujnie zwykle wyrastają w umyśle suchotników.

Czytywała teraz pilnie włoskich poetów i puszczając wodze artystycznym jakimś prądom wyobraźni, marzyła o tych wszystkich arcydziełach sztuki i cudach natury i o tem upajającym powietrzu italskiego nieba, które w jej marzeniu nie tylko balsamiczną wonią zagoić miało jej poszarpane płuca, ale ją i jej męża spotęgowanym jakimś natchnąć uczuciem miłości, rozkoszy, szczęścia.

— Ty mnie tam bardziej kochać będziesz. Obaczysz!

— Ja cię Kocham nad życie, najdroższa!

— O! ty mnie tam jeszcze pokochasz bardziej... I ja ciebie — choć mi się dziś wydaje, że bardziej kochać nie można... Jakżem ja szczęśliwa!

I lśnięciami oczyma suchotnicy, rozwartemi szeroko, tonęła gdzieś, w czarownych widziadłach wyobraźni...

— Szczęśliwa.. szczęśliwa .. — powtarzała coraz ciszej, jakby sama do siebie.

Co za ból w jego sercu! Łzy cisnęły mu się do oczu; zaledwie siłą męskiej woli powstrzymał je zdołał.

Pochylił się do jej nóg, w fałdach jej sukni twarz ukrył, aby nie wyczytała mu z twarzy, co w duszy jego się dzieje.

Na głowie jego pieszczotliwie złożyła ręce, bawiąc się jego włosami.

Szczęśliwa, nie uczuła bolesnego dreszczu, który go przebiegał od dotknięcia jej dłoni, od jej pieszczot, od jej słów i brzmienia jej głosu!

— A w Sorrento, najdroższy...

I urywany kaszel mówić jej dalej nie dawał. Przyciskała chustkę do ust. Na chustce były czerwone plamy.

Te plamy czerwone jawiły się teraz przed oczyma Seweryna, w powrocie jego do domu... Widział je, widział je ciągle.

— Za rok, za rok — pomyślał — gdy będę wracał z kąd do domu jak dziś, to w domu tym jej już nie będzie. Nikt mnie już tam czekać nie będzie, nie wyciągnie nikt ku mnie ramion, nie przywita słowem kochania! Pustka, straszna pustka i w domu i w sercu... I tak już na całe, całe życie!... Ach, jak mi czarno, jak smutno, jak straszno!... Lepiejby mi było nie zaznać szczęścia, nie kochać! nie żyć!

I powtarzał w myśli: Lepiej, lepiej stokroć!...

To znowu przypomniał Olesia. Żal mu serce ścisnął.

— Poczciwy chłopiec! jak on kocha siostrę! Jak się zgryzł, gdy wróciwszy z zagranicy, taką spostrzegł zmianę w jej wyglądaniu!... Biedny...nie dość jednego nieszczęścia... taką straszną wiozę mu wiadomość!... jak mu powiedzieć o majorównie? Cóż to za cios będzie dla niego!... Jak on go zniesie?... Biedny chłopiec! Jam przynajmniej dotknął ustami brzegów tej czary, którą szczęściem zowią, on ani zakosztował, a już czara rozbita!

— A dla niej, jaki to będzie cios, nieszczęście brata!...

Wicher zadał gwałtowny, chmury zakryły księżyc; świeci kilka w oddali migocących światełek: to Sosnówka, to okna dworku w Sosnówce. Prędzaj, prędzaj!

— Ach! jaki niepokój we mnie!... Co ja tu zastanę?...

— Światło w narożnym pokoju. Ona nie śpi... Może jej gorzej?... Doktor miał przyjechać; może on u niej? może Oleś? Cień jakiś w oknie się rysuje.

— Co tu słychać, Grzegorzu?

— Nie panie. Jednakowo.

Szczęśliwym uczuł się tą wieścią.

— Jest doktor?

— Nie przyjechał.

Cicho, na palcach, wszedł Seweryn do pokoju żony. Zastał ją w progu. Wyciągnęła ku niemu białe, wychudłe ramiona; błękitne duże jej oczy, niezwykłym jaśniały blaskiem. Uśmiechnęła się słodko i rozplomienioną od gorączki twarz złożyła mu na piersi. Od suchego kaszlu wstrząsała się cała jej postać.

— Ach, jesteś przecie!... Niespokojną byłam o ciebie... nie wiem czemu... noc... tak parno... burza będzie... Teraz o Olesia niespokojną bardzo jestem.... Biedny Oleś!...

— Gdzież on?

— Pojechał do Wartyniec.

— Do Wartyniec?... a więc już wie o wszystkim!

— O wszystkim?... o wszystkim?... o czym?...
Czy major umarł?... ty wiedziałeś?

— Nie wiem nic. Dowiedziałem się tylko, że niebezpiecznie chory....

— Tak, doktor nasz odpisał na twój list, że przyjechać nie może, bo go wezwał doktor Czarka na konsylium do majora....

— Czy co więcej napisał?

— Nie więcej.... Cóż miał więcej napisać?... Powiedzno drogi, ty coś wiesz więcej....

— Nie, nie wiem nic.

— A zawołałeś takim dziwnym głosem: a więc Oleś wie już o wszystkim!... Ty coś wiesz jeszcze.... Co się z Łodzią dzieje?... Nie taj przedemną... Patrz, jak jestem niespokojna.... Trzęsę się cała... Wolę wszystko wiedzieć....

Niepodobna było Sewerynowi zataić tajemnicy, o której i tak żona od kogokolwiek niespodzianie dowiedzieć się mogła.

— Biedny Oleś!... biedna Łodzia! — zawołała, dowiedziawszy się o wykradzeniu majorówniej. — Ten niegodziwiec chyba ją gwałtem porwał... Ona kochała Olesia... zwierzył mi się z tem... Ja wiem wszystko....

I ocierając zalzawione oczy, usiadła na sofie. Gwałtowny atak kaszlu dłuższy czas mówić jej nie dozwolił. Na chusteczce znowu krwawe pokazały się ślady. Piersć wysiloną ciężkim podnosiła się oddechem. Objęła męża za szyję i spoglądając mu w oczy z miłością, rzekła:

— Widzisz drogi mój, jacy oni biedni oboje!... O! nie wszystkim los tak sprzyja, jak nam.... Jaki Bóg dla nas dobry!...

A jemu serce drgało w piersi tak, jakby je kto nożem krajał.

* * *

Od chwili straszego gniewu na córkę, który się atakiem paralitycznym zakończył, opłakany stan majora żadnej prawie nie uległ zmianie. Częściej wprawdzie zdawał się on odzyskiwać przytomność, częściej teraz jakimś niewyraźnie wyszeptanem słowem, lub jakim ruchem prawej ręki objawiał swoje życzenia, ale siły zdawały się go coraz bardziej opuszczać. Leżał po całych godzinach nieruchomy na wznak, z w półprzetwartemi ustami, z w półprzymkniętymi powiekami, na żadne nie odpowiadał pytania, żaden hałas i wołanie nie zdawały się zwracać jego uwagi. Ciężkim oddechem podnosiły mu się płuca; czasem oddech ten świszający do cichego jęku zdawał się podobnym, czasem w wyraźne zmieniał się stękanie. Niepodobna było najczęściej odgadnąć, czy śpi, czy czuwając pasuje się z śmiercią. Lewa powieka, zbezwładniona, nie przymykała się i nie podnosiła wcale. Palcami prawej ręki ustawicznie wykonywał ów zwykły ruch osób śmiertelną chorobą złożonych, ruch nieświadomy, machinalny, który porównałby chyba można do daremnego usiłowania ściągnięcia rękawiczki tą ręką, która w nią odziana. Chwilami zatrzymywały się palce w tej niez mordowanej ruchliwości, a wtedy chory zwykle otwierał prawe oko, a w jednostajnym rzęzeniu oddechu krótka następowała przerwa. Wtedy to zdawał się być przytomnym, w półprzytomnym przynajmniej, poznawał znajdujące się przy nim osoby i na pytania ich dawał odpowiedzi.

Chwile takie zdarzały się teraz częściej, ale krócej trwały. W takich chwilach oprzytomnienia, gdy nie spostrzegł koło siebie doktora, kazał Jędrzejowi go przywołać. Czasem znowu wołał Jędrzeja, a na pytanie, czego sobie życzy, odpowiadał: „nie!“ — lecz usuwającego się od łoża; przywoływał powtórnie. O córce nie wspominał ani razu. Zdawał się nie spostrzegać jej nieobecności; nikt też o niej przy nim wspominać się nie ważył.

Nazajutrz, po zniknięciu Klaudyi, cały dom lamentował za „panienką“ i rozbijali się wszyscy w domysłach, w jaki sposób zniknęła, gdzie się podziała. W pierwszej chwili byli tacy, którzy przypuszczali, że zrozpaczona gniewem ojca i jego chorobą, wymknęła się z domu i utopiła w stawie; sadownik, nocujący w chatce nad stawem, utrzymywał nawet, iż zbudzony przed świtem gwałtownem naszczekiwaniem psów, usłyszał krzyk jakiś rozpaczny i pluśnięcie, jakby co wielkiego wpadło do wody. — Wkrótce jednak zagadka zaczęła się wyjaśniać. Stróż nocny zeznał, iż stojąc koło śpichlerza, ujrzał przelatujący drogą ku miasteczku, kryty powóz, zaprzężony czwórką koni; księżyc w tej chwili zatoczył się był w chmury, niepodobna było zatem rozpoznać koni, ale słyszał wyraźnie głos kobiecy z powozu, wołający ratunku, i mógłby prawie przysiąc, że to był głos *panienki*. Przed karczmą we wsi, widziano tenże sam powóz w tę samą jadący stronę i poznano konie p. Ignacego.

Dr. Czarka poczynił poszukiwania, aby dociec, w jaki sposób tajemnicze porwanie dokonaniem być mogło bez zwrócenia uwagi. Nie trudno mu było dojść do przekonania, iż jeśli Klaudya dobrowolnie nie pojechała, to bez zjednania sobie współników między domownikami, porwanie nie mogło być się udać Ignacemu. Psycholog i niepospolity fizyognomista, wielkie powziął podejrzenie przeciw pannie służącej i pokojówce, które z całej służby najgłośniejszej i z największą desperowały ostentacją. — W kieszeni szlafroka wreszcie, w którym ubrany był major w chwili zaśląbnięcia, znaleziono list. Było to owe, znane nam, niecne pismo, które ściągnęło na majora śmiertelną chorobę, a na głowę Klaudyi niezasłużone przekleństwo ojcowskie. Powód choroby został wyjaśniony. Autentyczność listu wydała się doktorowi Czarce problematyczną.

Zadumał się nad tym listem dr. Czarka, starając się rozwikłać zagadkę, gdy z cicha zbliżył się do niego, z strokaną srodze twarzą, pocziwy stary sługa i oglądając się

trwożliwie na drzwi przyległej sypialni chorego pana, zapytał szepcząc:

— Panie konsyliarzu! cóż będzie, jak się pan major dowie, że panienki nie ma?... Strach!

— Mój Jędrzeju! no... może się nie dowie....

— A jakżeby to być mogło?

Doktor zachmurzył czoło i westchnął:

— No, da Bóg, może umrze — odrzekł ponuro.

Milezeli obaj starcy, patrząc na siebie i kiwając głowami. Jędrzej rękawem ocierał łzy, zawiste na siwych rzęsach.

— A długo to jeszcze tak potrwa?—zapytał wreszcie.

— Może potrwać jeszcze długo — a może nagle się skończyć. No, obowiązek lekarski każe mi zwołać konsylium, choć nie wiem doprawdy na co to....

— Ach! gdyby choć panienka wróciła, a on odzyskał choć o tyle przytomność, aby ją pobłogosławił!... Jezu najświętszy!...

— Kto jest w tej chwili przy nim? — zapytał doktor, usłyszawszy jakiś szmer w sypialni.

— Panna służąca. On spi.

Ale chory właśnie się był obudził. Szeroko rozwartem prawem okiem zdawał się rozpoznawać, kto się przy nim znajduje. Zamiast zwykłej obecności doktora lub Jędrzeja, dostrzegł postać kobiecą, wiotką i smukłą, podobną na pierwszy rzut oka do Klaudyi. Wlepił w nią gniewne spojrzenie, sfałdowało mu się czoło zmarszczkami i poruszył prawą ręką w ten sposób, jakby niemiły widok chciał odepechnąć od siebie.

— Precz!... precz mi ztąd! — zachyrczał stłumionym gardlanym głosem.

A gdy powrócił Jędrzej, przywołał go do siebie i z wysileniem powtórzył raz jeszcze:

— Nie chcę Łodzi!... Pilnuj!

Odtąd nikt już nie czuwał u łoża chorego, prócz doktora, Jędrzeja i starej szafarki.

W kilka dni później odbyło się konsylium. Zjechało sproszonych przez doktora Czarke kilku lekarzy. Zbadawszy stan chorego, zgodzili się oni na środki przepisane, orzekli jednakowoż wbrew zdaniu ordynaryusza, iż z wyjątkiem nieprzewidzianego polepszenia, w zwykłym biegu rzeczy oczekiwać na pewno należy rychłego końca.

Nazajutrz zjawił się w Wartyńcu, konno, w sutej liberyi, strzelec p. Ignacego. Opowiadał on, że państwo młodzi, jadąc do Mianowa, po drodze wzięli ślub w kościele w Zaroślinicach. Pan jego polecił mu, aby w Wartyńcu pozostał i tylko w razie znacznego pogorszenia w chorobie majora, co koń wyskoczy, z tą wiadomością powrócić. W pół drogi czeka go inny wierzchowiec do zmiany, aby tem spieszniej przybyć mógł z depeszą.

Dr. Czarka wypytywał go o szczegóły ślubu; opowiadanie strzelca wydało mu się wyuczonym na pamięć, pełnym sprzeczności i nieprawdopodobieństwa. Wynikało oczywiście z opowiadania, że Klaudya dobrowolnie opuściła dom rodzicielski.

Minęło dwa dni. Dotąd chory zażywał bez oporu podawane mu przez doktora leki; w chwilach większej przytomności, sam się nawet dopominał o nie. Nagle teraz, czy stracił zaufanie w skuteczność lekarstwa, czy w lekarza samego, dość, że stanowczo odmawiał przyjęcia leku i podawany mu, gniewnie ręką odtrącał. Chciał coś przemówić — nie mógł. Składał usta, poruszał językiem — napróżno.

— Innego! — wybełkotał nareszcie. — Innego! — powtórzył jeszcze kilkakrotnie.

Gdy jednak Czarka, ulegając jego woli, podać mu chciał lekarstwo inaczej przyrządzone, chory odtrącił je również, a na wszelkie namowy i prośby, uporeczywem tylko odpowiadał milezeniem. Nakoniec, gdy Jędrzej i lekarz, znużeni całonocnym czuwaniem, usnęli nad ranem, a szafarka,

wierząca silnie w możność jego wyzdrowienia, chciała mu gwałtem lekarstwo wlać do ust i przytrzymała jego prawą rękę, którą odtrącić je usiłował — gniewem wielkim pomarszczyły mu się lica, blada twarz splonęła krwią zaskórnaną i wyraźniejszym nieco głosem zawołał:

— Innego... doktora!...

— Każę posłać zaraz po innego do miasta.

— I... adwokata....

Czarka wysłał bezzwłocznie dwie bryczki do miasta i wyprawił przez furmanów listy. Wezwał adwokata i zaprosił na konsylium dwóch lekarzy, którzy na pierwszym nie byli obecni: jednym z nich był właśnie lekarz pani Sewerynowej, przez którego Oleś zawiadomionym został o śmiertelnej chorobie majora.

Wymówiwszy pod wpływem gwałtownego podrażnienia kilka wyrazów, paralytyk zdawał się w coraz pełniejszym stopniu odzyskiwać przytomność. To nagłe polepszenie napępniało dra Czarękę tem większym niepokojem.

— Posłano po adwokata? — pytał major.

— Posłano.

Surowy mars zjawił się znowu na czole majora. Podniósł w górę prawą rękę i grożąc nią Jędrzejowi, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Lodzia... niech tu... nie przychodzi! — a ręka opadła mu bezwładnie na pościel.

— Nie, panie! — i stary sługa pochwycił rękę swego pana, całując ją z niewymownym żalem. Łzy jak groch posypały mu się z oczu.

— Poczciwy stary! — rozrzewnionym tonem wyszeptał major.

Jędrzej o mało w głos się nie rozbeczał. Wyrwał major rękę z jego dłoni i wyrzekł to jedno słowo z dziwnie rzewnym akcentem:

— Żołnierz. ...

Szafarka, pragnąc korzystać z dłuższej chwili oprzytomnienia swego pana, poczęła go namawiać, aby się wypowiedział. ...

Spojrzał major na nią bez gniewu i bez przerażenia. Machnął ręką w powietrzu niezrozumiałym ruchem, który mógł zarówno oznaczać aby odeszła, jak też i to, aby posłano po księdza. Szafarka to ostatnie przypisała tej odpowiedzi znaczenie. Posłała bezzwłocznie po księdza do Zarosliniec.

— Po księdza! po księdza! pan po księdza kazał posłać! — rozległo się w jednej chwili w całym domu i na dziedzińcu, w czeladnej oficynie i w stajniach i w zabudowaniach folwarcznych.

Zanim zaprzężono do karyolki, na okulbaczonym już koniu pędził co tchu strzelec Ignacego do Mianowa.

Było to około godziny 10 z rana.

* * *

Dla zrozumienia dalszych wypadków, winniśmy cofnąć się teraz wstecz w naszym opowiadaniu, do owej chwili, gdy Ignacy wyniosłszy zemdloną Klaudyę z rodzicielskiego domu, uwoził ją ku zarcślinieckiemu kościołowi.

Szybkim ruchem powozu przywrócona do przytomności, rychło Klaudya zdała sobie sprawę ze swego położenia. Usiłowała zrazu krzyczeć i wołać o pomoc, ale wnet przekonała się, że to środek, który jej ocalić nie może. Ignacy, siedzący obok niej, rozparty o poduszki karety, nie wzbraniał jej wołać: „Ratunku!“ Patrzył na nią kociemi oczyma i uśmiechał się spokojnie. — Ręcza czwórka wytężonym kłusem unosiła powóz; niepodobieństwem było przypuścić, aby kto, usłyszawszy rozpaczliwe wołanie Klaudyi, zdołał był zatrzymać konie w pełnym będące biegu. W nocy może nikt nawet jej krzyku nie usłyszy. ...

Załamala ręce, twarz się łzami oblała; głośne, spazmatyczne szlochanie dobywało się z piersi.

Ignacy ani się ruszył. Znał on kobiety i wiedział dobrze, że chcąc podzielać na jej wolę, należy ten pierwszy paroksyzm rozpaczy cierpliwie przeczekać. Nakazał sobie milczenie i pokonawszy siłą postanowienia gwałtowność temperamentu, wbrew swej naturze cierpliwym był, jak najdoświadczeńszy pedagog.

Przychodziło mu to widocznie z trudnością. Gładził rudą bródkę, to znowu bawił się frędzlami taśmy, a na twarzy jego, na którą padały jaskrawe blaski migocącej latarni, mieszając się czasem z bładem światłem księżyca, różne przesuwając się zdawały myśli i plany. Czasem rozchyliły się czerwone, zmysłowe jego wargi lekkim, ironicznym uśmiechem, z po-za którego błysnęły białe, duże zęby, szeroko w ustach rozstawione. Wyciągnął pulares z kieszeni, a wyjąwszy cygaro, odgryzł bezmyślnie koniec. Nagle przypomniał sobie, że cygara w tej chwili zapalać nie wypada — i schował je napowrót z niechęcią. Ziewnął. Nudziło mu się widocznie w towarzystwie płaczącej kochanki.

Po gwałtownym płaczu — cisza, wyczerpanie sił, chwilowe półomdlenie, otrętwienie wszelkich władz ciała i duszy, bezwładność, martwota: zupełnie tak, jak przewidywał. Winszował sam sobie, że się tak zna na rzeczy. Wyjął z kieszonki zegarek i zbliżając go do latarni, obliczał, ile jeszcze czasu mu pozostaje, aby przed przyjazdem do zaroślinieckiego kościoła, wpłynąć na Klaudyę odegraniem stosownej komedyi, któraby ją uczyniła uległą przy ceremonii ślubu i wszelką jej odjęła chęć buntu. Jeszcze godzina: to powinno wystarczyć. Aż nadto! — Wyprawiony z Wartyńca konny posłaniec zarządzi tymczasem, aby wszystko w kościele na ich przyjazd było przygotowane, dwóch przyjaciół czeka tam, aby na wszelki sposób w razie potrzeby dopomóżdź i być świadkami ślubu; młody wikary, zjednany obietnicą beneficyum wakującego w dobrach Ignacego pro-

bostwa, pominię wszelkie niepotrzebne formalności — a jak ich raz stała zwiąże, wszystko będzie w porządku: wierzyciele poczekają, dostarczą nawet pieniędzy, ile zażąda, fałszywe weksle zostaną umorzone, a gdyby nawet major nie dał się przejednać — to już sam majątek Klaudyi, należący jej po matce, wystarczy na spłacenie większej części długów.

Pójdzie wszystko jak po maśle. Bravo! bravissimo!... Tymczasem zresztą, nim się wszystko ułoży, można będzie wyjechać z nią za granicę — ot, na przykład do Monaco! bank rozbić! Zostawiłem tam ze trzykroć przeszłego roku... Trzeba swoje odebrać!... Signora Fiorini mnie tam zapraszała, mówiła, że porzuci dla mnie swojego Anglika — byłem dużo przywiózł pieniędzy. Szelma Włoszka! puściła mnie z kwitkiem, jak widziała, że mi już braknie grosza! No, jeszcze mnie żadna tyle nie kosztowała, co ona! Wróci się ona, wróci do mnie, byłem miał czem płacić!...

— A! co mi tam teraz po niej i po Włoszkach; na honor, ta Polka od nich ładniejsza!... Co to za usteczka... a oczy... a szyjka łabędzia! A jaki biust i talia! A ta nóżka!... Model istny na posąg Afrodyty!... Cierpliwości — nie długo mi już czekać, a będzie moją, moją...

I odetchnął szeroką piersią, jak pływak, któremu po przebyciu szerokiego strumienia, udało się dobić do brzegu; jak turysta tatrzański, który dotarł do szczytu Gerlacha lub Łomnicy. Teraz odsapnąwszy, miałby ochotę roześmiać się z całego gardła... Nie wypada. Ale czuje, że zręcznie się sprawił; kontent jest z siebie.

Z zadowoleniem przebiega w myśli cały plan awanturniczej swej wyprawy i wszystkie swe manewry....

— No, bez tego drugiego listu Aleksandra, byłoby się obeszło! Tu przesadziłem... przesoliłem... Gdybym tego drugiego listu nie był jej pokazał, dałaby się była dobrowolnie nakłonić do ucieczki. Już tak była blisko decyzji... No, trudno mi było przewidzieć, że ma tyle sprytu — i zważa pismo nosem. — Ale mniejsza o to! Tak, czy tak,

to wszystko jedno! porwałem ją, moja jest! W kilku dniach— a ukartowałem wszystko po mistrzowsku... Zręcznie się sprawilem.... Toż to będą podziwiać mnie w klubie!

— Z tem wszystkim, nie tak to było trudno. Ba! czegożbym ja nie dokonał, gdy o kobietę idzie! Trudniej bywało....

Trudniej bywało... I przyszły mu na myśl różne romantyczne przygody, które szczęśliwie przeżył już w życiu — zawsze szczęśliwie. Jeśli nie udało się rozmarzyć, rozkochać, to się brało podstępem lub gwałtem.... Nieraz to była niebezpieczna wyprawa, gwizdały kule koło uszów, albo trzeba było potykać się z mężem na ostre, lub z braćmi... Prawdziwie! nieraz nie było warto.... Zdobywało się dla rozrywki, z nudów, albo przez ambicję, .. albo jak Józię — o zakład. Zdobywało się i rzucało za parę miesięcy... czasem za parę dni...

— Teraz, to całkiem co innego. Tej ja nie porzucę! Jeśli można prawdziwie kochać — to chyba teraz jam zakochany, cha, cha, cha!... Żadnej jeszcze w życiu tak nie pożądałem kobiety.... Nie raz jeden, ale sto razy strzelałbym się o nią... z rozkoszą!... z rozkoszą!

— Ależ bo ona, to nie kochanka — to moja przyszła żona — to moja pani — moja chluba — to zbawczyni moja i jedyne ocalenie — od hańby, od nędzy.... Gdybym jej nie zdobył, toby mi już nic nie pozostało, jak palnąć sobie w łeb! Lichwiarze na karku... weksle podrobione... termin za trzy tygodnie, za trzy tygodnie! *sacrebleu!*... Teraz ty to ptaszku śliczny, twoim posagiem wypłacisz!...

Spojrzał na nią. Nieruchoma, jak posąg z otwartymi oczyma. Nawet oddechu jej nie słychać.

— Kto wie? — pomyślał — może to nie bezduszne otrętwienie. Może ona myśli i układa plan jakiego wykrętu? Haha! to gracz, nie panna! jaką to ona ze mną komedię uległości odegrała w swoim pokoiku... a potem zaczęła wołać: „Ratunku!“ usłyszawszy głosy pod oknem. — Ba!

ale ja nie w ciemę bity. Już mi się nie wymkniesz rybko! Trzeba cię jednak lepiej w sieci omotać.

Spojrzał znowu na zegarek: Oho! czas leci: dalej do dzieła!

Spojrzał na nią. Siedziała nieruchoma, blada. Od blasku księżyca świeciły jak brylanty, łezki trzęsące się na jej rzęsach. Oczy miała spuszczone, głowę pochyloną, drżały jej wargi nerwowem drżeniem. Ręce na kolanach splecione, jak do modlitwy.

Przyklął przed nią na jedno kolano i wydekłamował:
— O moja święta! przebacz mi!

Klaudia ocknęła się z zadumy. Modlitwa jej mięszała się z planami ratunku. W modlitwie natchnienia tych planów szukała. Wiedziała z ust Ignacego, że zamierza zawieźć ją najpierw do kościoła, gdzie zjednany przez niego ksiądz, ma im dać ślub. Gdzież szukać ratunku, jeśli nie w kościele? Tam, u stóp ołtarza, znajdzie najbezpieczniejsze schronienie i obronę. Bez jej zezwolenia, kapłan węzłem małżeńskim połączyć ich nie może. Zna ona zresztą pocziwego proboszcza od dziecka i jest ulubienicą jego, zna także wikarego, jako zacnego człowieka, który chyba oszukany przez Ignacego i w mniemaniu, że kochającą połączy parę, przyrzekł mu dać ślub bez zapowiedzi i zezwolenia jej ojca. Nie, nie ma czego tracić nadziei, nie ma czego rozpaczać: uległa będzie i cierpliwą aż do progów kościoła, tam dopiero wypowie prawdę i zażąda opieki. Tam jej ocalenie.

— Przebacz mi, najdroższa! — drżącym głosem jęczał przed nią Ignacy.

Ona milezała.

Potok gorących słów popłynął wtedy z jego ust nieprzerwanym prądem. Zrazu, jak złego aktora rola, pełnemi przesady, zdały się te wyrazy, a wstrętnym z niemi kontrastem raziły chłodne rysy jego twarzy; oczy siwe szklify się w blasku księżyca zimno, jak rybia łuska z po-za kryształowej bani. Zwolna jednak zły aktor przejmować się

zdawał swą rolę coraz bardziej: w rozszerzonych orbitach złowróbnne migały ogniki błękitnem światłem; bezwstydne rozpasanej chuci wyglądały z nich myśli, niecierpliwą żądzą targana twarz satyra stroiła się naprzemiany w kontorsye kociego przymilenia, to w zmarszczki podrażnionego oporem swej ofiary, drapieżnego zwierzęcia.

— Przebacz mi!... Ja wiem Klaudyo, że ty mnie nienawidzisz... że ty mną pogardzasz... o ja nieszczęśliwy!... Och! miej ty litość nademną! Za miłość twoją, za jedno łaskawsze spojrzenie, dałbym świat cały, życie, zbawienie, honor!... O! ty masz prawo mną gardzić, nienawidzić mnie... Nikezemnym ci się wydaje mój podstęp, gwałt, rabunek... Wszystko w twem sercu przemawia dziś przeciwko mnie, wszystko mnie oskarża — bo nie ma tam jednego obrońcy, któryby mnie ocalił, nie ma tam miłości! Nie kochasz, toż rozumieć nie możesz, ile ja kocham! Nie wiesz, jakie piekło we mnie! Stokroć cierpię więcej w tej chwili od ciebie, stokroć więcej boleję... pełne łez serce moje... Niegodnego dopuściłem się czynu — ale cóż mi pozostawało innego?... ja kocham! kocham! kocham!... Miłość moja niezmiernona — jak świat!... Tysiąc razy spełniłbym to samo, tysiąc razy najstraszniejszych dopuściłbym się zbrodni, byle cię posiadać kochana! Z nieba i z piekła-bym cię wyniosł i porwał, byleś ty moją była!... Moją jesteś, moją, moją! Moją na życie całe, moją na wieki!... Jak orzeł porwałem cię, gołąbko moja i nikt cię już z mych szponów nie wyrwie! tyś moja!...

Kłęcząc, pochwycił ją za ręce i okrywał pocałunkami. Jak martwy posąg, nieruchomie siedziała nieszczęśliwa. — Zdawało jej się, że te pocałunki palą jej ręce, jak dotknięcie gryzącego jadu.

— O moja, moja!... Cóż to za szczęście, co za rozkosz dla mnie w tym wyrazie: moja!... Omdlałaś mi gołąbko, przy najpierwszym pocałunku moim, omdlała cię wyniosłem z gniazdeczka twego... alem cię tu ocucił poca-

łunkami z omdlenia. ... Tyś już moja — i nieczyją już być nie możesz. ... Tyś moja! moja!

Dreszczem wstrętu zadrgnęła Klaudya. Ale on, chcąc stwierdzić prawo uzurpatora, nowym pocałunkiem zamani-
festować je usiłował. Twarz odwracając, broniła ust swych przez chwilę obiema rączkami przed natarczywością jego. — Głośnym wybuchnęła płaczem. Ale on, nie zważając na to, dłonie jej bezsilne, żelaznemi oderwał rękoma i pochylając się nad nią, ustami ust jej szukał. Nadaremnie umknąć z niemi chciała, usuwając je gwałtownem rzucaniem głowy. On gorącym swym ścisnął je oddechem, ślizgając wargi po jej skroniach, oczach i szyi. Znalazł je nareszcie i zawisł na nich, ssąc słodycz z nienasyconą checiwością, jak spragniony wędrowiec, który od podanego kubka krynicznej wody swych ust nie uchyli, póki nie spełni go do dna.

Zacisnęła wargi, stłumionym jękiem odpowiadając na te pieśczoty. Łzy przestały z oczu płynąć, od bólu ścisnęło się serce, szum w uszach, zamęt w głowie... już nie wie o świecie...

Spostrzegł się Ignacy, co się z nią dzieje — i opamiętał w szale. Niezadowolony, usunął się. Obawiał się nowego ataku mdłości i spazmów. Do kościoła już niedaleko — paroksyzm taki nie byłby teraz pożądanym. — Czy ja zwaryowałem? trzeba mieć przecie rozum! — powtarzał sam sobie w duchu. Niesmakiem jakimś przejęła go zresztą ta chwila przymuszonej pieśczoty. Nieodwzajemniony całus nie syci żądz, ale w gniew jakiś je zmienia, w niechęć, prawie w nienawiść.

— Nie cierpisz mnie? — zasyczał. — Ja się już twej nienawiści nie lękam, skoro wiem, żeś już moja. Haha! to piekło, które mnie pali, przeleję pocałunkami w ciebie — będziesz musiała mnie kochać. Chcesz, czy nie chcesz, moją już być musisz! musisz! już jesteś!... Kochanką jesteś wobec całego świata — bom cię porwał, boś uciekła ze mną z ojcowskiego domu ... po nocy!... Bądź więc rozsądną

Klaudio i daj pokój próżnym żalom i dalszemu oporowi — bo ja cię ze szponów moich już nie wypuszczę... raczej każdej podłości i gwałtu byłbym zdolny, niż ciebie się wyrzec!... A uczciwie i honorowo postępuję z tobą, wioząc cię wprost do kościoła — abyś miała prawo zwać się żoną moją!... Do ojcowskiego domu, tylko jako żona moja powrócić możesz, albo wróciłabyś zhańbiona. Pocałunkami wycisnąłem na twoich ustach niezatarty znak, pieczęć moją — jak na niewolnicy!...

Szkarłatny rumieniec wstydu, czy oburzenia, oblał trupiej błości lica Klaudyi, zakryła twarz rękoma przed śledzącymi ją oczyma Ignacego i tłumionym wybuchnęła płaczem.

Ostry i gwałtowny ton głosu Ignacego, znowu w łagodniejsze przeszedł modulacye.

— Tak!... ty czujesz, że nowe zaczynasz życie... że do mnie należysz... że dla twej własnej czci i honoru, musisz mi przysiąc wiare przed ołtarzem. — Powiedz, będziesz mi powolną? — Przestrzegam cię, bądź rozsądną!... Panią moją będziesz, królową moją — a ja twym niewolnikiem na całe życie! Skinienia twego każdego słuchać będę, każdemu zachceniu dogadzać. Kochać cię będę, jak cię nikt kochać nie potrafi! — Szalały za mną kobiety... a ja ciebie jedną kocham, namiętnie, szalenie, jak nigdy nie kochałem. Raj ci stworzę na ziemi, niebo! tylko bądź dla mnie łaskawszą... porzuć próżne gniewy... pogódź się z koniecznością... przebac mi! przebac dla miłości mojej!... Bóg mi już przebaczył — i czuję, że nam błogosławi!...

Zboczył w tej chwili powóz z gościńca, pędząc ku zaroslinieckiemu kościołowi.

Ignacy pochwycił Klaudyę za rękę. Niecierpliwość przebijała w jego głosie:

— Klaudio! ani słówkiem nie odpowiesz mi?

Milczała.

— Klaudio! — i gwałtowniej ujmując żyłastą dłonią

jej rękę, wstrząsnął nią niecierpliwie, jakby ze snu chciał ocucić.

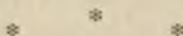
— Czy czujesz, żeś w mojej mocy? — zapytał tonem pana życia i śmierci.

— Czuję — odrzekła z poddaniem niewolnicy.

— Pójdiesz ze mną do ołtarza?

— Pójdę... złamanym odrzekła głosem.

Powóz zatrzymał się w tej chwili przed głównym wejściem do kościołka. Furta była otwartą. U wielkiego ołtarza płonęło światło.



W kilka dni później, tąż samą drogą z Zarośliniec do Wartyńca, jechał proboszcz, wezwany do umierającego majora.

Okolo godziny drugiej toczyła się droga, przez wieś wiodącą do wartynieckiego dworu, ta sama lekka karyolka, darowana niegdyś Klaudyi przez ojca, w której — w jednym z pierwszych rozdziałów naszej powieści, widzieliśmy Klaudyę, powożącą się z taką dziecinną uciechą. W karyolce siedział naówczas major obok córki i cieszył się sam jak dziecko, dziecięcą swej jedynaczki radością. Pokręcał siwe wąsy i spoglądał z dumą to na nią, to na Olesia, który z młodzieńczym zachwytem wpatrzony w swoją bogdankę, na dzielnym wierzchowcu harcował obok powozu.

Dziś z tej karyolki odzywał się dzwonek kościelny, ostrzegając przechodniów, aby uchylali głowy i uginali kolana. Dobry nasz znajomy, o rumianej, dobrodusznie uśmiechniętej twarzy, proboszcz z Zarośliniec, siedział w powozie, trzymając w rękach ostatni umierających posiłek. Odmawiał ciche modlitwy, od czasu do czasu ocierał pot z czoła kra-ciastą chustką i stękał głośno swoim zwyczajem, ile razy koła gwałtowniej podskoczyły na większym jakim kamieniu,

świeżo szutrem wysypanej drogi. Dla opasłej jego postaci, szybsza jazda na tej drodze prawdziwą była torturą.

Wybiegli ludzie z chat, na znany, a złowróźbny zawsze głos dzwonka i uginali z pokorą kolana.

— To do dziedzica! dziedzic umiera! — szeptali do siebie. I dziwną grozą przejmowała ich ta myśl. Choćby dziesięciu włościan umierało, nie czuliby takiego dreszczu w obec drakońskiego prawa śmierci, któremu i najmożliwiejsi podlegają.

Wreszcie zatoczyła się karyolka przed ganek warty-nieckiego dworu. Z pomocą służby wysiadł z niej proboszcz bez szwanku; wszedł do sieni. Przyklękając, wskazuje mu służba, dokąd się ma udać.

W pierwszym pokoju zaszedł mu drogę doktor.

— Spi teraz. Nie można go budzić. Proszę zaczekać. No, należy go zresztą przygotować, gdy się zbudzi.

Ustawwszy w stosownym miejscu puszkę z wiatykiem, udał się tymczasem proboszcz na zaproszenie doktora do jadalni, aby się nieco posilić.

— Fajki, fajki mi dajcie! bójcie się Boga! — prosił proboszcz — bo przez całą drogę palić nie mogłem.

Podano mu antypkę. Zapalił.

— Pfff! — i otoczył się kłębamii dymu. Pyknał spiesznie kilkanaście razy i nasycony utęsknioną przyjemnością, której przez kilka godzin był pozbawiony, spojrział bystro na doktora.

— Bójcie się Boga: źle?

— Źle.

— Bardzo źle?

— No, bardzo źle!

— Aj, aj! bójcie się Boga! Taka zaćna dusza!

Pyknał znowu z wielkim pospiechem kilkanaście razy.

— A cóż z córką?

— Czyś proboszcz dał jej ślub z panem Ignacym Brwickim?

Proboszcz zapomniał o fajce. Chwycił się szeroką dłonią za głowę, jakby go gwałtownie zabolala.

— Aj!

Milezał chwilę, a potem zaczął lamentować, przerywając swe opowiadanie, złożone z samych urywanych zdań i wykrzykników, pykaniem pospiesznem z fajki.

— Ten mój wikary! (pyk, pyk, pyk, pyk), co on mi narobił! (pyk, pyk), — bójeie się Boga! (pyk), gdzie tam! zkad znowu ślub! (pyk). Spię w najlepsze (pyk, pyk). Otóż nie wiem, co on z wikarym nadrobił (pyk) ten p. Ignacy. Istny szatan! (p. p. p. p.) jużci go skusił w jakiś tam sposób. (p.) Podalem skargę do biskupa. Bójeie się Boga! (p.p.) Oto tak było: (p.) Noc, noc... Spię w najlepsze... Budzi mnie moja gospodyni... Twardym snem spię... Budzi mnie. . Jegomość! jegomość! Światło w kościele!... He? bój się Boga, co znowu?... A ona? ksiądz wikary ślub daje jakiejś pannie i jakiemuś panu, co przyjechali karetą... ale panna nie chce. — Bój się Boga, zwaryowałaś? Co ci się śni?... Nie, jegomość... ot, niech jegomość spojrzy do okna. — Patrzą: prawda, światło jest. Ludzie się zbiegają... Fajka zgasła... Zaraz. Bójeie się Boga... eh! już nie ma nic. Dajcie no świeżę... Otóż panie konsyliarzu, tak było. Ach ten wikary!... Ja go nauczę! Na rekolekcyach będzie sie dział przynajmniej ze dwa lata. — Otóż tak: zrywam się, wciągam na siebie co mogę na prędcę... Zatkana, nie chce ciągnąć. Nałóż mi tamtą, Jędrzeju... Cóż Jędrzeju? żal ci pana? żal? co? a panienki żal?... Bójeie się Boga, co tu się wszystko stało w tak krótkim czasie!... Już, już ciągnie... Wciągam na siebie rewerendę, lecę do kościoła. Co tehu lecę... Krzyk wielki... Ludzie się zbiegają. Mój wikary, blady jak trup, stoi przy ołtarzu — a w kościele dwóch jakichś panów ciągnie pannę, trzymając pod ramiona — a ona im się wrywa i krzyczy: Nie chcę! nie chcę! ratujcie ludzi! na miłość boską, ratujcie!... Aż mnie mrowie przeszło... Patrzą — a to majorówna, a jeden z tych drabów,

to pan Ignacy. Bóście się Boga! Osłupiałem i anim się ruszyć nie mógł z miejsca.... A widzę, że tu już kilku z moich parafian chce pannę obronić i wyrwać z ich rąk... a strzelec pana Brwickiego płazuje ich kordelasem i ogania... i jeszcze jakiś tam socyusz pana Brwickiego wywija laską... Bo przyjechało ich dwóch tego dnia rano i czekali cały dzień w karczmie na ten niby ślub.... Piękny ślub!... A p. Ignacy szarpie majorównę za ramię i pieni się od złości i krzyczy: Będiesz ty się jeszcze na kolanach czołgać przedemną, żebym się z tobą ożenił! — A ona: Ratujcie mnie ludzie! Okropnie wrzeszczała... aż mnie jeszcze teraz dreszcze przechodzą... A pan Ignacy: Będiesz ty cicho, jędzdo! i zdaje się, że musiał ją za rękę ścisnąć, albo jakiś ból zadać, bo wrzasła, jakby ją kto nożem pehnał — i zemdląła.... Wtedy ja występuję. Bóście się Boga! wołam na nich. Czy wy się Boga nie boicie?... Moi parafianie byliby jej nie dali — ale kilku ich tylko było, a reszta baby... Wziął ją tedy Brwicki zemdloną na ręce i zaklął: Niech ją dyabli! nie damy rady szelmie!... Szelma — powiedział... Słyszałże kto co podobnego? bóście się Boga!... I zaniósł do karety... a strzelec siadł na kozioł i już mieli jechać... A wtem parobek jeden, Teodor, zuchwały bardzo, chwycił za uździenice: Nie puszczać ich! woła, to zbóje!... Ale jeden z tych świadków pana Ignacego, bóście się Boga, jak go zwali laską przez łeb, chłopak się przewrócił. — Kćnie ruszyły z kopyta... ale ludzie widząc, że parobek upadł, myśleli, że go zabił i puścili się w pogoń za tymi dwoma — a oni uciekali do karczmy, gdzie stała ich bryczka. I jeden z nich woła: wara! kto się do mnie zbliży, to mu w łeb palnę! I ludzie mieli rozum i dali pokój... A Teodora, parobka tego, baby trzeźwią i matka przybiegła i w płacz... A on leży i leży i ani się ruszy. Ja sam myślałem, że go na śmierć zabił... I powiadam: widzicie ludzie, bóście się Boga, widzicie do czego te bójki prowadzą: chłopak bez sakramentów umarł... Aż tu chłopak otwiera oczy i zaczy-

na ziewać. Jemu się zdawało, że spał i że mu się to wszystko śniło. Aż gdy obaczył, jak nad nim lamentują, to opamiętał się i zaczął jęczyć, że ma głowę rozbitą. Nic ci nie będzie — powiadam mu: chłopska głowa twarda. Ale bój się Boga, masz nauczkę, trzeba ci tego było?... Cóż to konsyliarzu, bój się Boga: spisz?

Ale doktor Czarka nie spał. Siedział milczący w rogu kanapy, z twarzą zakrytą obiema dłońmi.

— A dajcież mi co przekąsić, bójcie się Boga — zawołał pocziwy proboszcz — bom dyabelnie głodny. Nie uwierzysz konsyliarzu, jak się otrząsem w drodze. To dwie mile z okładem. A jaka droga piekielna: niech go kaci! Kaducznie mi się jeść chce... bójcie się Boga!...

Wszedł spiesznie do salonu stary Jędrzej. Niepokój jakiś malował się na jego twarzy.

— Panie konsyliarzu, niechno pan pójdzie zobaczyć: pan spi, ale czegoś bardzo głośno teraz charczy.

Pospieszył za nim dr. Czarka do sypialni chorego. — Zbliżył się do łoża, przypatrzył się twarzy, poszukał pulsu, przyłożył ucho do piersi... słucha...

Niedługo trwało to badanie. Poprawił na nim kołdrę, ułożył równo ramiona, spojrzął raz jeszcze na zmienione rysy starca i pokiwał głową smutnie.

— Jędrzeju... major się już nie przebudzi z tego snu. To już koniec. Do wieczora najpóźniej.

Zbliżył się Jędrzej i przerażonym wzrokiem spoglądał na starego pana swego. Major leżał na wznak — wyprostowany. Ze w półprzetwartych ust jego, głośne dobywało się chrapanie. Zdawałoby się, że spi suem smacznym, po całodziennym trudzie nużącej kampanii. — Ukląkł przy łożu stary towarzysz broni i ucałował rękę swego pana. Ucałował i skropił łzami.

— Jędrzeju — rzekł doktor — przywołajże proboszcza, aby zaczął odmawiać modlitwy za umierających.

Jędrzej ocierając łzy palcami, był już we drzwiach, gdy go doktor zatrzymał:

— Zaczekaj. Pewnie tu cała czeladź się poschodzi, aby się z panem pożegnać. Może i obey. — Pozamykaj wszystkie szafy, pochowaj kosztowności, jeśli co znajduje się na wierzchu. Czuwaj nad tem, aby nie zginęło — skoro nie ma komu czuwać.

— Prawda panie! niejeden czeka na to zamieszanie, aby co zabrać. Oprócz mnie i szafarki, starych sług nie ma.

— A klucz od tej kasy żelaznej? wiesz gdzie jest?

— Nosił go zawsze na piersiach pan major, na tasiemce.

Odchylił doktor koszulę na piersiach chorego, które gwałtownym szarpnięciem oddechem, wznosiły się i opadały. — Chrapanie coraz stawało się głośniejszem.

Na czarnej jedwabnej tasiemce wisiał mały kluczyk. Odczepił go z tasiemki lekarz.

— Jest kluczyk. Weź-że go Jędrzeju i nie oddawaj nikomu.

Jędrzej się wzbraniał.

— Nie, ja się boję. Tam dużo pieniędzy i złota — a nużby co zginęło? Niech pan konsyliarz klucz schowa.

— Nie! to do ciebie należy. — Zresztą, jeśli się boisz odpowiedzialności, to zrobimy inaczej.

Włożył kluczyk w pustą kopertę listową i zapaliwszy świecę na biurku, kopertę zapieczętował własnym sygnetem.

— Schowajże Jędrzeju i nie oddawaj nikomu.

— Tylko samej panience — dokończył Jędrzej.

— Panience? Nie. I panience nie. Panienska małaletnia — a zresztą, zostaje dziś pod władzą tego... tego pana Ignacego, a ksiądz proboszcz powiada, że ślubu nie było... Nie ma się komu nią zaopiekować. Może testamentem oznaczył nieboszezyk dla niej opiekuna; jeśli nie, no, to go sąd zamianuje... Tylko opiekunowi, albo sądowi możesz klucz ten oddać! pamiętaj Jędrzeju!

— Dobrze panie: już on tak pewny u mnie, jakby był w jego własnem ręku.

— Idź-że teraz po księdza i służbę przywołaj.

* * *

Nie dokończył pocziwy proboszcz smacznej przekąski, przy której go zastał Jędrzej. Obtarł czempredziej usta serwetą i pospieszył do spełnienia obowiązku.

Zapalono gromnicę, a proboszcz powtórzywszy kilkakrotnie a bez skutku usiłowanie przebudzenia umierającego i przywołania go do skrucchy, z bolesnym wyrzutem uzalił się, że go zawołano zapóźno i monotonnym głosem zaczął odmawiać zwykle przy konających modlitwy. Wkrótce gromadzić się zaczęła służba i czeladź, a klękając u drzwi z pokorą, spoglądała z trwogą na wysokie łoże, na którym, w miękkim puchu białych poduszek, tonęła woskowo-żółtej cery twarz majora, paralitycznem zeszepecona skrzywieniem. Srogi mars na jego czole, szeroko rozwarły się usta, jakby do krzyku ostatniej komendy, a nad spieczoną od gorączki, wydatną wargą, sterczą białe, gęste wąsy. Z jamy ustnej wygląda tu i ówdzie kilka zębów, które pozostawiła tam starość, a głośnie, lecz w coraz dłuższych odstępach i coraz krótsze, chrypliwe, piszczące dobywa się z niej chrapanie.

Jasne słońce pogodnego dnia, chyłące się ku zachodowi, zajrzało w okna sypialni i olśniewającym promieniem pada na twarz umierającego, srebrząc resztki siwych włosów, które na czoło mu się zsunęły. Srebrzą się od tego słońca gęste siwe brwi i wąsy, szorstko w górę zjeżone. — Na twarz, czoło, łysinę, kroplisty pot wystąpił.

Ten jednostajny rytm głośnej księżej modlitwy, ten cichy szept czeladzi i ciężkie niekiedy westchnienia i słumione łkanie niewieściej służby, a po nad tem wszystkim górujące charczenie konającego — tworzyły tę odrażającą i pełną wstrętnych dyssonansów całość, którą nazywają:

„majestatem śmierci“. Któż się jednak nie ukorzy przed nim? — chyba dziecię.

Dźwięczny dziecięcy głosik przerwał nagle tę uroczystą chwilę. Mała Ewusia, wnuczka szafarki, zawołała:

— Babciu! ale pan dziedzic głośno chrapie... fe!

— Cyt, dziecko! Pan dziedzic nie chrapie, ale umiera.

— Co jemu takiego się śni, babciu?

— Cicho Ewusiu, cicho!

Nie — jemu nie śni się nic. To szczęście jego. —

W tem cała pociecha śmierci, że śmierć snem bez śnień... .

Turkot powozu dał się słyszeć pod oknami.

To przybywają z miasta, wezwani do majora, doktor i adwokat.

Zaledwie wyszedł na ich spotkanie doktor Czarka, gdy z strony przeciwnej wyteżonym pędem drugi zajeżdża powóz.

Spienione zatrzymały się konie, wyskoczył z powozu pan Ignacy. Na twarzy jego malowała się niespokojna ciekawość.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Kona — patrząc mu surowo w oczy, odrzekł dr.

Czarka.

— Przytomny?

— Nie.

Pan Ignacy już był na schodach. Drzwi poroztwierane na oścież. Śmiało wszedł do pokoju, śmielej, niż kiedykolwiek tu wchodził za życia majora. Szpicrutę miał w rękę, kapelusz na głowie. Spojrzał z niechęcią na tłumnie zebraną czeladź i przesunął się między klęczącymi, nie usiłując wcale iść cicho, na palcach. W obec umierającego dopiero i na widok księdza zdjął kapelusz z głowy, przykląkł na chwilę, przeżegnał się. Potem wstał i założywszy ręce na plecach, zbliżył się do łoża.

Stał tak czas jakiś nieruchomo, wpatrzony w zmienioną twarz majora o rozwartych szeroko ustach, chciwie chłonących ostatnie oddechy. Ten duet, modlitwy i chareze-

nia, zdawał się go zrazu kołysać w jakąś przyjemną zadumę, sprzykrzyła snadź mu się jednak rychło ta monotonna melodia, bo zwracając się do stojącego obok niego Jędrze ja, zauważył głośno:

— Ależ to chrapanie!

— Pan dziedzie nie chrapie, ale umiera! — zawołała Ewusia, zapamiętawszy dane jej przez babkę wyjaśnienie.

Przeszedł się pan Ignacy po sypialni wzdłuż ścian, spoglądając na pozamykane szafy, jakby kontrolował, czy wszystko w porządku.

Zatrzymał się przy kasie. Dotknął palcami zamku, zsuniętego ruchomą przykrywką, pociągnął za antabę. Zamknięte: wszystko w porządku.

Obszedł wtedy łoże konającego i zachodząc z drugiej strony, pochylił się nad nim.

Coraz dłuższe przestanki po każdym chrapanięciu. Coraz cichsze odgłosy w porażonych płucach. Jeszcze odetchnęły... jeszcze raz... i jeszcze. To już ostatni oddech. Cisza... Nie. Jeszcze... i jeszcze... słabo... coraz słabiej... I cisza... cisza już. Cisza.

Jeszcze raz po długiej, długiej pauzie podniosła się deka piersiowa i — opadła. Wyprężyło się ciało — zesztwniała muskulatura twarzy — i cisza. Z szeroko otwartych ust, zda się, ostatnie uleciało technienie. Ciepło tylko jeszcze z nich bucha na pochyłoną nad trupem twarz Ignacego.

Nie — trupowi jeszcze wzdymają się piersi do oddechu — i znowu opadły. Teraz to już po raz ostatni? Nadsłuchują trwożliwie wszyscy: nic — nic — już nic...

Płacz dokoła głośny. — A Ignacy uchylił nieco kołdry i rękę przyłożył mu do spotniałej piersi. Czy śledzi omdlewającego serca uderzeń? Chłodniejszej od niego twarzy w takiej chwili żaden lekarz miećby nie mógł.

Domacał się jedwabnej na piersiach tasiemki. Przesunął ją między palcami z góry na dół, przesunął po niej palce raz wtóry i zaniepokojony widocznie bezowocnem zsu-

kaniem kluczyka, wezwał drugą rękę na pomoc. I znowu ciężko podniosła się deka piersiowa konającego, jakby cętnarami przyciśnięta ołowiu. Napróżno szuka na niej Ignacy upragnionego talizmanu. Nie, nie ma! nie ma kluczyka, którym kilkakrotnie w jego obecności major otwierał kasę. Nie ma! tasiemka jest — a nie ma kluczyka! Co to znaczy?

Obrócił się pan Ignacy gwałtownie ku Jędrzejowi, klęczącemu u łoża i szorstkim ruchem szarpnął go za ramię:

— Jędrzeju! pan nosił kluczyk na piersiach. Gdzie jest kluczyk?

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! — intonował właśnie proboszcz.

— A światło wiekuiste...

— Gdzie jest kluczyk?

— Jest u mnie.

— Oddaj mi...

Żadnej odpowiedzi. Wypreżyło się jeszcze bardziej ciało umierającego, skłębły podniesione do ostatniego oddechu płuca...

— Daj mi kluczyk — słyszysz?

Jędrzej rękę nieboszczyka w obu ściskając dłońmi, całował i rześnistymi skrapiał łzami.

— Jędrzeju! — i szarpnął go gwałtownie za ramię. Ruszył się trup, tem szarpnięciem pociągnięty za rękę.

Proboszcz mimowolnie przerwał modlitwę:

— Dałbyś pan spokój temu teraz, panie hrabio!... Bójcie się Boga...

— Kluczyk niech mi odda... Zabrał kluczyk od kasy...

Ocknął się wreszcie Jędrzej zniecierpliwiony, zagrała mu w żyłach krew. Spojrzał śmiało w rozpłomienione gniewnie oczy pana Ignacego i ofuknął go po żołniersku:

— Ja nie dam panu tego klucza!

— Nie dasz?... Czemu?... Mnie nie dasz?

— Panie hrabio! nie przerywaj-że pan służby bożej— zgromił go proboszcz, w którym już miara cierpliwości się przebrała.

— Nie dam: pan nie masz prawa brać tego klucza! — i powstał z klęczek.

— Ja nie mam prawa? Głupcze! A któż?... Teraz ja twoim panem, mężem twojej pani! słyszysz!

— Ja o tem nie wiem — odrzekł ponuro Jędrzej, a twarz mu zaczerwieniła od gniewu. Zabierał się do odejścia, aby przerwać gorszącą scenę nad niezastygłym trupem.

— Cóż to, nie wiesz, że twoja pani, to moja żona?

— I ja o tem nie wiem — odezwał się proboszcz sucho: — Ślubu nie dałem.

— Ślubna, czy nie ślubna, już ja ci ręczę księżu, że to moja żona! — pieniać się z wściekłości odparł p. Ignacy i żelazną dłońią pochwycił Jędrzeja za kołnierz: — Złodzieju! dawaj klucz!

Zachwiał się starzec od tego szarpnięcia, zatoczył się na łożu swego pana. Zerwał się jednak szybko na nogi i wyrwawszy się z rąk Ignacego, gromkim głosem kaprałskim zawołał:

— Strzeż się pan! bo tu czeladź m nie słuca, a nie pana!... Nie dam panu klucza, dopóki sąd nie każe. Pan tu nie jest panem. Nie waż się pan rozkazywać, bo ja tu ani ruszyć nie dam!... Co to znaczy? żebyś pan nawet w obec nieboszczyka takie gwałty wyrabiał!... Hej, chłopy!...

— Jędrzeju! — przerwał mu proboszcz: — cicho! cicho! bój się Boga! Opamiętaj się, co robisz!... Panie hrabio, dajże pan pokój... wszystko sobie potem róbcie, jak ja skończę!...

Opamiętał się pan Ignacy i wyszedł do drugiego pokoju.

— Pal was dyabli! Odpowiesz ty mi za to złodzieju!

Zapalił cygaro i niecierpliwym krokiem przechadzał się od kąta do kąta, zaglądając niekiedy przez wpół przetwarte drzwi do sypialni.

Różne myśli i wrażenia przemykały po jego wyrazistej twarzy. Długo trwała ta przechadzka; przeciągał się żałobny obrządek. Miał dość czasu Ignacy, aby zastanowić się nad niewłaściwością swego postępowania. Ochłonął, zwolnił kroku i niezadowolony sam z siebie, uderzył się kilkakrotnie w czoło, jakby chciał powiedzieć: Głupstwo zrobiłem; nie tak trzeba było brać się do rzeczy.

Rzucił się w wygodny fotel i postanowił czekać końca ceremonii.

Po chwili ucichło w sypialni i wszedł do pokoju Jędrzej.

— Słuchaj-no Jędrzeju — rzekł do niego Ignacy słodkimi słowami, kładąc rękę poufale na jego ramieniu: — słuchaj-no i zastanów się dobrze nad tem, co ci powiem. Wiem, żeś ty wierny sługa i że niewłaściwie postąpiłem z tobą. Ale pamiętaj, żebyś zadaleko w twoim uporze nie zaszedł — i na starość nie został bez służby... albo gorzej jeszcze!... Jak tu z żoną przyjadę, będziesz musiał klucz oddać — ale wtedy ja, mając uzasadnione podejrzenie, postaram się, aby cię w urzędzie wypyta no, co było w kasie... Kto wie, czy się wszystko znajdzie to, o czem ja wiem, że tam być powinno... i czy nie padnie na ciebie ciężki zarzut... Gdybym nie cenił twoich usług, mógłbym się o to postarać... Wolisz więc nie brać na siebie odpowiedzialności. i klucz mi oddać...

Jędrzej spojrział na niego wzrokiem przerażonym, który jednak nie pozostawiał wątpliwości, że klucza nie odda

— Daj klucz — a puszczyć wszystko w niepamięć i usługi twe u majora hojnie wynagrodzę.

Jędrzej poruszył z wolna siwą głową na lewo i na prawo.

— Sto dukatów!...

Jędrzej odsunął się od niego, jakby go piekła ręka Ignacego, złożona łaskawie na jego ramieniu.

— Dwieście!...

— Nie przekupi mnie pan! Oddam klucz panience, albo panu — jak sąd każe.

— Tysiąc! — szepnął Ignacy i zatrzymał go za mośiężny guzik liberyjnego surduta.

— Puść mnie pan! ja nieboszezyka pana po śmierci nie okradnę!

Puścił go Ignacy.

— Czekaj łotrze! — zasyczał przez zęby: — pożałujesz ty tego!

I machinalnie pogroził pięścią za odchodzącym. Zmieształ się jednak, ujrawszy we drzwiach otwartych, zamiast Jędrzeja, znanego mu adwokata.

Słyszał, czy nie słyszał?... ah, mniejsza o to! Ten nie będzie skrupulatem. Może mi poradzi.

Uściskał mu przyjaźnie rękę i oznajmiając, że chciałby jego rady zasięgnąć w interesie prawnym, zaprosił na przechadzkę do ogrodu.

— Słucham pana! — rzekł adwokat, gdy usiedli na ławeczce darniowej pod lipą.

— W szczególniejszym jestem kłopotcie. Powiem rzecz krótko.—Jestem zięciem majora. Oprócz jedynaczki córki, nie zostawił on innych spadkobierców i nie ma najmniejszej wątpliwości, że na nią cały majątek spada. ... Interesa wymagają bezwzględnej spłaty niektórych należności. Wypłaty te są naglące w najwyższym stopniu i w razie niedotrzymania terminu, grożą niesłychaną stratą. Major wezwał mnie właśnie w celu uregulowania tych spraw. Na nie-szczęście przybyłem zapóźno, major był już nieprzytomny, a teraz... stary jego sługa nie chce mi oddać kluczy od kasy....

— A przedstawiłeś mu pan, na jaką naraża się odpowiedzialność? . Niech pan wyjaśni mu nieuchronną ko-

nieczność tej wypłaty i w jego obecności wyjmie potrzebną kwotę, a pozostawi na nią kwit.

— Tęby się na nie nie przydało: on tych interesów nie zna i nie rozumie. Pojmiesz pan, że ubliżałoby mi nawet, szczegółowo tłumaczyć się i usprawiedliwiać przed lokajem! Nie mogę tego uczynić. ... Zresztą, istnieje powód, dla którego on mnie nie cierpi: może chce mi dokuczyć swym oporem, widząc, ile mi dziś zależy na wydostaniu pieniędzy. ... Któż wie, co nim powoduje? może chce kasę okraść? To najprawdopodobniejsze! zapewne dla tego nie chce dać klucza, abym nie przeliczył, ile w niej się znajduje.

— Należy mu przedstawić, że ściągnie na siebie surowe śledztwo.

— Wszystko to już zrobiłem. Nadaremnie.

Adwokat się namyślał. Po chwili rzekł z uśmiechem:

— Możeby go w inny sposób można ująć?

— Próbowałem! Głupiec, odgrywa rolę Katona. Cha, cha! śmieszne to, ale ja w fatalnem znajduję się położeniu.

— Czy wypłat tych odwlechy nie można?

— Niepodobna.

— A nie mógłbyś pan własnymi funduszami, albo poręczeniem zaspokoić tymczasem wierzycieli?

— Nie, niestety niepodobna mi w tej chwili moim kredytem uzyskać prolongaty tak znacznej sumy. ...

— Ile ta suma wynosi?

Na to pytanie adwokat nie otrzymał odpowiedzi. Po chwili milczenia, zapytał znowu:

— A gdyby to córka nieboszczyka zażądała wydania kluczków? możeby kamerdyner zdecydował się jej wydać?

— Moja żona przyjechać tu nie może — jest niebezpiecznie chorą. ... O tych wszystkich środkach już myślałem. To niewykonalne. ... Cóż mi pan radzi uczynić?

— Zdaje mi się, nie pozostaje nic innego, jak wezwać jeszcze raz kamerdynera, a w razie oporu z jego strony, opieczętować kasę w obecności domowników własną pie-

czątką i przedstawić im następstwa w wypadku przełamania tejże. ...

— Na cóż mi się to przyda?

— Nie będą mogli kasy naruszyć.

Ignacy wstrząsnął głową z niechęcią.

— Nie rozumiesz mnie pan. Mnie o to idzie, abym zaraz mógł pieniądze wydostać.

— Na to nie ma rady w tej chwili: gwałtu nie mógłbym doradzać. Niech pan opieczętuje kasę i uda się bezzwłocznie do sądu z przedstawieniem stanu interesów nieboszczyka, które panu muszą być dokładnie znajome, a które wymagają natychmiastowej wypłaty owej sumy. Niech pan się zresztą wykaże w tej mierze owym listem, którym pana major wezwał przed śmiercią w tym interesie...

— To ustne było wezwanie...

— A więc mogłaby ta osoba poświadczyć...

Coraz większe zniecierpliwienie malowało się na twarzy Ignacego.

— Ah! panie! To próżne rady! Interes wymagający tej nagłej wypłaty, wiadomy był tylko mnie i majorowi i nie jest tego rodzaju, abym go mógł przed sądem wyduszczać.

Z nieudanem zdziwieniem spojrzął na niego prawnik.

— W takim razie, radybym innej dać nie mógł, tylko starać się o przyspieszenie oddania spadku w ręce pańskie, jako męża i naturalnego opiekuna jedynej sukcesorki... Przy pertraktacyi sądowej znajdzie się zresztą zapewne testament...

— Jakże to długo potrwać może? — zagadnął gniewnie Ignacy.

— W najpomyślniejszym razie najmniej kilka tygodni.

— Tam do dyabła! — i przygryzł cygaro trzymane w zębach.

Zamilkli obaj. Ignacy szpicrutem swoim bił się gniewnie po nogach, parszkając chwilami przez zęby nieartykułowane głoski, a podobny do podrażnionego tygrysa, bieżu-

jącego się własnym ogonem. Adwokat, pochylony naprzód, z obojętnym wyrazem twarzy, rysował laseczką w ogrodowym piasku esy i floresy, przypominające nieśmiertelny znak paragrafu.

— Drogą osobistych stosunków — odezwał się wreszcie — możeby mi się udało nieco przyspieszyć postępowanie spadkowe. Będzie to mojem staraniem, jeśli mi pan ten interes powierzysz, ale przedewszystkiem zależy na spiesz-
nem dostarczeniu mi potrzebnych dokumentów.

— Jakich?

— Jużei najprzód *testimonium baptismi*... ale głównie idzie tu o metrykę ślubną, *testimonium copulationis*...

— O metrykę ślubną? — zasyczał z wściekłością.

— Oczywiście.

— Przekłęcie!

Z wyrazem niezwykłego zdziwienia spojrzął na niego adwokat.

— Czy to niezbędne? czy się bez tej metryki nie obej-
dzie? — pytał go Ignacy.

— Niepodobna. Ale wszakże tem nie ma się co troszczyć. Wyda ją na każde żądanie administrator parafii, w której się ślub odbył.

Ignacy świsnął szpicrutem w powietrze.

— Po co tu obwijać rzeczy w bawełnę! Nie będę przed panem tuił: nie ma metryki ślubnej, bo ślubu nie było. Wykradłem moją żonę, bo mi jej ojciec był przeciwny, ale dotąd nie wzięliśmy jeszcze ślubu.

— Aaa, to rzecz znowu wcale inna. Czemużes mi pan tego odrazu nie powiedział! W takim stanie rzeczy żaden prawnik panu nie poradzi, dopóki pan ślubu nie weźmiesz.

— Niepodobna tej w chwili: ona jest niebezpiecznie chorą.

— To nie przeszkadza. I owszem, tem łatwiej zdecyduje się każdy ksiądz dać państwu ślub bez zapowiedzi i

bez zezwolenia opieki... bo podobno potrzebaby zezwolenia? o ile wiem, pani jest jeszcze małoletnia?... tem łatwiej będzie o ślub *in articulo mortis*. W niebezpieczeństwie życia obejdzie się bez tego wszystkiego.

Uśmiechnął się Ignacy. Ale w tejże chwili uśmiech ten zniknął mu z twarzy.

— Dobrze — ale kiedy ona bezprzytomna. ...

— Ha, to źle. W takim razie trudno. Trzeba czekać wyzdrowienia.

Ignacy machnął szpicrutem w powietrzu.

— Czy pan sądzisz, że w tym jej stanie żaden ksiądz ślubu dać nie zechce?

— Wątpię; musi się przecież przekonać, czy ona na to zezwala.

— A gdyby dobrze zapłacić?

— Aaa... to już nie moja rzecz. Na to pan rady adwokackiej nie potrzebuje. Jeśli pan za pieniądze metrykę dostanie, to i bez ślubu się obejdzie — ale ja o tem nie potrzebuję wiedzieć. ...

— A nie mógłbyś się pan postarać o metrykę? Przy rozległych stosunkach pańskich z różnymi ludźmi, byłoby to panu łatwiej. Jabym suto księdza opłacił. Dałbym mu, coby sam zażądał.

— Nie panie, ja się takimi interesami nie zajmuję.

— Uczyniłbyś mi pan nadzwyczajną przysługę, za którą umiałbym się odwdzięczyć.

— Nie wątpię — ale chciej pan komu innemu ten interes poruczyć. Znajdziesz pan ochotników z łatwością.

To mówiąc, powstał i zwrócił się ku domowi. Ścieżką ku nim wiodącą, zbliżał się właśnie przybyły z adwokatem z miasteczka lekarz.

— Dwieście dukatów . . . szepnął za odchodzącym Ignacy.

Obrócił się spokojnie ku niemu adwokat i z afektowaną grzecznością odrzekł:

— Nie, panie; chciej pan wierzyć, żem nie gorszy od Jędrzeja. — I przyspieszył kroku na spotkanie lekarza.

— Szukam panów po całym domu — ujrawszy ich, zawołał lekarz. — Nie wiedziałem, gdzieście się podzieli. My, mecenasie, nie mamy tu już co robić, wracajmy do miasta. Już późno... A pana, panie Brwicki, przyszedłem przestrzedz. Nie idź pan do domu, ale każ zaprządz i wyjeżdżaj co prędzej...

Ignacy wstał także z ławeczki i zbliżył się ku nim. Przygryzał wargi, a nie mając na kim wyrzeć swej wściekłości, gwizdał szpicrutem w powietrzu, jakby niewidzialnego chłostał niewolnika. Usłyszawszy niezrozumiałą dlań przestrożę lekarza, zapytał:

— A to czemu? cóż mi tam grozi? czy nieboszczyk zmartwychwstał?

— Nie zmartwychwstał... ale cóż to za scena dzika odbyła się teraz przy jego trupie!... Zaledwieście panowie wyszli do ogrodu, nadjechał kuzyn pański, p. Aleksander... Wbiegł do sypialni, a obaczywszy, że major już nie żyje, głośnym wybuchnął płaczem. Rzucił się na kolana i zanosząc się od płaczu, całował nieboszczykowi ręce. Myślałem, że spazmów dostanie... Ale to jeszcze nic. W ciągu tego płaczu zapytał kogoś ze sług o majorównę. Nic nie wiedział, że jej tu nie ma. Gdy mu powiedziano, zaczął się dopytywać, co i jak... i bił się w czoło i ręce łamał, jak desperat. Myślałem, że zwaryuje. Chciałem go uspakajać, ale ani mowy z nim, ani rozmowy. Nadszedł wreszcie dr. Czarka i proboszcz i udało im się wyprowadzić go do drugiego pokoju. Ucichło jakoś i zaczęli rozmawiać — a wtem nagle jak krzyknie pan Aleksander: „ja go zabiję!“... Wyrwał im się z rąk i latał jak szalony po pokoju i nic, tylko: „ja go zabiję! ja go zabiję!“... Już pan wie, kogo to on chce zabić... Ja nic nie wiedziałem, że on pański rywal. — Nie pokazuj mu się pan teraz na oczy, bo on w zupełnie nieprzytomnym stanie umysłu, szaleje na dobre i gotów się

wszystkiego dopuścić... Szukałem panów, aby pana przestrziedz. Wyjdź pan tą boczną furtką z ogrodu do stajen, każ zaprządz i umykaj co koń wyskoczy...

— Za kogo mnie pan masz? jeszcze nigdy nie uciekał przed nikim — a cóż dopiero przed tym młokosem!

I roześmiał się na całe gardło.

— Ale zaręczam panu, że niebezpiecznie z nim się teraz spotkać! W takim stanie umysłu nie jest poczytalnym. Mógłby pana zabić naprawdę. Najrozsądniej pan zrobisz, jeśli unikniesz spotkania z nim. Daj mu pan wyszumieć, wykrzyzczyć się i opamiętać.

— On mnie śmieszy. Muszę się nim nacieszyć.

I zwrócił się ku domowi. Za chwilę przypomniał snadź jakiś zamiar, bo zatrzymując się nagle, zapytał doktora:

— Ale, ale! Nie mógłbyś pan pojechać ze mną do Mianowa?

— Nie, panie, nie mogę, bom obiecał, wróciwszy z Wartyniec, pojechać bezzwłocznie do pana Seweryna Roleckiego: żona jego ma się bardzo niedobrze. Dziś, jutro, wyjeżdżają do Włoch, ale czy dojedzie — wątpię.

— A więc tembardziej możesz pan jechać ze mną, skoro bytność pana nie zda się na nic w Sosnowce.

— Nie mogę, dałem słowo, że przyjadę. — A któż u pana chory? czy pani?

— Tak. Ale jeśli pan pojechać ze mną nie możesz, to konferencyę ze mną tutaj odbyć musisz. Chcę rady pańskiej zasięgnąć w jednym punkcie, co do postępowania z chorą — bo mój lekarz, Dożalewicz, jak się przekonałem, nie ma wyobrażenia o tego rodzaju chorobach... i nie możemy się zrozumieć.

— Dr. Dożalewicz jest bardzo zdolnym lekarzem — a ja, nie widząc chorej, nie mógłbym przepisać kuracyi, opierając się na opowiadaniu pańskim.

— Nie idzie tu o kuracyę. Idzie mi zgoła o co inne-

go — a dr. Dożalewicz nie chce, czy nie umie zrozumieć, o co mi idzie. ...

— Nie idzie panu o kurację? jak to?... O cóż więc panu idzie? zupełnie nie rozumiem!

— Posłuchaj mnie pan! Spodziewam się, że mnie zrozumiesz.

I biorąc doktora pod ramię, poprowadził go w głąb lipowej alei.

— Mecenasio! — zawołał lekarz, zwracając się do adwokata, który oczekując końca tej rozmowy, zatrzymał się był na skrócie ścieżki: — ja zaraz powrócę. Każ tymczasem zaprzęgać. — Słucham pana.

— Moja żona jest w stanie nieprzytomnym — zaczął Ignacy.

— Czy choroba zapalna?

— Nie. Powiem panu otwarcie — ale daj mi słowo, że zachowasz rzecz w tajemnicy.

— Słowo lekarza!

Ignacy spojrzał znacząco na niego, a zamiast słownych objaśnień, przyłożył rękę do czoła i zabębnił na niem palcami.

— Obląkanie?

— Tak.

— Zapewne skutkiem doznanych wrażeń?

— Zapewne — odparł z widocznym rozdrażnieniem.—

Mniejsza jednak o przyczynę. Dość, że popadła w jakieś szczególniejsze otrętwienie umysłu i zdaje się zupełnie nie widzieć i nie słyszeć, co się koło niej dzieje — tak, jakby spała z otwartymi oczyma. Leży w łóżku jak martwa. Mówić do niej, wołać, nie słyszy. Posadzić ją, siedzi jak manekin. Jeśli ją dwie osoby prowadzą pod ręce — idzie, ale skoro ją puszcza, stoi jakiś czas w miejscu z pochyłą głową, a potem z nóg leci i siada na ziemi. Nie dać jej jeść, nie upomni się, choćby cały dzień była o głodzie. Trzeba ją karmić jak małe dziecko.

Gdy to mówił, drgały mu wargi, drgały muszkuły twarzy, głos męzki i szorstki topniał pod wpływem jakiegoś gwałtownego uczucia w coraz łagodniejsze tony, zbliżone prawie do powstrzymanego wybuchu rozrzewnienia.

— Jak dawno wpadła w ten stan? — zapytał lekarz.

— Nazajutrz po przybyciu do Mianowa — a więc już przeszło od tygodnia. Doktor Dożalewicz utrzymuje, że stan ten jest groźny i nie wróży rychłego wyzdrowienia...

— Czy zgoła nie zauważyłeś pan chwilowych oprzytomnień z tej bezdusznej zadumy?

— W pierwszych dniach nie chciało mi się wierzyć w rzeczywiste pomieszanie zmysłów, sądziłem... że udaje — i przeróżnych próbowałem środków, aby ją ocucić z tego apatycznego milezenia... Wszystko napróżno. Prosić, błagać, perswadować, gniewać się — na nic się nie przyda. Siedzi jak bożek indyjski i ani się ruszy. Pojmie pan, że tu anielskiej trzebawy cierpliwości... Wściekłość mnie brała... Zaledwie dwa, czy trzy razy udało mi się wydobyć z niej kilka słów z jakim takim sensem.

— A zresztą, jeśli mówi, to wyrazy bez związku?

— Zresztą, jakby obudzona ze snu, powtarza bezmyślnie ostatnie wyrazy, które usłyszała. Trzeba jednak bardzo głośno krzyczeć, aby ją do tego zniewolić...

Zamilkł. Lekarz mileczał także, jakby namyślając się nad odpowiedzią. Doszli cienistą lipową ulicą do uroczej sadzawki, okolonej krzakami róż. Para białych łabędzi Klau-dyi, spostrzegłszy ich, rozszerzyła śnieżyste skrzydła i nawpół płynąc, nawpół lecąc po zwierciadlanej szybie, z radośnym krzykiem popieszyła ku nim.

— Nie będę panu taić — rzekł lekarz — że obłąkanie tego rodzaju nie łatwo ustępuje. Stan ten może się przeciągnąć bardzo długo: miesiące, lata całe... a mógłby na zawsze pozostać. Potrzeba tu nadzwyczaj wielkiej pieczołowitości, aby sprowadzić polepszenie. Nadziei nie trzeba

tracić, ale w każdym razie rokowanie, z tego co mi pan powiedziałeś, nie może być pomyślnem.

Ignacy milezał, patrząc w ziemię z dzikim wyrazem twarzy. Wreszcie rzekł złamanym głosem:

— Dożalewicz toż samo utrzymuje. Tak! trafia to do mego przekonania... I ja tak myślę...

Przerwał — a po chwili odezwał się szorstko:

— Nie o to jednak mi idzie w tej chwili, czy może być zupełnie wyleczoną i jak ją leczyć należy... Zależy mi obecnie tylko na tem, czy jest jaki środek lekarski, którymby ją można przywołać do przytomności...

— Nie rozumiem pana.

— Ah! i pan mnie nie rozumiesz, tak jak doktor Dożalewicz!... Idzie mi o to, aby jakimbyś środkiem obudzić ją z apaty — choćby na godzinę, choćby na kilkanaście minut — i zniewolić, aby zachowała się przez ten czas rozsądnie...

— Nie. Takiego środka nie ma... Sposoby, jakich niegdyś używano w źle urządzonych domach waryatów, sądząc, iż obłąkanie da się w pierwszej chwili stłumić gwałtownymi środkami, najgorsze wywołuje następstwa. Psychiatria nowożytna uznała je za nieracjonalne. Zdarza się wprawdzie, iż pod wpływem brutalnego obejścia, chory, zmuszony do niewolniczego posłuszeństwa, poddaje się wszelkim rozkazom i przybiera pozór rozsądnego człowieka, ale jest to tylko pozór, a pod tą powierzchnią tem głębiej obłąd nurtuje i chory tem głębiej grzęźnie później w swoim obłądnie. Takich sposobów barbarzyńskich, jak zlewanie wodą zimną, chłosta, prąd elektryczny i t. p., żaden sumienny lekarz dziś zalecić nie może... chyba jaki Kraspel...

— Kraspel... — powtórzył, jakby dla zapamiętania tego nazwiska, Ignacy. Kraspel, był to lekarz najgorszej reputacyi, zamieszkały w pobliskiej mieścinie, z którym, z powodu skandalicznego procesu, w jaki był wplątany, koledzy jego wszelkie zerwali stosunki.

Zamyślił się, jakby jeszcze o co pytać zamierzał, poruszył ustami i zamilkł. Po chwili podając rękę lekarzowi, zakończył rozmowę:

— Dziękuję panu — i odszedł.

Nie udał się ku domowi, ale ku stajniom. Przywołał stangreta i kazał bezwzględnie zaprzęgać. Zapalił cygaro, siadł do kabrioletu i czekał. Gdy w kilka minut zaprzężono, kazał się wieźć nie do Mianowa, ale w przeciwną stronę, do miasteczka.

— Kraspel... — szepnął jeszcze sam do siebie, zagłębiony w myślach. — Ha! trudno! bez tej próby się nie obejdzie... Żal mi prawdziwie tego biedactwa!... cha! cha! prawdziwie, że mi się płakać chce... Głupie serce! A ludzie mówią, że ja nie mam serca... Głupcy, za wiele go mam!... No, ale cóż robić? trzeba! Raz jeden, jedyny, to jej przecież bardzo nie zaszkodzi?... Musi odpowiadać, musi odpowiadać w obec księdza... On przecież na indagację jej brać nie zechce, będzie wyrozumiałym dla chorej... byle powtarzała wyrazy... Kraspel poświadczy, że to choroba śmiertelna... Byle przebąknęła parę słów... *In articulo mortis... Testimonium copulationis...* byle to mieć! reszta fraszki... Potem już mi kredytu nie zabraknie. Adwokat z wierzycielami się ułoży. Weksle spłacę najpilniejsze — i za granicę... Już ja tam znajdę lekarzy, co cię przywiodą do zdrowia, biedaczko... i będziesz mnie kochać jeszcze! i jak!...

Pogrążony w tych marzeniach, nawpół senny, dojeżdżał już do lasu. Wtem zwrócił jego uwagę galop konia podążającego za powozem. Oglądnał się — i w jeźdźcu doganiającym poznał Aleksandra. Kazał stanąć. Sięgnął ręką w zanadrze i wy dobył rewolwer, aby być gotowym do odparcia napaści.

Nie długo czekał. Za chwilę, Aleksander na spienionym koniu zrównał się już z powozem. Zdyszany, odetchnął pełną piersią i zawołał z wyprężonym ku niemu ramieniem:

— Uciekasz łotrze! tchórze podły! nizezemiaku!
zbójco!

— Co to znaczy? Czego pan chcesz?

— Zabić cię jak psa!

Ignacy wymierzył przeciw niemu rewolwer:

— I ja mam broń przy sobie, a jak się zbliżysz,
palnę w łeb!

— Jam nie rozbójnik, abym po drogach mordował.
Czas? miejsce?...

— W Olchowcach, w sobotę.

— W sobotę?... Pogrzeb majora.

— A więc od soboty za tydzień.

— Prędzej!

— Nie.

— Od soboty za tydzień. Dobrze.

— Jedź! — zawołał na stangreta Ignacy, potrącając
go w plecy.

Aleksander stał jakiś czas nieruchomie na miejscu, patrząc za oddalającym się kabrioletem. Potem zwrócił konia i wolnym stępem powracał ku Wartyńcom. W myśli stanęła mu żywo scena pojedynku w Olchowcach, której, rok niespełna temu, był świadkiem. Zdawało mu się, jakby widział przed sobą, padającego z zakrwawioną twarzą przeciwnika Ignacego, jakby słyszał jeszcze jego jęk żałosny.

* * *

Długą, prostą, w dwóch miejscach tylko załamana linią, przecina droga stary las dębowy. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a dąbrowa prześlicznie stroiła się w coraz czerwieńsze blaski i coraz głębsze cienie. Ignacy kazał wstrzymać konie i zapaliwszy świeże cygaro, obdarzył drugim stangreta na znak swej łaski i dobrego humoru. — W samej rzeczy, wyzwanie Aleksandra podziałało na niego, jakby ożywcza kąpiel i wprawiło go w wyborny humor. Nie

myślał już o lichwiarzach, terminach i wekslach — myślał o „sprawie honorowej“, w której czuł się zawsze niezrównanym bohaterem i rósł w własnem wyobrażeniu świadomością swej odwagi i rycerskości. Tak mu było, jakby tym strzałem dopiero zdobyć miał naprawdę swoją ukochaną, powaliwszy wprzód kulą rywala. Że wyjdzie z pojedynku zwycięzko, o tem nie wątpił ani na chwilę. Rosła w nim miłość do Klaudyi na myśl o tem spotkaniu, o tej krwawej biesiedzie dla żadnej narkotycznych wrażeń wyobraźni.

W sobotę rozstrzygnie się los. Sobota, to dzień dla niego szczęśliwy; wierzył w to od pierwszych lat dzieciństwa. Wpoila w niego tę wiarę ciocia Marcysia, opiekunka lat jego dziecięcych, która go w ciężkiej chorobie oddała opiece Królowej Niebios i w sukienkę zakonną ubrała. Sobota, to dzień Matki Boskiej. Każde więc ważniejsze przedsięwzięcie, każdą niebezpieczną wyprawę, rozpoczynał przesądnie w ten dzień. Na dzień pojedynku obierał zawsze sobotę. Tyle ich odbył w życiu, a zawsze wyszedł zwycięzko.

Widział już w myśli pamiętny gaj olchowski, a w miejsce przeciwnika, który tam padł przed rokiem, widzi padającego od jego strzału Olesia. Dzika radość zagrała mu w piersi.

Przy drugim załomie drogi zerwał się nagle wichur. Ignacy rozglądał się po lesie, a dawne wspomnienia budziły się w duszy. Ileż on tu razy polował! Jak on te miejsca pamięta! Tu — już blisko — ukaże się na prawo zarosła leszczyną dawna droga leśna i mały stawek w pobliżu, pokryty rząską: tam padł dzik olbrzymi od jego strzału, postrzelony wprzód przez jednego z przyjaciół, który dziś gryzie ziemię... Tu, właśnie przy tym stawku, owego dnia zawiązał się ten między nimi stosunek fatalny, który w kilka lat później, tamtego doprowadził do samobójstwa... A tu, po lewej ręce, ukaże się dąb olbrzymi, najgrubszy w lesie, a kilkadziesiąt kroków dalej pień jeszcze grubszego drzewa. Na tym pniu... j. jako? nie ma go?...

Ah! otóż i on... Na tym pniu stała ta ładna dziewczyna, która taki opór stawiała zacięty jego zalotom. Pochlebstwem ani pieniędzmi zjednać się nie dała, aż dopiero postrachem i siłą. — Żywo stanęły mu w pamięci jej lamenty i płacze i własna jego wściekłość, z którą bił i pastwił się nad nieszczęsną, dopóki mu nie uległa. — Wzdrygnął się.

Czemu to wspomnienie tak dziś mu niemiłe? Czemu się wzdrygnął mimowoli? Sam siebie o to się pyta. Ha, Klaudya stanęła mu na myśli, Klaudya!... ale jej woli on nie ugnie pięścią, ona ma broń przeciw niemu straszną: obłąkanie!... Chyba ów Kraspel poda środek przewyciężenia jej oporu...

Zmrok zapada. Oto już i koniec lasu. Gościniec zakręca się na prawo, snuje się brzegiem dąbrowy, a nieco dalej leśniczówka i tuż prawie przy niej kamienna figura i drogi rozstajne.

Ignacy pobożnie uchylił kapelusza.

Ktoś jedzie — konie jakby znajome. I furman na koźle znajomy. To kałamaszka Seweryna. — Niespokojna o brata, wyprawiła go żona do Wartyniec.

— Stój! — zawołał Ignacy, gdy się oba wózki zrównały.

Obaj furmani zatrzymali konie w biegu.

— Jak się masz Sewerynie?

— Kto to? nie widzę.

— Nie poznajesz? Ignacy.

Milczenie.

— Nie znam! — odezwał się po chwili sucho.

— Mnie nie znasz?... co to znaczy?

— To znaczy — odrzekł Seweryn powolnie a dobitnie — to znaczy, że na imieninach pana Roberta odbyła się familijna narada i jednogłośnie zapadła uchwała, że Ignacy Brwicki umarł!

— Ha? umarł?...— dziwnym jakimś głuchym tonem powtórzył Ignacy. Po chwili podnosząc głos, dodał z widocznym wysileniem: — Nie umarł on jeszcze! a jeśli umarł, to odżyje!

— Nie dla nas! — zakończył Seweryn. — Jedź! — zawołał na furmana.

Kałamazka ruszyła z miejsca.

— Stój! — zawołał Ignacy z nagłą determinacją i wyskakując z swego kabrioletu, przystąpił do powozu Seweryna.

— Słuchaj-no Sewerynie! — rzekł zmienionym, prawie proszącym tonem, w którym łatwo odgadnąć można było ogrom wrażenia, jakie na nim udzielona mu wiadomość wywarła — słuchaj-no, zerwać możecie ze mną, jeśli chcecie... ale winienem teraz wiedzieć wszystko...

— Nie więcej nie mam do powiedzenia...

— Czemu zrywacie?

— Jakto? pan nie wiesz?

— Czy dla tego, że mam u was długi? Ja je spłacę — i to wkrótce...

— Fałszowane weksle?

— Spłacę! Honorowe długi zmusiły mnie do tego rozpaczego kroku... Liczyłem na solidarność rodziny... ale nie obawiajcie się, nikomu z was nie grozi, bo ja spłacę!... A wy, jeśli dbacie o honor nazwiska, to nie kompromitujcie je niewczesnym rozgłosem tej sprawy... Spłacę wszystko w terminie... honorem ręczę!

— Czem pan spłacisz? fałszując dalej podpisy? Rodzina zdecydowała, aby je zaprzeczyć.

— Zapłacę posagiem żony.

— Jeśli major wyda.

— Major umarł.

— Umarł?!

— Umarł dzisiaj. To też, jeśli dbacie o honor nazwi-

ska, nie kompromitujecie mnie i siebie i nie stawiajcie mi przeszkód w objęciu majątku mej żony. ...

— Przeszkód? jakich?

— Zaprzeczeniem podpisów.

— Rodzina żąda, abyś pan wyjechał do Ameryki. To jedno byłoby dla niej gwarancją. ...

— Wyjadę gdzie chcecie — odrzekł Ignacy złamanym głosem — wyjadę, jak tylko zdrowie mojej żony pozwoli... ale tymczasem zaklinam pana, jako człowieka honoru, jako członka rodziny, abyście żadnych przeciwko mnie kroków nie przedsiębrali... Daj mi pan słowo, że mogę być w tej mierze spokojnym. ... Wdzięcznym panu będę całe życie!... Nie wtrącajcie mnie w przepaść... nie popychajcie do ostateczności!... Trzy tygodnie czasu!

— Doniosę o żądaniu tem, panu Robertowi. Więcej nie nie mogę uczynić.

— Dziękuję... dziękuję...

Konie Seweryna ruszyły z miejsca.

Ignacy wrócił do swego kabrioletu, zataczając się, jak pijany. Z trudem postawił nogę na stopniu i stał tak, z twarzą zwróconą za oddalającym się powozem Seweryna. Błady był, drżał na całym ciele. Po gwałtownem wrażeniu jakiego doznał, nastąpiła reakcyja: siły go opuściły, émiło się w oczach, świat się wkoło obracał, mąciły się myśli. Niejasna tylko jakaś została mu świadomość, że coś się stało straszego, że jakiś cios go dotknął niespodziewany, że mu jest źle, tak źle! jak nigdy jeszcze w życiu.

Długo tak stał, z jedną nogą na stopniu — podobny zbrodniarzowi wstępującemu na rusztowanie. Źrenice rozwarłe szeroko, przetworzone usta, twarz pełna przerażenia. Pochylił się naprzód, z głową zwróconą zawsze w stronę odjeżdżającego powozu, ręce oparł na poduszkach kabrioletu, ramiona nie drżały mu ale drgały gwałtownemi targanymi ruchami.

Wreszcie wstrząsł się cały i ostatniem wysileniem wy-
dostał się na siedzenie.

— Jedź! jedź! jedź! jedź!... — wołał bez końca raz
po raz, jakby tym krzykiem mógł przynaglić, nie stangre-
ta, ale siebie samego do uciezki, gdzieś w świat daleki,
od własnych myśli, od własnego upokorzenia, od tej nie-
szczęsnej piędzi ziemi, która upokorzenia tego była świadkiem.

Dziwno mu było, jak nigdy jeszcze w życiu. Obie
dłonie przycisnął do czoła, zdawało mu się, że chyba osza-
leje, lub padnie nieżywy. Tysiące myśli błyskało mu w głó-
wie i gasło w tej samej chwili. Całemi rojami obsiadały mu
mózg i odlatywały, jak pszczoły od ula zatrutego czadem.
Nawiązywały się myśli, jak nici na jaskrawej kanwie i nie
wysnute rwały się co prędzej. by innym miejsca ustąpić.
Coraz nowe i nowe, niedokończone, przerwane nowych na-
pływem. Oddechu mu brakło, chustka cisnęła mu szyję,
dusiła, jak stryczek. ... Tak jechał, nie widząc świata przed
sobą.

Wiatr mu chłodził głowę, rzeźwiący deszczyk zaczął
kropić; ruch powozu jednostajny uspokoił mu nerwy, zwol-
na wracała przytomność. Zaczął sobie zdawać sprawę z tego,
co się stało.

Dziką wściekłością zawrzało mu łono przeciw całej jego
rodzinie. Zacisnął obie pięści i wyciągnął przed siebie i
w górę, jakby chciał przekląć lub gromem jednym zwalić
wszystko i zdruzgotać.

Ale gniew ten nie trwał długo. Przyszła chwila opa-
miętania.

— Mogłem wiedzieć, że się na tem skończy!...

I cała potęga wściekłości zwróciła się przeciw niemu
samemu. Jeżeli kogo z całej duszy nienawidził, to nie wię-
cej, jak siebie samego w tej chwili. Czuł to, czuł dobrze,
że sam jeden tylko winien jest swemu nieszczęściu.

Wszystko teraz dłań przepada, rozsypuje się w gruzy
cała budowa pragnień i zamiarów i planów. Cała przeszłość

zagrożona: szczęście, państwo, honor! A z jego, z jego własnej winy! Wstyd, hańba, nędza, upokorzenie i urągawisko ludzi, szyderstwo nieprzyjaciół i prześladowanie! — Proces i niesława i więzienie, albo wychodźstwo i nędza, albo samobójcza śmierć!

Mieć taki jak on majątek! stanowisko społeczne! nazwisko tak świetne! koligacje! stosunki!... i wszystko stracić... z własnej winy!

Mieć takie zdolności, taką przewagę umysłową nad ludźmi, taką dumę i takie uczucie honoru! i taką odwagę! i zaprzepaścić tę swoją wyższość... i dojść do tego, do czego on doszedł obecnie!... Z własnej winy!...

Gdybyż uciec od tej rozpacz, oszaleć, pod ziemię się schować!

— Jedź!... jedź!... — wołał na stangreta. Ale ręce bieguny nie mogły go unieść z tego piekła, które w własnej jego piersi wrzało.

— Ha! gdyby można wstecz cofnąć lata! inaczejbym ja żył teraz! przysięgam!

Nie nękały go wyrzuty sumienia za podeptane szczęście innych ludzi, za popełnione na innych zbrodnie: jego nękało sumienie egoistyczne za zmarnowanie własnego szczęścia, za zbrodnię na samym sobie spełnioną.

Egoizm klnie zawsze własnej przeszłości, klnie temu, co użył, jakby kradzieży popełnionej na chwili terażniejszej. Wyczerpał siły rozpustą? bogactwa zmarnował zbyt kownem życiem? dobrą zaprzepaścił sławę? cześć i miłość ludzką postradał? klnie więc rozkoszom, które minęły; wydatkom, które się nie wróca; czynom, które terażniejszość na szwank naraziły. Chciałby być znowu silnym, bogatym, szanowanym, kochanym, aby wydane na zaspokojenie wygasłych żądź skarby, na zaspokojenie obecnych wydawać. Złodziejem się czuje w obec siebie samego: sam siebie okradł — z terażniejszości; przeszłość, która uleciała, przeszłość niepowrotna — okradła go z użycia chwili obecnej...

Przeszłość jest dla niego bez wartości. Obecność tylko coś warta. To, czego namiętnie pożądał niegdyś, co zdobył kosztem zdrowia, majątku, czei własnej — to mu się dziś wydaje nedorzecznem zachęciem dziecka, które zmarnowało bogactwa swoje na tandetne zabawki, na bańki mydlane. Dziś, dziś, gdyby tych środków był zaoszczędził roztropnie, dziś umiałby użyć. ... Co za nierozum, że je zmarnował! co za nieszczęście!

Z takim piekłem w duszy, z taką gromadą chłoszczących go szatanów, kłął Ignacy przeszłości własnej, kłął wspomnieniom swoim i sobie samemu. To nie głos sumienia i skruchy. To głos egoizmu. Bezsumiennność cięższą sama przez się jest katuszą od wszelkich żalów i tęsknot człowieka, przygniecionego poczuciem swych zbrodni. Wyrzuty egoizmu cięższe tysiąc razy od wyrzutów sumienia.

— Jeśli z tej matni wyjdę cało, przysięgam! inne rozpocznę życie. — Wyrzucałem krocie dla lichych baletnic, na które spojrzeć nie warto! Dla śmiesznej próżności krociovą stawką chciałem brać górę nad milionerami, którzy w duszy drwili może ze mnie! A jak ja grałem nieostrożnie, i bez opamiętania! I z jakimi nieraz ludźmi! Dziśbym ja grał inaczej i umiał hamować się i wygrywać!... A jakie wydatki robiłem szalone, bez celu! Trwonilem, rozrzuciłem — dla samej przyjemności trwonienia! Co za szaleństwo! co za głupota!... Ha. gdybym wybrnął z tego błota, dziśbym już umiał żyć i używać!... Co za szaleństwo było podpisywać weksle na trzykroć wyższe sumy, niż mi dawano!... A to fałszowanie podpisów! co za nierozsądek! Wszak mogłem przewidzieć, co mnie czeka! tak się musiało skończyć!... Gdyby to raz tylko albo dwa! gdyby przynajmniej ostrożniej!... Czy mnie czart opętał! Pasybym darł z siebie! żywcem-bym się przypiekał przy wolnym ogniu! gwoździami-bym się nabijał!...

Jak zwierz dziki, schwytyany w żelaza, który własnymi kłami kaleczy się i szarpie i krwawi — tak duch jego

własny miotał się przeciw sobie samemu i kaleczył, najboleśniej zadając sobie i rozdzierając rany.

Ze wszystkich bóstw najokrutniejsza zjawiała się przed nim: przeszłość własna, nieprześlądana mścicielka. Niczem w obec jej tortur stosy płonące i krzyżowe męki i łamanie kołem.

* * *

Połykujące po drodze latarnie małego miasteczka i światła w oknach niepiętrowych domków ocuciły go z tych dumań. Przed karczma zatrzymać się kazał, wysiadł i wypiwszy sporą czarę wódki w szynkowej izbie, zapytał karczmarza o mieszkanie doktora Kraspla. Udał się wprost do niego.

Nie trzeba było długiego czasu, aby się nawzajem przejrzeni i porozumieli ci dwaj ludzie. Jeden z nich czuł, że drugi gotów do każdej usługi za pieniądze; drugi czuł, że go potrzebują do usług, za które drogo się płaci. Obaj nawzajem jaknajlepsze powzięli o sobie wyobrażenia i byli zadowoleni, że się znaleźli: w ucziwem społeczeństwie łotry tak Igną do siebie, jak poczciwcy w krainie łotrów. — Czuł Ignacy, że nie łatwo o takiego Kraspla. Czuł Kraspel, że nie łatwo o takiego pana, który pozna się na nim i ozłoci, bo on mu stanie się niezbędnym.

Koniom dano wytchnąć i popaść. Obaj nowi znajomi zjedli razem wieszak, wypili parę szklanek ponczu i nocą pojechali do Mianowa.

* * *

Kraspel, jak wiadomo, najgorszej używał sławy, z powodu haniebnej pomocy, jakiej udzielił w pewnym skandalicznym procesie dla utajenia zbrodni dzieciobójstwa; ciężżyły na nim prócz tego silne posądzenia podobnych sprawek

w kilku innych wypadkach; podejrzywano go także o przyspieszenie śmierci jednego z swoich pacjentów, celem ułatwienia mniemanym spadkobiercom zagarnięcia majątku; obwiniano go o krzywoprzysięstwo w innej sprawie zakwestyonowanego testamentu; wytykano mu liczne przestępstwa i zbrodnie, wyzyskiwanie łatwowiernych chorych, przeciąganie kuracyi dla dłuższego pobierania dyet i t. d., ale pomimo tych wszystkich ciężkich zarzutów, nie zaprzeczano mu wiedzy i zdolności, bystrości w dyagnozie i w trafnem zastosowaniu nadzwyczajnych środków leczniczych w takich razach, gdy większa część jego kolegów nie widziała już możliwości ratunku. Lekarze tylko niektórzy, powodowani zawzięcią, odmawiali mu nietylko uczciwości w życiu, ale i gruntownych wiadomości w sferze swego zawodu.

Kraspel był jednakże niezaprzeczenie zdolnym lekarzem, a przytem bystrym obserwatorem ludzi. Wiedział on lepiej od innych, jak do chorego przemawiać należy, czem go zjednać, jak wpływ sobie nad nim zapewnić. Gdyby się był oddał psychiatrii, możeby znakomite w tej gałęzi medycyny zajął stanowisko.

Przypadek zatem zrządził, iż Ignacy nie myśląc o tem i nie przypuszczając tego, przywiózł najlepszego w całej okolicy lekarza dla Klaudyi, tego, który najbardziej był zdolnym wydać trafny sąd o jej chorobie i kierunku leczenia, jakiby obrać należało.

Zabrał się więc Kraspel pilnie do zbadania chorej. — Nie wiele na to, wprawnemu jego oku, czasu było potrzeba. Symptomaty choroby nie przedstawiały nic niezwykłego, a prognoza dozwalała spodziewać się prawidłowego jej przebiegu z zupełną nadzieją wyzdrowienia przy racjonalnem leczeniu.

— Mogę pana upewnić — rzekł do Ignacego — że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, chorą do zdrowia doprowadzićbym potrafił, jeśliby wyłącznej mojej opiece powierzoną została. Kuracya jednakże potrwałaby co najmniej

kilka miesięcy, wymagałaby zupełnego oddania się chorej i starannego odsunięcia wszystkiego, cokolwiek niekorzystnie na stan jej umysłu wpłynąć może.

Na twarzy Ignacego malowało się niekłamanie zadowolenie. Lekarz mówił dalej:

— Jeśli pan jednak żądasz, aby jakimkolwiek środkiem wywołać chwilowe oprzytomnienie chorej, to muszę z góry oświadczyć, że eksperyment taki na dalszy przebieg choroby najniekorzystniej wpłynąćby musiał — a co więcej, prawdopodobnie się nie powiedzie. Oprzytomnienie takie będzie w najlepszym razie tylko pozornem.

Spochmurniały rysy Ignacego. Zapytał ponuro:

— A takie pozorne oprzytomnienie, czy potrafisz pan na teraz wywołać? Jest to dla mnie niezbędnie potrzebne.

— Niezbędnie potrzebne?... Jeżeli niezbędnie potrzebne, to mogę spróbować — ale ja za skutek nie ręczę, a środków musiałbym użyć bardzo przykrych...

Długie milczenie.

— Bardzo przykrych — powtórzył raz jeszcze lekarz.

Fale zmarszczeków przepływały po twarzy Ignacego. — Z zwieszoną głową przeszedł się po pokoju, jakby pod wpływem jakiejś wewnętrznej walki.

Zatrzymał się nagle i rzucając się w fotel rzekł szorstko:

— Ha, to użyj pan, jeśli się bez tego nie obejdzie.

— Dobrze. Spróbujemy... Abyś pan jednak nie doznał zawodu, muszę zapytać, o jaki stopień takiego pozornego oprzytomnienia panu idzie? czego pan od chorej w tym stanie będziesz wymagać? Jak będę wiedział, powiem z góry, czy to możliwe. — Czy ma akt jaki podpisać? czy dać odpowiedź na zapytanie? i jakie? czy tajemnicę jaką wyznaczyć?... Ja muszę i tak być przytem i zakierować całą tą próbą, więc niech pan nie tai swych zamiarów. Ja muszę wiedzieć wszystko, aby się eksperyment udał — a daję panu słowo lekarza, że tajemnicę będę umiał szanować... wszak to leży w moim interesie.

Ignacy czuł się zmuszonym wyjawić mu swoje plany. Szło mu o to, aby lekarz skonstratował, że choroba jest śmiertelną i aby na tej podstawie żądać od sprowadzonego księdza dania ślubu *in articulo mortis* bez zapowiedzi — a chorą zniewolić do objawienia swego zezwolenia.

— To ciężko będzie — rzekł Kraspel. — Ale próbować możemy. Postaram się rozbudzić ją z tego stanu depresyi, a wtedy pan prośbami i pieśzcotami zniewolisz ją łatwiej do dania odpowiedzi, niż gwałtownemi środkami. — Musieliście państwo nieraz mówić o projektach ślubu, trzeba jej podsunąć ten sam szereg myśli; jeśli można, jej własne wyrazy.

Ignacy z najwyższą niecierpliwością ogryzał paznokcie i milczał, mierząc lekarza takimi oczyma, jakby go posądzał o niewczesne drwiny. Zerwał się wreszcie z siedzenia i przemógł się do wyjawienia całej prawdy.

— Ależ panie, to na nic! Ja ją gwałtem porwałem. Ona mnie nienawidzi i ślubu tego nie chce.

— A tak-że mi pan gada! To zmienia rzeczy... hm, hm!

I zamilkł.

Ignacy stał przed nim i patrzył mu w oczy. Kraspel ani drgnął powieką. Bębnił najspokojniej palcami po stole, powtarzając od czasu do czasu swoje: „hm — hm — hm“.

— I cóż? — zapytał niecierpliwie Ignacy.

Kraspel milczał.

— Cóż więc? będziesz mi pan pomocnym?

— Hm, hm, hm! to nie mała rzecz, łaskawy panie! Przynależem panu na pierwsze zapytanie, że będę, ale mi pan wtedy nie powiedziałeś wszystkiego.

— Powiedziałam panu, że mi idzie o wywołanie chwilowego oprzytomnienia jakim bądź środkiem...

— Tak! A ja panu powiedziałem, że za to mógłbym być pociągnięty do odpowiedzialności. No, zgodziliśmy się. Ale teraz pan żadasz, żebym stwierdził, że to jest stan

choroby, zagrażający życiu — a to nie prawda. To znowu ciężka odpowiedzialność.... Ale, gdybyśmy i w tym punkcie się porozumieli — to jeszcze nie wszystko. Teraz przychodzi kwestya sumienia: sam pan powiedziałeś, że ten ślub ma się odbyć wbrew jej woli... To rzecz sumienia panie, rzecz sumienia! nie mogę!

— Sumienie, to moja sprawa! — gniewnie zawołał Ignacy. O to pan nie pytaj, to ja biorę na siebie. Powiedz mi pan tylko, czy chcesz mi być pomocnym, czy nie?

— Chciałbym... chciałbym... ale boję się odpowiedzialności. Ja już miałem z powodu podobnych wypadków wiele nieprzyjemności i wiem, czem to grozi i co to kosztuje...

— Czemuż mi pan wczoraj nie stawiałeś takich trudności?

— Ah, wczoraj! ja nie wiedziałem wszystkiego! Nigdybym się nie był zgodził za taką cenę...

— A więc dam panu dwa razy tyle! Zgoda?

— Hm, hm, hm... ja panu nie mogę odmówić, bo widzę, że pan jesteś w trudnem położeniu. Ja to rozumiem! porwałeś pan ją gwałtem, a ona ślubu z panem nie chce, potrzeba panu metryki ślubnej, a ona zwaryowała i ani *be*, ani *me*. To fatalne położenie. A jakby ją panu odebrali, no, to wszystko przepadło... i jeszczeby się pana czepiali za to porwanie. ...

— Jakże więc pan radzisz?

— A no! ja wydam świadectwo, że jest śmiertelnie chora, a księdza trzeba zjednać, aby przyjechał i niby to ślub dał, świadków przy tym ślubie także trzeba zjednać... *hocus-pocus* i będzie metryka, a jak metryka w pańskim ręku będzie, no, to i wszystko będzie.

— A ona, czy zechce odpowiadać księdzu?

— Na co to? po co ją męczyć? skutek byłby zawsze wątpliwy. Kto wie, coby tam ona odpowiadała? Musiałby ksiądz być bardzo ograniczony, aby się nie poznał na tem, co się święci... Ot, jabym radził: księdzu zapłacić i kwita.

— To się nie da zrobić. Tu w okolicy nie ma odpowiedniego księdza, któryby miał, rozum i nie skrupulizował.

— Ej, możeby się znalazł?

— Nie ma. Dowiadywałem się już. Nie ma ani jednego.

— Hm, hm, hm, to nieprawdopodobne... Gdyby dobrze zapłacić...

— I ja tak myślę, ale nie mogę znaleźć żadnego do tej chwili... Z dalszych stron sprowadzić trudno, nie miałyby prawa dawać tu ślubu. Z okolicznych żaden nie zechce, a mnie zależy na czasie.

— Hm, hm, to bieda!...

I pograżyli się obaj sprzymierzeńcy w zadumie.

— Wiesz pan co — odezwał się lekarz po chwili — możeby się obeszło całkiem bez metryki ślubu? Możeby wystarczył akt darowizny, albo testament? Do podpisu łatwiejby można chorą zmusić — a przynajmniej wyuczyć jak papugę: „to jest moja ostatnia wola“. A o świadków, którzyby testament stwierdzili przysięgą, nie powinno przecie być tak trudno....

— Nie łatwo. Mało takich co mają rozum.

— To prawda!

— A zresztą... cóżby się stało, gdyby wróciła później do zmysłów i zaprzeczyła podpisu i darowizny?

— Możliwy się postarać, aby nie zaprzeczyła....

— Zaprzeczyłaby, bądź pan pewny!

— A gdyby nie wyzdrowiała? Powiedzielibyśmy, że zwaryowała później, albo, że w czasie podpisywania aktu, lub testowania było *intervallum lucidum*.

— Ależ pan sam utrzymywał, że wyzdrowieje?

— Przy racjonalnem leczeniu.

— Odebranoby mi ją, gdybyśmy nie byli zaślubieni i skoroby wróciła do zmysłów, zaprzeczyłaby podpisom niewątpliwie.

— Będąc śmiertelnie chorą, mogłaby nie wyzdrowieć wcale.

— Jakto?

— Hm! śmiertelnie chorzy... umierają.

— Co pan przez to rozumiesz?!

I skoczył Ignacy z krzesła, jakby go kto gorącą wodą oparzył.

Kraspel spokojnie bębnił w stół palcami, ani mrugnął powieką, ani jeden muszkuł nie drgnął mu w twarzy. Milczenie jego było jednak wymownem dla Ignacego.

— Ja kocham moją żonę! rozumiesz pan?... Ja chcę, aby żyła... ja chcę, aby była zdrowa!

— Tak? — wybąknął, jakby zawstydzony Kraspel. — Ah, ja nie wiedziałem... Hm, hm, hm... Przepraszam!

Długie nastąpiło milczenie. Ignacy wielkimi krokami przechadzał się po pokoju, czasem twarz mu rumieniła się i czoło, od napływu krwi, z wstydu, czy z wściekłości. — Niekiedy rzucał na lekarza spojrzenie zranionego tygrysa.

Kraspel milczał. Na pergaminowej jego cerze żadne nie malowały się wrażenia. Martwemi oczyma spoglądał przed siebie. Założył nogę na nogę i założoną rozkołysał powolnym wahadłowym ruchem. Czasem uśmiech jakiś ironiczny przemknął mu przez usta.

— Panie Brwicki, ja pana dobrze nie rozumiem. — Mnie się zdaje, że pan za wiele rzeczy chcesz na raz, które się z sobą pogodzić nie dadzą. Ja *elisir d'amore* sporządzić nie potrafię; jeśli ona pana nie chce, to ja na to nie poradzę, choćbym ją wyleczył... A znowu, jeśli panu idzie o metrykę i majątkowy interes, hm, to trzeba interes zrobić i zatuszować... Powiedz mi pan przedewszystkiem, czy panu o nią idzie, czy o interes...

— Ja chcę, aby była zdrowa... a o napój miłośny pan się nie troszcz: już ja go sam sporządzę! Jak mi ją pan do zdrowia przyprowadzisz, zapłacę panu, co pan sam zechcesz. Ale teraz, chcę przedewszystkiem, abys ją pan

oprzytomnił i zniewolił do ślubu, bo mi metryka gwałtownie potrzebna... A zresztą, wiesz pan, że dopóki nie jest moją żoną, to mi ją mogą odebrać.

— Hm, hm, hm! hm, hm! — powtarzał Kraspel raz po raz, kiwając głową na lewo i na prawo.

Tarł ręką czoło i dumał.

Wreszcie ożywiły się jego rysy jakąś myślą; powstał i rzekł:

— No, słuchajże pan! jeszcze mam jedną radę.—Na to wszystko potrzeba jednak czasu, to się odrazu nie da zrobić. Trzeba czasu na wystaranie się o metrykę, trzeba czasu na wyszukanie dobrego księdza, trzeba czasu najwięcej na kurację. Takie eksperymenta, aby ją chwilowo oprzytomnić, najprawdopodobniej się nie powiodą i nie doprowadzą do niczego. Ona nie będzie gadać, co my zechcemy... a taki eksperyment może całkiem zepsuć kurację... Ale ja mam inną myśl...

Z natężoną uwagą słuchał go Ignacy.

— Na ten rodzaj obłąkania, jakiemu uległa pacjentka, najlepiej zwykle wpływa zmiana miejsca pobytu, podróż, świeże powietrze, a przytem usunięcie wszystkiego, co ją może drażnić, irytować, niepokoić... Jabym więc radził wyjazd za granicę.

Ignacy zrobił gest niezadowolenia. Lekarz mówił dalej:

— W drodze, pod wpływem świeżych wrażeń, może ona przyjść trochę do siebie już po kilku dniach nawet. Jeśliby to nastąpiło, to uczy doświadczenie, że bywa zwykle w przebiegu tej choroby faza polepszenia, w której pacjent zaczyna sobie zdawać sprawę ze swego stanu, ale jeszcze nie jasno i nie dowierza sam sobie, nie jest pewnym swego rozsądku w żadnej myśli i w żadnym kroku. Otóż z tego powodu pacjent w tej fazie rekonwalescencji zwykle bywa bardzo uległym i posłusznym dla osób otaczających, które umiały zdobyć sobie jego zaufanie i mają pewną nad nim przewagę moralną. Słuchajże pan tedy: jeśli to przewidy-

wanie nie omyli, udałoby się w takim stanie nakłonić ją do wszystkiego, byle się roztropnie zabrać do rzeczy.

Ponura twarz Ignacego zaczęła się rozpozgać.

— Co pan myślisz? — zakonkludował lekarz — ja sądzę, że to jedyny sposób, aby wybrnąć z tych trudności... A jeszcze trzeba zważyć, że za granicą daleko łatwiej da się wszystko urządzić i łatwiej znajdziemy księdza, jakiego nam potrzeba. Gdyby się nawet rzeczy przewlokły, to przynajmniej nie grozi tam panu niebezpieczeństwo, aby ją familia odebrała, bo nie będą wiedzieć gdzie przebywa. Doczekalibyśmy się sposobnej chwili do ślubu, a wydostawszy metrykę, zostawiłbyś pan żonę w jakim zakładzie, *maison de santé* lub klimatycznej stacyi, a sam wróciłbyś do kraju dla uregulowania interesów... A ja zaręczam, że pacjentka najdalej do roku byłaby zdrowa.

Ignacemu rozpromieniła się twarz nadzieją. Tak mu było, jakby z rozpacznej walki o byt i szczęście wyszedł zwycięzko i zatknął sztandar na grodzie zdobyтым.

* * *

Podróż za granicę z chorą żoną, z lekarzem i służbą, znacznych wymaga fundusów. A cóż dopiero wygody, jakie choroba żony czyni niezbędnymi. A umieszczenie Klaudyi w odpowiednim zakładzie? A metryka ślubna, którą drogo zapewne opłacić będzie potrzeba?

Zkąd te fundusze wydobyć? Zkąd w tak krótkim czasie?

Nad tem pytaniem łamał sobie Ignacy głowę. przez cały wieczór po rozmowie z lekarzem.

Plan Kraspla zupełnie trafił do jego przekonania. Czuł on, że to jedyna droga wyjścia. Ale zkąd wydobyć potrze-

hne fundusze? Gdyby można sprzedać duszę czartu, Ignacy sprzedałby ją z ochotą.

Majątek odłużony powyżej wartości. Kredyt dawno już stracony. Termina wekslowe zapadają w kilku tygodniach. Poręczenia nowego nikt już dać nie zechce. Co tu robić?

Jedyny, rozpaczliwy środek: sfałszować poręczenie. — Tak, to jedyny środek jaki pozostał! Wstrętny, ale jedyny.

Wstrętnym był mu ten środek zawsze, bo czuł, że to środek niehonorowy. A jednak właśnie uczucie honoru w jego mniemaniu wskazywało mu ten środek, jako nieuchronną konieczność. Dług przegrany w karty, zobowiązanie wobec baletnicy, wszak to długi honorowe, z których bądźco-bądź w terminie uiszczyć się wypada najpункtualniej, bo nie są na skrypt zaciągnięte, ale na słowo. Łatwiej to ze skryptem lub pożyczką; można uchylać się i ociągać, przewlekać i kręcić jak się podoba — bo to dług zwykły a nie „honorowy“.

Sfałszowane wykupić weksle, to obowiązek honoru. Cóż robić, gdy tylko na cudzy podpis da się pożyczka zaciągnąć, a podpisu nikt dać nie chce? Honor ratować trzeba jakim-bądź środkiem! Fałszywy weksel wymienić na inny, choćby także fałszywy.

Jeśli się dług zaciągnie na fałszywy podpis i w terminie wykupi — to cóż w tem niehonorowego? Tym środkiem ratował się dotąd, ratował honor. A więc i teraz ratować się nim będzie. Po odebraniu majątku Klaudyi, wszystko wypłaci. Będzie czysty jak kryształ i bez skazy na honorze.

Jemu honor zawsze był droższy, niż życie. Wołałby sto razy strzelać się w pojedynku i w łeb sobie wypalić samemu, niż ponieść szwank na honorze.

Za każdy grzech największy, któryby obciążył sumienie, uzyskać można absolucyę, ale na honorze najmniejszej nawet plamy absolucya nie zmyje; tu władza kościoła nie sięga. Honoru trzeba bronić samemu, bronić jakim-bądź

środkiem — choćby fałszywemi weksłami, byle je potem wykupić. Wystarczy na to majątek Klaudyi — ale go trzeba zdobyć. Jakimbądź środkiem!

— Zdobędę!

Krewni, których sfalszowane weksle puściłem w obieg, muszą już o tem wiedzieć — a jednak nie zaskarżyli dotąd, dbając o honor nazwiska... Ale teraz wyparli się mnie, znać mnie już nie chcą, grożą zaparciem się podpisu, żądają, abym wyniósł się za morze. Gdyby teraz nowy weksel na imię którego z nich sfalszować, to zaskarżonoby może bezwzględnie. Niebezpiecznie.

Ho! nie mają oni tego poczucia honoru, jak ja!

I cóż, żem podrabiał ich podpisy? Wszystko spłacę!

Wydatki moje! Prawda, były szalone, nieroztropne! ale były odpowiednie godności nazwiska. Żyłem, jak winien być Brwicki, a nie pierwszy lepszy szlachetka.

Cóżby o Brwickich wiedziano, gdyby nie ja! Ja im zaszczyt przynoszę, a nie zakałę! Nauczą się mnie cenić, gdy majątek Klaudyi będzie w moim ręku...

Wyprostował się Ignacy i z dumą spojrział dokoła, jakby cała rodzina zgromadzoną tam była.

Ale teraz potrzeba funduszu na drogę... Zkąd wziąć? Czyj weksel puścić w obieg?

Na obce nazwisko — byłoby niebezpiecznie.

Dotąd fałszował podpisy najzamożniejszych krewnych, licząc na to, że nie zechcą wszczynać skandalu. Dziś, już to niemożliwe.

Pan Robert był w ubiegłym roku śmiertelnie chory. Można było liczyć, że umrze, nim termina płatnicze nadejdą. Na bezdzielnego starca można było z lekkim sercem zwalić ciężar własnych długów. Dziś, już się miarę przebrało. Zaskarżyłby niewątpliwie. A lichwiarze nieprzyjęliby już weksłu z podpisem pana Roberta, nie przekonawszy się, czy podpis prawdziwy. Fatalnie!

Między krewnymi matki swej, ma Ignacy także kilku starców dogorywających. Gdyby można wiedzieć, że ten, lub ów umrze lub zwaryuje jutro lub pojutrze — toby uszło podpisać, nieboszczyk-by się nie wyparł. Na nieszczęście, nie można wiedzieć, jak długo który z nich będzie jeszcze zawadzał na świecie. Podpisywać ich niebezpiecznie — to nie Brwicy...

Ale? otóż myśl!... A Oleś?... Ten zginie w pojedynku... to niepodlega wątpliwości. Nie wyprze się podpisu po śmierci. Udało się wobec Klaudyi podrobić jego listy, to się uda tem łatwiej wobec wekslarzy!

— Chwałaż Bogu, że mi to na myśl przyszło! Olesia pismo wybornie mi się udaje naśladować! Dalej do dzieła!

— Błogosławiona ciocia Marcysia, która mnie używała za młodu do pisania anonimowych listów i wywodziła w naśladowaniu cudzych charakterów. Gdyby nie ona, nie dałbym sobie rady! A coby się było ze mną stało w owej kabale z Floryankiem!... No, dalej do dzieła!

Zasiadł Ignacy do biurka i wyciągnąwszy z szuflady kilka listów Aleksandra, zabrał się do fałszowania weksli i listu, który okazany w razie potrzeby, miał podpisać na tych wekslach większą nadać wiarogodność.

Ułożenie osnovy listu było areydzieniem w swoim rodzaju. Ignacy odczytał go kilkakrotnie z widocznym zadowoleniem, poczem przystąpił do przepisania konceptu charakterem pisma Aleksandra.

Późno już było w nocy, kiedy nucąc operetkową jakąś szansonetkę spać się położył.

Usnął z rajsłym spokojem niewinnego dziecka.

* * *

Smutnie odzywa się dzwonek w wieżycze wartyńcieckiej kaplicy, czarna chorągiew powiewa z starej baszty, dziedziniec dworu zapełniony tłumem, śpiewają księża, wyrusza kondukt z ciałem śp. majora.

Dzień pogodny, po deszczu, który padał nad ranem; chmury jednak, gnane wiatrem wschodnim, od czasu do czasu przemykają po niebie, zasłaniając słońce.

Zjazd sąsiadów niezbyt liczny, większa część uczestników żałobnego obrzędu przybyła tylko z ciekawości. Istnieje wszędzie na świecie, u nas liczniejsza niż gdziekolwiek, osobna kategoria ludzi: „amatorowie pogrzebów“, którzy poczytywać to sobie zdają zarówno za obowiązek, jak za przyjemność, aby nie pominąć żadnej sposobności uczestniczenia w okazalszym obrzędzie tego rodzaju. Nie idzie im wcale o to, aby ucześć zasłużonego obywatela lub oddać ostatnią usługę znajomemu: oni przybywają na pogrzeb dla widowiska i spodziewanej emocyi. Pociąga ich tam, to samo w gruncie rzeczy upodobanie, które pociąga tłumy na plac rusztowania, dla przypatrzenia się wykonaniu wyroku śmierci na trucieliu lub zbójcy. Żądza wrażeń.

Takich tedy gości pogrzebowych było najwięcej, przyjaciół bowiem i znajomych nie wielu liczył nieboszczyk — z nikim prawie nie żyjąc w okolicy. Nie wiele on miał dla okolicznej szlachty szacunku i nie znajdował przyjemności w jej towarzystwie. Sąsiedzi, jak wiadomo, przypisywali to odosobnienie jego dumie, dziwactwu i mniemanemu skąpstwu. Nie lubiono go. Nie brakło takich, którzy szczerze się ucieszyli skandalicznym porwaniem mu córki, a na pogrzeb przybyli głównie w nadziei zasięgnięcia drastycznych jakich szczegółów, któremiby potem w kole znajomych ubawić się można. Idąc za trumną, udzielano już sobie nawzajem różnych spostrzeżeń i podawano sobie ciekawe wiadomości o życiu zmarłego, o ostatnich w jego domu wypadkach, o stanie pozostawionego przezeń majątku.

Szczęśliwy! szczęśliwy po stokroć, że usnąwszy snem nieprzespanym, nie słyszy tego wszystkiego, nie widzi, nie czuje.

Nie takiej on zaiste za młodu śmierci się spodziewał, nie takiego, gdyby doczekał starości, pogrzebu!

Nie na taki pogrzeb zasłużył u ziomków!

Ciągnął zwolna kondukt ze dworu ku kaplicy ementalnej, a z wyjątkiem kilku starców, ci, którzy ostatnie w tym orszaku zajęli miejsce, ci jedni może tylko uczeili należycie zasługi ś. p. majora. Lud wiejski nie miał wprawdzie dla niego szczególnej sympatii, z powodu jego marsowej postaci i szorstkiego obejścia, wiedział jednak, że nikt do zmarłego nie udał się nigdy daremnie z uzasadnioną prośbą o wsparcie i pomoc. Okrzyczany przez szlachtę skąpiec, umiał niekiedy być hojnym i w niezwykłej wtedy był nim mierze. Surowo sądził ludzi, wiele od nich wymagał, ale sprawiedliwym był, godność ludzką ucziwego człowieka umiał uszanować, uczeić nawet, a każdą zasługę nagradzał sownie.

Nieoceniony według wartości w swej okolicy, liezył on w kraju niemało jeszcze dawnych przyjaciół i towarzyszy broni i nie mało gorących czcicieli. Na każdym polu obywatelskiego życia, gdziekolwiek żywiej tętno bić zaczęło, gdziekolwiek jakaś myśl zdrowa się budziła, dojrzewało znaczne przedsięwzięcie, w czyn wchodziły pożyteczne zamiary: wszędzie tam ważyło niepospolicie nazwisko majora, jego rada i doświadczenie i jego ofiarność.

Bez ręki jeden a z szeroką na czole blizną, drugi o kuli, z krzyżykiem na piersiach, trzeci Jędrzej stary—trójka wąsatych wiarusów, a czwarty, przybyły z dalszych stron przyjaciel młodości: oto byli niezawodnie ci czterej, których widokiem ucieszyłyby się nieboszczyk, gdyby raz jeszcze mógł oczy otworzyć.

Czuli też wszyscy, że towarzyszom broni nieboszczyka a nie komu innemu, należy się pierwsze za trumną miejsce.

ł oni to czuli i szli na czele, krok za krokiem, z pewną sztywnością dawnych wojskowych w postawie i ruchu, tak, jakby to szli w szeregu przy bębnow odgłosie.

— Pamiętasz go, przy owej przeprawie nad rzeką? — szepnął wiarus bez ręki.

Przytwardził skinieniem głowy wiarus o kuli i łąy mu wytrysły z oczu.

— A w brzezince? — zaszeplecił po chwili.

Stary Jędrzej zaszlochał głośno na to ostatnie wspomnienie. Głowy jednak nie pochylił, ręki do oczu nie podniósł. Maszerował wyprostowany jak w szeregu, a łkał całemi piersiami.

Za panem Robertem szedł Seweryn i Oleś — obaj smutni, milczący. Na Olesia twarzy szczególnie troska w każdym rysie wyrzyła ślady swych szponów. Obaj jednak nie myśleli zapewne o nieboszczyku: jeden był myślami przy chorej niebezpiecznie żonie, drugi przy Klaudyi.

Wicher wiał silny i gasił świece w rękach orszaku.

Nagle, na skrócie drogi, ujrzano nadjeżdżający pospiesznie kabriolet, który na widok konduktu zatrzymał się, ustępując na bok. — Z kabrioletu, w czarnem ubraniu, obszytem znakami żałoby, wyskoczył Ignacy.

Spóźnił się on na pogrzeb, a jak z zachowania się jego dostrzedz było można, zamierzył przy tym obrzędzie pierwsze zająć miejsce, jako zięć zmarłego i dóbr jego dziedzie. Zbliżył się z odkrytą głową do trumny, spostrzegłszy jednakże na czele idących weteranów i pana Roberta, roztropnie cofnął się w dalsze szeregi.

Po chwili, obaczywszy Seweryna i Olesia, czuł, że chcąc jakąkolwiek odegrać rolę, przynajmniej w jednym z nimi szeregu iść powinien. Wysunął się więc naprzód i szedł obok Olesia. Łatwo zrozumieć, jakie uczucie nienawiści i zgrozy przejmowało Olesia, gdy ujrzał niespodzianie swego wroga, idącego tuż obok siebie i to za trumną za-

enego męża, którego śmierci stał się przyczyną. którego córecie najcięższą wyrządził krzywdę.

— Pomszczę ją! i siebie! i zmarłego! — przysięgał w duszy.

A Ignacy, ukosem spozierając na niego, cieszył się w duchu, że za dni kilka, tak jak dziś majora, poniosą Olesia do grobu.

Tak szli obok siebie. Od dworu na cmentarz przeszło ćwierć mili.

Przez wieś, aż do wrot cmentarza, niosła trumnę naprzemian służba dworska z chłopstwem. Od furty cmentarnej pochwyciła ją na ramiona obywatelska młodzież. Pomiedzy krzyże i groby, krzaki róż polnych i jaśminu, wiodła drożyna do małej cmentarnej kapliczki, otoczonej ciemną zielenią kilku świerków, zasadzonych przez majora. O kilkanaście od kaplicy kroków, jeden jedyny murowany pomnik na skraju cmentarza, a przy nim znowu kilka świerków i brzóz: to grób majorowej. Tu i on spocznie za chwilę obok zwłoków ukochanej żony.

Tuż obok, za obmurowaniem cmentarza, obniżający się w głębię jaru pagórek, najwyższy może punkt okolicy, uroczy o tej porze roku przedstawiał widok. Idąc za trumną, która teraz co kilka nieledwie kroków z ramion na ramiona przechodziła, Aleksander mimowoli spojrział w tę stronę. — Żywo stanął mu w pamięci ów pogodny dzień późnej jesieni, owa rozmowa z Klaudyą na grobie jej matki w rocznicę śmierci. Dźwięk jej słów dotąd brzmiał mu w duszy. Zatrzymał się, przystanął pod krzyżem i słuchał...

Ignacy inaczej skorzystał z tej przerwy w pochodzie; podczas, gdy wnoszono trumnę do kaplicy, ustawiano na katafalku i zapalano świece, on rozglądał się, w orszaku pogrzebowym zebranych gości i witał znajomych. Przypadkiem zasłyszał kilka słów z rozmowy Jędrzeja z jednym ze sług dworskich:

— Wracajże Michałku do domu, żeby wszystko było gotowe, jak panowie wrócą.

— A ileż nakryć ustawić?

— Ile się zmieści, bo kto wie, ilu przyjdzie...

Widocznie przygotowywano stypę.

Ignacy odszukał w tłumie służącą Klaudy i jej pokojówkę, aby się w tej mierze upewnić a oraz zasięgnąć wiadomości o wszystkim, cokolwiek od śmierci majora w domu zaszło. Opowiedziały mu w krótkich słowach, że je pan Robert i pan Aleksander wraz z doktorem Czarką wypytywali o szczegóły zniknięcia Klaudy z dworu wartynieckiego, na co one dały wyjaśnienia, stosownie do otrzymanych od niego poleceń. Dowiedział się więc pan Robert od nich, że w dniach poprzedzających porwanie, widziały kilkakrotnie swoją panię, rozmawiającą żywo i długo na korytarzu z Ignacym, że raz go nawet w jej pokoju zastały, czem się ona zdawała zażenowaną, a nakoniec, że owej nocy niepokój o życie majora, oka im zmrużyć nie dozwalał, byłyby zatem słyszały nie tylko krzyk, ale najsłabsze wołanie Klaudy, gdyby ta pod wpływem przymusu, a nie dobrowolnie wydalila się z domu ojcowskiego.

— Schowałam także szal i kapelusik pani, trochę bieleziny i różne jej ulubione drobiazgi i powiedziałam, że to pani z sobą zabrała.

— Wybornie. Będę za to wdzięcznym. Ale moja żona potrzebuje waszych usług, trzeba zatem, abyście dziś jeszcze zebrały się i pojechały do Mianowa...

Tłum się zaczął skupiać wkoło kapliczki. Widocznie przygotowania do egzekwii były ukończone. Ignacy pospieszył tam coprędzej. Ławki zastał jeszcze nie zajęte. Zasiadł więc pierwszy w ławce, na której mógł być najlepiej widzianym, a wchodzących do kapliczki sąsiadów zapraszał uprzejmym gestem, aby zabrali nie zajęte jeszcze miejsca.

Egzekwie trwały dość długo. Wrzescie, po ich ukończeniu, wyniesiono znowu trumnę z kaplicy, a kondukt ru-

szął ku odmurowanemu już grobowi. Na czele duchowieństwa świeciła rumiana twarz proboszcza z Zarośliniec. Teraz już nie młodzieź, ale starsi obywatele ponieśli trumnę. Ustawiono ją przed grobem, a po odśpiewaniu pieśni, proboszcz odchrząknął kilkakrotnie i zaczął mowę pogrzebową.

Proboszcz nie słyszał z wymowy, a szum wiatru głuszył jego głos.

Niewiele z jego oracyi dosłyszeli słuchacze. Unosząc się w pochwałach nad życiem i cnotami nieboszczyka (który, mówiąc nawiasem, od lat wielu nie był w kościele), główny nacisk położył na jego wiernem przywiązaniu do religii katolickiej. Po szerokim świecie (rzekł), nosiły go losy wojny, w różnych był krajach, z różnymi musiał przedstawiać ludźmi, a jednak tej wiary świętej nie zatracił w sobie. Przebywał i w krajach zamieszkałych przez obrzydłych heretyków, gdzie świątynie Pańskie przemieniono na świątynie Baala, a on widokiem ich bezecnych obrządków, bezbożnemi ich zabobonami i pełną pokus namową nie dał się odwieść od czci prawdziwego Boga. W najstraszniejszych niebezpieczeństwach okrutnych wojen, odmawiał on w duszy modlitwę do Matki Zbawiciela na krzyżu umęczonego i oto spełnił Pan cud, cud nad nim prawdziwy! Tam, gdzie tysiące jego towarzyszków broni padało od gradu kul, on wyszedł, okryty zaszczytnymi ranami wprawdzie, ale wyszedł żywy i powrócił szczęśliwie do rodzinnego majątku swego... albowiem powiedziano jest: kto mnie zaufał, nie zginie... I odtąd, pomiędzy młodszymi braćmi swemi i wśród ludu swego uprawiać począł w pocie czoła dziedzictwo swoje... albowiem powiedziano jest: w pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba, aż się nawrócisz do ziemi, gdyż z niej wzięty, boś proch i w proch się obrócisz... A tak, jak dla wierności jego w wierze świętej, Bóg go uchronił od straszliwej śmierci, która na polu bitwy zdradziecko nań czychała, tak dla wierności w wierze, Bóg najdobrotliwszy szczęścił mu i w domu we wszystkich jego zamysłach. Pa-

trziecie na te bujne łąny zboża, na te stodoły, na te spichlerze pełne, na to bydełko śliczne w jego oborach i ukorzcicie się przed wszechmocą Boską, która tak hojnie nagradza wierne sługi swoje. Nagradza za życia i błogosławi w dzieciach do późnego pokolenia!... Ale największą nagrodą, jakiej świętej pamięci majorowi Pan Bóg udzielił, jest ta śmierć świętobliwa, chrześcijańska, którą nań zesłał, pozwalając, aby w ostatniej godzinie nie o ziemskich myślał marnych sprawach, ale o pojednaniu z Bogiem i ufając w miłosierdzie Jego, przed sprawiedliwym Jego stanął obliczem i t. d. i t. d.

Po mowie proboszcza, zabrał głos jeden z okolicznych obywateli, którego specjalnością było wygłaszanie mówek pogrzebowych. Prócz popisu brzmiących a oklepanych frazesów i doniosłego głosu, innych zalet trudno by dopatrzeć w tych mówkach, które jednak gorących miały wielbicieli, a oratorowi zjednały rozgłośną w okolicy sławę Demostenesa. Pomimo tej sławy jednakże, opowiadali sobie niektórzy amatorowie pogrzebowych obrzędów, że jedną i tę samą mówkę a przynajmniej najwybitniejsze jej ustępy, zdarzyło im się z ust tego znakomitego mowcy, kilkakrotnie już słyszeć przy różnych sposobnościach. Tak i o mówce na pogrzebie majora mówiono, że z wyjątkiem efektownego wstępu, była ona słowo w słowo powtórzeniem mowy, mianej przed czterema laty na pogrzebie jakiegoś kapitana i innej, wygłoszonej dawniej jeszcze na pogrzebie pułkownika. Ten ostatni był podobno uczczony nawet tym „efektownym wstępem“, wznowionym obecnie.

— Cisza!... Jaka cisza!... Słyszę głośno bijące serca w waszych piersiach!... O jakże one uderzają boleśnie!... We wszystkich oczach widzę łzy... Nie pytaj nieznanomy przechodniu, który ściągniony okazałym pogrzebem wstąpiłeś w to miejsce wiecznego odpoczynku, nie pytaj jaką opłakujemy stratę, jaki nas dotknął cios, w czyje progi kościanym palcem zapukała nieubłagana śmierć... Kogóż-

byśmy tak opłakiwać mogli jednogłośnie serdecznym żalem, jak nie najlepszego z sąsiadów, najzacniejszego z grona obywateli, najczciwniejszego z współrodaków! Kogóż, jak nie tego, który nas łączył w braterskie koło przez cały ciąg żanego żywota, a dziś miłością ku sobie i poczuciem ciężkiej straty łączy nas jeszcze po raz ostatni — po śmierci! Cóż my pocniem bez ciebie nieszczęśni... itd. itd. itd. — poczem następuje ustęp o „żelazie skruszonego w nieszczęsnej walce oręża, przekutem na lemiesz rolniczy“, o „niedoścignionym wzorze wtórego Cyncynata“, apostrofa do pradziadów i apostrofa do prawnuków i efektowniejsze jeszcze od wstępu zakończenie; wreszcie złożenie na grobie wieńca obywatelskiego, „najwyższego zaszczytu, jakiego na tej ziemi uez dostąpić można“....

— *Requiescat in pace!* — zaintonował proboszcz. — *Et lux perpetua luceat ei!* — odpowiedziało duchowieństwo. Trumnę spuszczone do grobu, złożono na niej kwiaty i wieńce, posypały się grudki ziemi. — Jeszcze zabrzmiała kojąca smutek, pełna dziwnego uroku pieśń do Matki Boskiej, jedna z najpiękniejszych pieśni kościelnych. Jeszcze wezwanie ze strony proboszcza do modlitwy za duszę zmarłego. Wszyscy bliżej grobu stojący ukłękli. Po chwilowej ciszy ruch się wszczął między otaczającymi grobowiec, zabierano się do odejścia.

Niespodzianie zabrzmiał silny głos Ignacego:

— W imieniu córki nieodżałowanego s. p. majora i w mojem, składam najserdeczniejsze dzięki wielbnemu duchowieństwu i szanownemu sąsiedztwu i wszystkim obecnym pobożnym, za oddanie nieboszczykowi ostatniej chrześciańskiej usługi!

Po tych słowach pospieszył ku furcie cementarza i wychodzących mniejszemi partjami sąsiadów zapraszał kilkakrotnie:

— Raczcie panowie teraz wstąpić do dworu na przekasę. Ja niestety muszę spieszyć do Mianowa, bo mi żona

po tej bolesnej stracie ojca ciężko zaniemogła... Upraszam najmocniej księdza proboszcza, aby był łaskaw gospodarza zastąpić...

Proboszcz tem wezwaniem zadziwiony, zatrzymał się w furcie i usta otworzył. Zanim jednak zdołał przemówić, już Ignacego nie było.

— No, no — pomyślał proboszcz: — bójcie się Boga, każe mi gospodarza zastąpić. Ktoby się spodziewał, że on tu będzie gospodarzył! No, no!... A i owszem! co mi szkodzi? Głodny jestem... bójcie się Boga... a wszyscy pewnie tak samo: należy nam się przekąska... Proszę panów do dworu, proszę, bardzo proszę!

Ignacy tymczasem pospieszył za panem Robertem, który szedł, opierając się na ramieniu Seweryna.

— Przepraszam stryja za natręctwo, ale muszę niezwłocznie odjechać do chorej żony, a przedtem zniewolony jestem prosić o chwilę rozmowy.

— Seweryn powiedział już panu o postanowieniu rady familijnej. Nie mam z panem nic do mówienia.

— Ciężko zawiniłem i postanowienie to jest zasłużoną karą. Ale chcąc krzywdę wyrządzoną krewnym naprawić, co jest dziś w mej możności, proszę stryja o chwilę rozmowy. Idzie tu o byt i mienie kilku naszych krewnych, których naraziłem na najcięższe straty i idzie o honor nazwiska!... Błagam stryja i zaklinam na imię mego ojca!... Zrobię wszystko, co zechcecie, wyjadę, gdzie każecie, zastosuję się we wszystkim do waszej woli, tylko chciejcie mnie jeszcze raz wysłuchać!

— Słucham. Cóż mi pan masz do powiedzenia?

— Ja muszę z stryjem pomówić sam na sam.

— Obecność Seweryna nie przeszkadza. Wiesz pan dobrze, że nie mamy przed nim tajemnic.

Seweryn jednakże wysunął ramię swe z pod ręki starca i nie dając się zatrzymać, przyspieszył kroku.

Starzec szedł czas jakiś o własnej sile, zmęczony jednakże odbytą na cmentarz drogą, przystawał co chwila i czuł się nakoniec zmuszonym, pomimo niechęci, przyjąć ramię Ignacego. Wszyscy powracający ku wsi z cmentarza idąc spieszniej od nich, rychło ich wyprzedzili. Tem też swobodniej mógł teraz Ignacy do wszelkich win się przyznawać, kajać się grzechów swoich i upokarzać bez obawy, aby kto podsłuchał. Oglądano się tylko za nimi i widziano idących razem, ręka pod rękę, co w oczach wszystkich było najdowodniejszym zaprzeczeniem krążących pogłosek, jakoby rodzina Brwickich z Ignacym poróżniła się i wszelkie zerwała stosunki.

— Chcę wnieść do stryja jedyną, ostatnią prośbę! Już nie w moim interesie, ale w interesie rodziny! Przeciwnie okolicznościami, wystawiałem weksle za weksłami, a nie mając już sam kredytu, podpisywałem krewnych. — Zrujnowałem Pawła, Józefa, Wenantego, ciebie stryju, a wszystkich innych srodze pokrzywdziłem. Dajcie mi możność naprawienia złego, uratowania czystego nazwiska Brwickich i spłacenia wszystkich tych długów! Nie występujcie przeciwko mnie jeszcze kilka tygodni, nie zaprzeczajcie niczemu, dopóki nie odbiorę majątku żony... a przysięgam na honor, że spłacę wszystko co do grosza!... Wszystko zarzucać mi możecie, wszelkie zarzuty będą słuszne, ale nikt zarzucić mi nie może, abym kiedy złamał dane słowo honoru!... Zważ stryju zresztą, że pospieszenie się z krokami prawnymi, na nie wam się nie przyda, a i tak zawsze będziecie mieć mnie w ręku! Jeszcze kilka tygodni, a zrobicie potem zemną co się wam podoba!

— Co mi pan chcesz mydlić oczy majątkiem żony! Żony nie masz i majątku jej mieć nie będziesz! Porwałeś gwałtem nieczemnym majorównę, a ślubu z tobą wziąć nie chciała. Za gwałt odpokutujesz kryminałem! albo umykaj na złamanie karku na drugi koniec świata... A majorównę, żądam, abys bezwzględnie odwiózł do Wartyniec!

— Ależ stryju! stryju! chciej tylko zważyć bez uprzedzenia, czy to możebne, abym porwał pannę wbrew jej woli, w nocy, z domu ojcowskiego i cichaczem wyniósł, pomimo tak licznej służby. ...

— A jednak było możebne, skoro się stało.

— Klaudya mnie kocha i dobrowolnie ze mną pojechała.

— Nie prawda! Wiem jak to było, od proboszcza w Zaroślińcach, gdzieś ją chciał przymusić do wzięcia ślubu.

— Ta nieszczęsna scena w kościele?... Ach, niestety, to prawdziwe! Jam sam temu winien! Uciekła ze mną dobrowolnie, ale w drodze, porwany szalem, popełniłem najwyższą niedorzeczność! Nie mogąc pohamować namiętności, obraziłem ją natarczywością moją, obraziłem jej anielską nieświadomość tak ciężko, że chwilowo uniosła się formalną do mnie nienawiścią, chciała wracać do domu i opierała się z wszelkich sił przeciw zawarciu ślubu. ...

— A więc przyznajesz, ślubu nie ma?

— Owszem stryju! ślub się później odbył. ...

Z niedowierzaniem spojrzął na niego p. Robert:

— Nie wierzę! wszystkiemu temu nie wierzę! Pocóżby uciekała z domu rodzicielskiego, od ojca, który ją tak kochał? Pocóż ją zresztą było wykradać? Nie lepiej-że było oświadczyć się o jej rękę?

— Major byłby mi jej nie dał, bo przeznaczył ją dla Aleksandra. Kochał ją bardzo, nie przeczę, ale był człowiekiem nieugiętej woli i ubłagaćby się nie dał.

— Czyż to przypuszczać można, aby dobrowolnie opuściła ojca w dniu, w którym tenże śmiertelną został złożony chorobą? Nie, to nie prawda!

— Stryju łaskawy! kochała mnie, a ja tego żądałem. To wystarcza do wytłómaczenia dla nas młodych. ...

— Czemużeś tego żądał? jak mogłeś żądać, aby takiej się względem ojca dopuściła niewdzięczności!

— Musiałem! musiałem! bo major byłby od niej żądał na łożu śmierci poprzysiężenia, że poślubi Aleksandra. Ułożył sobie to małżeństwo i niczemby go nie można było odwieść od tego postanowienia. Mnie powiedział wyraźnie, że jej teraz mu jeszcze nie da, bo za młody, ale dał mu słowo, iż, gdyby umierał, to pod błogosławieństwem na łożu śmierci od niej żądać będzie, aby wyszła za mąż za Aleksandra.

Pan Robert milczał. Nie wierzył jeszcze, a jednak wahał się już w swem niedowierzaniu. Ignacy dodał jeszcze:

— Oprócz tego, nie będę tuić przed stryjem, że przycisnięty krytycznym stanem moich interesów majątkowych i długami, których termin płatniczy się zbliżał, czułem się zniewolonym chwycić się tego rozpaczliwego środka i wykraść pannę, aby jak najrychlej odzyskać kredyt w obec wierzycieli i odebrawszy posag żony, zacząć ich spłacać...

Pan Robert wahał się. To tłumaczenie wydało mu się jednak dość prawdopodobnem.

— A więc utrzymujesz, że jesteście po ślubie?

— Nadeślę stryjowi metrykę... Ale zresztą, stryju, gdybyśmy nawet nie byli poślubieni, to o odwożeniu jej do Wartyniec, lub zrywaniu tego związku nie ma mowy i być nie może, bo ona jest moją żoną... moją żoną...

A po chwili, zakrywając oczy dłonią, dodał płaczącym tonem:

— Ach! jakież to cios dla niej okropny, ta śmierć ojca!... Cóżby to był za cios dla niej śmiertelny, gdybyś jeszcze ty mnie stryju zmusił nieubłaganą surowością swoją, abym sobie życie odebrał!... Jestem Brwicki... i hańby nie zniosę!

Pan Robert milczał, ale każdyby łatwo wyczytał z jego rysów, że jest już skłonny do niepospolitych koncesyj.

— Stryju kochany! ja tobie tyle zawdzięczam a tak ciężko zawiniłem przeciw tobie i przeciw całej rodzinie!... Czuję to głęboko i bardzo jestem nieszczęśliwy... a tem nie-

szcześliwszy, że innym już teraz jestem człowiekiem, od kiedy Klaudye zaślubiłem!... Ale ja nie proszę za sobą, bo nie jestem wart twojej litości! ja za nią proszę, za córką twojego przyjaciela, któregośmy do grobu odprowadzili! Na święte imię przyjaciela twego dla niego, zaklinam cię stryju: zlituj się nad jego jedynaczką nieszczęśliwą, którą on tak kochał!... A zważ stryju, zważ, że tu już nie o mnie idzie, ale o honor naszego nazwiska i o byt i mienie kilku poczciwych krewnych, którzyby najsrożej na tem ucierpieli, gdybyś mi usunął z rąk jedyną deskę ratunku!...

Pan Robert spozrzał na niego łaskawszem okiem, jak-by chciał zapytać, w jaki sposób może mu być pomocnym.

— Stryju dobrodzieju! żona mi ciężko zaniemogła i w takim znajduje się obecnie rozdrażnieniu nerwowem, że lekarze stan ten za nader groźny poczytują i każą mi ją bezwzględnie wywieźć za granicę. Utrzymują, że zmiana miejsca, że podróż będzie najskuteczniejszą kuracją. Tak jestem przygnębiony i znękaný troskami i nieszczęściem, iż niepodobna mi zająć się uporządkowaniem interesów. Zginę mańnie, utonę przy brzegu. — Stryju dobrodzieju! ja wiem, że ja o wielką rzecz proszę, ale mi już tylko ta jedna nadzieja została: przysłę stryjowi metrykę ślubu i potrzebne plenipotencye, chciej najłaskawiej odebrać w mem imieniu majątek mojej żony i spłacić jej funduszami wszystkie moje weksle i długi moje lichwiarskie! Będziemy ci zawdzięczać.. więcej niż życie, stryju!

W tej chwili dochodzili do miejsca, w którym na skrócie drogi stał kabryolet Ignacego. Na zaproszenie Ignacego wsiadł pan Robert do jego powozu i udali się do dworu. Sąsiedzi wracający z ementarza właśnie tam także dochodzili, gdy powóz wjeżdżał przez bramę dziedzińca. Widzieli wszyscy obu Brwiekich w najlepszej zgodzie rozmawiających na jednym wózku. W samej rzeczy, pan Robert przychylił się do prośby Ignacego i podjął się zająć interesami, skoro mu tenże nadeszle potrzebne dokumenty.

Zajechawszy przed ganek, Ignacy wyskoczył i pomógł wsiąść panu Robertowi, poczem ucałował mu rękę, skłonił się raz jeszcze sąsiadom i odjechał drogą ku Mianowu.

— Bóg łaskaw na mnie! — szepnął sam do siebie — wszystko pójdzie dobrze!

* * *

Przed gankiem dworu w Mianowie ruch niezwykły. Wytoczono z wozowni poczwórny powóz, a za nim wóz ładowny na kufry, walizy, tłumoki. Od rana krząta się służba, której niespodziewanie oznajmiono, że państwo wyjeżdżają w daleką podróż. Obie służące Klaudyi, które przywiozły z Wartyniec garderobę swej pani, zajmują się pakowaniem sukni, bielizny, pościeli. Obie mają towarzyszyć jej w drodze za granicę i cieszą się, że daleki świat obaczą. Dokąd pojedą — nie oznajmiono im. Do powozu siądą z panią i lekarzem; pan Ignacy pojedzie osobno, kabryoletem. Strzelec dworski siądzie na kozioł powozu; ustroił się już w swój mundur o zielonych wyłogach z bogatemi, srebrnymi potrzebami i w stosowany kapelusz z pióropuszem. Lokaj Walenty pojedzie na kozle kabryoletu przy swoim panu. Wczoraj wyprawiono cztery konie przeprężne, dziś czwórka gniadych pociągnie powóz, a siwe pójdą z kabryoletem, fornalka z wozem. Od granicy zapewne służbę pan odeszle do domu z wyjątkiem pańien a może i strzelca, ale do granicy dwa dni drogi, a z powodu, że pani chora, podróż potrwa może cztery dni, aby jej zbyt nie utrudziła. Nikt jednak nie wie, gdzie pan zatrzymać się każe, gdzie popasać, gdzie zajechać na nocleg. Taki zwyczaj w domu pana

Ignacego. Pytać się niewolnó, tylko czekać rozkazu i słu-
chać. Jak pan każe, tak być musi, choćby pioruny biły.

Szorstki i despotyczny we wszystkim, pan Ignacy, wobec lekarza okazuje się uprzejmym i uległym, jak mu się wobec nikogo innego być nie zdarzało. Chciał on zrazu jechać z Klaudyą w powozie, ale lekarz stanowczo się temu oparł, a pan Ignacy, po krótkiej z nim sprzeczce, uległ i zmienił wydane już rozporządzenia. Podobnie stało się z kilkoma innymi dyspozytami pana Ignacego, tyczącami się przygotowań do drogi. W domu nawet, dr. Kraspel, w ciągu zaledwie kilkodniowego swego pobytu różne zaprowadził zmiany, przeciwne dotychczasowemu porządkowi rzeczy. Dziwiło to służbę nie mało i wkrótce wobec lekarza szczególnym przejętą była respektem. Zdarzył się wypadek, który ten respekt do najwyższego doprowadził stopnia. Zgniewany srodze na gorzelanego za jakieś uchybienie w służbie, Ignacy, jak mu się to często zdarzało, wpadł w niepohamowaną wściekłość i wyrzuciwszy go z swej kancelaryi do sieni, pniąc się ze złości, krzyczał, kopał i okładał go uderzeniami pięści. Gorzelany giął się do kolan pańskich z zakrwawioną twarzą i krzyczał także z bólu i przerażenia. Kilku ludzi z dworskiej służby było obecnych tej wstrętnej scenie. Nagle otwierają się drzwi z prawej strony sieni, to jest z pokojów, gdzie Ignacy Klaudyę umieścił, i wychodzi dr. Kraspel. Stanął w progu i surowym wzrokiem zmierzył pana domu.... Ignacy zaprzestał doraźnej egzekucyi, ale krzyżeć nie przestawał. „Cicho!“ — zawołał lekarz: „ja tu na hałasy takie pozwolić nie mogę!“ A pan Ignacy, zamiast w straszniejszą wpaść pasyę, natychmiast ochłonął z gniewu, jakby go ktoś wodą zimną oblał i wskazawszy gorzelanemu ręką aby się wyniósł, zwrócił się uprzejmie do lekarza z głośnem pytaniem: „czy się zbudziła?“ — „Psss!“ odrzekł spokojnie ale stanowczo dr. Kraspel: „ja wymagam, aby tu było cicho“. I uciekł bezwłocznie pan Ignacy, a służbie się wydało, że Kraspel, to cu-

dotworca, lub pogromea dzikich zwierząt, który nawet pa-na domu w karbach utrzymać potrafi.

Wysoki, silny, barczysty, o ściągłej twarzy, smagłej cerze, o wypukłym czole gładko ogolony, o wąskich, zaciśniętych ustach, człowiek ten w samej rzeczy sprawiał wrażenie pogromcy lub magnetyzera, a czarne, głęboko osadzone, przenikliwe jego oczy, pod łukiem gęstych, szerokich, skudłaczonych brwi, spokojną stanowczością spojrzeń zhołdować łatwo mogły drażliwe, nerwowe natury.

Zhołdował też istotnie w kilku dniach Ignacego i wszystkich mieszkańców mianowskiego dworu, z wyjątkiem jednej Klaudyi, która w bezdusznej ciągle pogrążona apatyi, nieczułą była dotąd na wpływ tego człowieka. — Miała jednak i ona mu uleż. Zdawało mu się już nawet, że przy wlewaniu jej do ust lekarstwa, łatwiej poddaje się i ulega, gdy usłyszy wyrazy: „doktor każe.“ Postanowił z tego korzystać.

Nadeszła godzina wyjazdu. Z trudem wielkim udało się obu służebnym dziewczętom wciągnąć na Klaudyę ubranie. Nie stawiała ona wprawdzie czynnego oporu, ale opór jej bierny, był tem cięższym do przewyciężenia. Był to opór drewnianego manekina, lub porcelanowej lalki. Trzeba było podnieść ją w łóżku i posadzić, umyć twarz i ręce, podtrzymywać jej głowę przy czesaniu włosów, przeciągnąć ręce przez rękawy sukni, włożyć na nogi buciki. Cudzej woli ulegała bezwładnie jak przedmiot martwy, lub ciało świeżo zmarłej osoby, której mięśnie i stawy nie zdrętwiały jeszcze i nie straciły elastyczności. Ruchu samodzielnie, a nawet automatycznie nie uczyniła żadnego; w jakiegokolwiek ją ułożono pozycyi, choćby najniewygodniejszej, trwała w niej tak długo, dopóki własnym ciężarem nie usunęło się ciało. Niemniej apatya ta nie była znieczuleniem na zewnętrzne wrażenia, chora zdawała się nawet posiadać pewien stopień świadomości: przy każdym, choćby najlżejszem dotknięciu czuć było, jakby lekkie wzdrygnięcie się, jakby pewien skurez i stężenie nerwowe skóry w miejscu dotknię-

tem, podobne do tego, które spostrzegać się daje przy dotknięciu ran lub miejsc bolących u osób pokaleczonych, oparzonych, lub stłuczonych. — W wyrazie jej twarzy i oczu, nie zatarły się znamiona intelligencyi, nie raziły jej rysy tą bezduszną sztywnością, jaka u niektórych obłąkanych uderza na pierwsze wejrzenie, owszem, przemawiało z nich podobieństwo do osoby nadsłuchującej z trwożną jakąś obawą, jakby śmiertelnie znużonej nieprzewartą potrzebą snu, któremu by się przez wiele nocy ostatnim wysiłkiem woli opierała. Twarz jej wychudła przeciągnęła się, wybladła i szarawą przybrała cerę, jakby po kilku miesiącach przebytej ciężkiej choroby. Oczy lekko rozwarłe, o przygasłym blasku, wpatrzone w jeden punkt przestrzeni, w ustach boleśnie zaciśniętych jednostajny, nieznikający z oblicza wyraz niby obawy, niby wstrętu. Oddechu jej nie słyhać, pulsu nie czuć prawie pod ręką. Bujne, lśniące włosy straciły swój połysk.

Rzecz dziwna, Ignacy, dla którego litość i współczucie zdawały się nieznaną krainą i widziane u drugich, szyderczy tylko na usta wywoływały mu uśmiech, nie mógł patrzeć na Klaudyę bez prawdziwego wzruszenia. Stał wobec niej, jak winowajca wobec swej ofiary. Spuszczał oczy czerwieniał na twarzy, a ruchliwe rysy jego, błyskawicznych, jakichś uczuć kurczyły się i drgały płataniną. Czasem dzień prawie cały jej nie widział, w innych dniach przychodził co chwila do jej pokoju, stał w oddali, jakby nie chciał jej się nasuwać na oczy, stał tak długo a długo nieruchomy, patrzący na nieruchomą. Cisza była, oddech jej chciałyby usłyszeć, a słyszy tylko uderzenia własnego serca...

Dziwnego coś czuje w tem sercu swem, coś niedoznanego dątał w życiu. Ból jakiś nurtujący cicho, który się przypomina co chwila, którego niczem zgłuszyć niepodobna. Życie-by dał, aby tego nie czuł, co czuje.

Wychodzi z jej pokoju. Zamknąwszy ostrożnie drzwi za sobą, słuchoa jeszcze pod drzwiami, choć wie, że nie

nie usłyszy. Uderza dłonią w czoło, w obie dłonie twarz kryje, pierś mu się podnosi jakby do płaczu ... Zrywa się, wybiega, łaje i bije służbę, albo spotkawszy którą z dziewcząt dworskich, czoło gniewem namarszczy i na urągowisko cynicznym jakim obdarzy ją karesem; albo osiodłać każe sobie konia i szalonym pędem bieży przez wieś w pole, przeskakując przez płoty i rowy. Rad wtedy z siebie, kaleczy konia ostrogą i okłada szpicrutem, szarpie i zrywa cugłami, znarowi go, jak zły jeździec i znowu zmusza do posłuszeństwa i osadza na miejscu; to klnie, to w głos się rozśmieje śmiechem potępieńca. Wraca ku domowi i znowu puszcza się w pole na złamanie karku. Wraca wreszcie, tnie oczekującego stangręta szpicrutem przez twarz, przez głowę, że mu konia znarowił; zeskakuje, rzuca mu cugle i wszedłszy do pokoju znużony, rzuca się na sofę. ... A za chwilę zrywa się i idzie na palcach pod drzwi pokoju Klaudyi — i słucha. ...

Obie służebne dziewczęta nie bez żalu patrzą na swoją panią. Przywiązane one do niej, bo je ujęła swoją dobrocią, przywiązane do niej szczerze, choć ją niegodnie sprzedały, nie przewidując następstw swego czynu. Czują dobrze, że one winne temu nieszczęściu, a niekzemne swe oplakując przekupstwo, srogie cierpią wyrzuty sumienia. — Marysia płacze po kątach i nosi się z myślą sprowadzenia starej Józefowej, która najlepiej umie zamawiać podobne uroki. W jej przekonaniu nie podlega wątpliwości, że ktoś urok rzucił na panienkę. — Karolina ma ciągle łzy w oczach, modli się gorąco i postanawia suszyć środy i piątki, dopóki Klaudya nie odzyska zmysłów. Obie od czasu do czasu całują chorą po rękach i przemawiają do niej najczulszemi słowy, prosząc, aby się odezwała choć jednym słówkiem — i wzorem niewykształconych ludzi, starają się podziałać na obłąkaną rozumowaniem i perswazją. To znowu przyciskają jej święcone medaliki do ust i do czoła i ręce jej składają jak do modlitwy, wymawiając same za nią słowa pacierza.

Bryzgają jej także święconą wodą w oczy, ale i to nie nie pomaga.

Klaudia milczy, nie rozumie, nie słyszy, nie czuje może. Zaledwie raz lub dwa razy na dzień, zwykle przy obmywaniu jej twarzy lub przebieraniu bielizny, wzdrzgnie się i z cichym, żalonym jękiem, wyszepnie ledwie dosłyszalnym głosem: „Nie — nie!“ A przy wlewaniu jej przymusowem pożywienia do ust, przełknąwszy kilka łyżek automatycznie i z widocznym wstrętem, podniesie dłonie, jakby odsunąć niemi chciała natrętą rękę, która ją karmi i znowu wyjąknie prośbę: „Nie — nie chcę — już nie“. — Tyle jej słów. A czuwa i nie spi. W nocy oczu nie zamknie, do snu się nie ułoży, chyba pod wpływem silnych, usypiających środków, które zaordynował lekarz.

Jak ona pojedzie w drogę? czy podróż sił jej do reszty nie wyczerpie? Zadają sobie wszyscy to pytanie. Ale dr. Kraspel ma dobrą nadzieję.

Ukończone przygotowania do podróży, Klaudia już ubrana, konie zaprzężone do powozu. Kraspel podniósł chorą, lekką jak piórko, aby ją do powozu zanieść. We drzwiach pokoju, po raz pierwszy od wielu dni poruszyła się sama i podnosząc ręce, z cichym jękiem uchwyciła niemi portyere, jakby chciała stawić opór przeciw gwałtowi.

Zatrzymał się z ciężarem na ręku Kraspel we drzwiach i czekał, dopóki pochwyconego festonu z rąk nie wypuści. Trwało to dłuższą chwilę, poczem rzekł do niej spokojnym, ale bardzo stanowczym tonem: „Pojedziemy — doktor każe“. — Ręce jej opadły, dozwoliła się zanieść przez sien i ganek do drzwiczek powozu. Tu znowu lekki stawiła opór, który z łatwością pokonał Kraspel temi samemi, co wprzódy wyrazami.

Wtedy usadowiwszy ją, jak można było najwygodniej, zbliżył się Kraspel raz jeszcze do Ignacego i rzekł:

— Zachowanie się chorej w tej chwili, najlepszą dozwala mieć nadzieję. Wiele bardzo liczę na wpływ tej po-

droży, ale raz jeszcze przestrzegam i proszę, abyś się jej pan całkiem nie pokazywał. Uważam to za warunek konieczny polepszenia, aby pana teraz zupełnie nie widziała, aby mogła nateraz zapomnieć o panu.

— I długo to potrwa? — odezwał się głucho Ignacy.

— Tego niepodobna przewidzieć. Ale gdyby cucąc się z tego otrętwienia ujrzała pana, wszystko byłoby stracone. Jedź pan albo ciągle naprzód, albo z tyłu, a na popasach do powozu się nie zbliżaj. Bardzo wielką do tego przykładam wagę, bo mi się zdaje, że chwila ocucenia nie jest daleką.

— Dobrze. Zastosuję się. Ale na popasie przyjdź pan zaraz do mnie, abym wiedział co się z nią dzieje. Pojmujesz pan przecie mój niepokój!

— Pojmuję ... ach pojmuję! — rzekł z afektacją Kraspel, a ironiczny uśmiech przemknął mu przez usta.

Wsiadł do powozu, wsiadły obie służące, ruszyły konie.

Z nasypanego piaskiem dziedzińca i drogą ogrodową przejechał powóz przez park i dostał się na nierówny, pełen wybojów gościniec wiejski. W ruch wprawione pudło ledwie kołysać się na rysorach zaczęło, pod wpływem tego ruchu mimowolne, automatyczne stawianie odporu przechylaniu się na jedną to na drugą stronę, zdawało się budzić do życia uspięne nerwy i zdrętwiałą wolę obłąkanej. Kilkakrotnie oparła się ręką, poruszyła się i podniosła głowę. — W półgodziny niespełna zdawało się, że się rozgląda, że przypatruje się siedzącej naprzeciw niej Karolinie. Potem znużona oparła się na poduszkach, głowę przechyliła na bok i tak jechała dalej z przymkniętymi nawpół oczyma. — Zwolna opadały powieki i przetwierały się znowu; zdawało się, że usypia.

Stan ten trwał kilka godzin. Nagłe zatrzymanie się powozu ocuciło chorą z tego śnienia. Otworzyła źrenice i starała się widocznie poprawić w siedzeniu. Nie miała siły. Pomogła jej w tem Karolina. Bez oporu, jak zwykle, dała

się usadowić, ale spojrzenie, które na ulubioną niegdyś służącą zwróciła, zdawało się świadczyć, że ją poznaje, że jej za tę usługę wdzięczna.

Powóz ruszył dalej, a Klaudya rozglądała się jeszcze czas jakiś i znowu w półsenną zapadła drzemkę. Przebudziła się znowu w miasteczku, gdzie stały wysłane dniem przedtem rozstawne konie. Podano jej rosółu. Wzbraniała się przyjąć zrazu, ale gdy spokojnym i dźwięcznym głosem Kraspel do niej przemówił te słowa: „doktor każe“, wypijała rosół bez oporu, usiadowała nawet przytrzymać sama ręką filiżankę, którą do ust jej przechyłano.

Wieczorem, w miejscu przeznaczonem na nocleg. nie bez oporu dozwoliła się przenieść do mieszkania. Przypatrywała się przytem widocznie Krasplowi, jakby chciała sobie go przypomnieć lub zapytać, kto ten człowiek nieznany. — Tak zrozumiała jej badawcze, niespokojne spojrzenie Karolina i zbliżając się do niej rzekła: „To doktor“! Słowa te musiały chorą uspokoić, bo wzrok swój przeniosła na nią.

— To ja, pani! Karolka!

Klaudya wyciągnęła ku niej rękę.

Służąca pochwyciła ją z zapałem i zaczęła okrywać pocałunkami. Łzy, jak groch sypały się jej z oczu. Ale już ten drobny promyczek przytomności zaćmił się znowu i ustąpił poprzedniej, bezdusznej apatyi.

Ignacy nie umiał pohamować dzikiego wybuchu radości, gdy mu doktor opowiedział o nader pomyslnych symptomatach w stanie choroby, o wiele przewyższających najoptimistyczniejsze jego przypuszczenia.

Noc przeminęła spokojnie. Nazajutrz rano, chora nie zdawała się bardziej niż zwykle osłabioną skutkiem odbytej podróży, przyjęła posiłek dość chętnie, natomiast większy, niż wprzód stawiała opór przy ubieraniu, głośniejsz powtarzała: „nie chcę“, uległa jednak rozkazowi lekarza i całkiem bez sprzeciwiania się dozwoliła się przenieść do powozu.

Dzień był prześliczny i uroczą okolica lesista, którą jechano. Klaudya dłuższy czas siedziała w powozie wyprostowana i rozglądała się po twarzach towarzyszków podróży. Kraspel nakazał dziewczętom, aby przerywały niekiedy milczenie krótką rozmową o obojętnych przedmiotach, jakie droga mogła nasunąć. Ile więc razy która z nich się odezwała, Klaudya zwracać się zdawała na nią uwagę, jak gdyby udział brała w rozmowie. Gdy furman powóz zatrzymał, wyjechawszy na górę dość stromą, aby konie nieco wytchnęły, siedzący pod figurą dziadek zbliżył się do powozu, prosząc o jałmużnę. Klaudya zaczęła wtedy ręką szukać kieszonki. Znalazła ją wreszcie, ale nie było w niej portmonetki.

— Nie ma! — rzekła wyraźnie, patrząc na Karolinę.

— Została w domu — wyjaśniła służąca

Klaudya poruszyła kilkakrotnie ustami, jakby chciała przemówić i słów nie mogła znaleźć. Dziadek coraz natarczywiej błagał miłosierdzia, a niepokój Klaudyi zdawał się wzrastać. Wreszcie Kraspel rzucił żebrakowi parę groszy do kapelusza. W rysach Klaudyi wtedy wyraźnie zwierciadliło się zadowolenie, poczem, jakby wyczerpawszy siły niezwykłym ożywieniem, opadła bezwładnie na poduszki i zmrużyła powieki.

W ciągu tego i następnego dnia oprzytomnienie chorej ciągle czyniło postępy. Nie zdawała ona sobie jeszcze sprawy z tego, co się z nią dzieje i jakie w ostatnich czasach przebyła wypadki, ale wiedziała że jest chorą i że gdzieś jedzie z swemi dwojgą dziewczętami i pod opieką lekarza. Czuła, że mu być winna posłuszną i w miarę cecenia się władz umysłowych, stawała się nią coraz bardziej. Z niemałym zadowoleniem spostrzegł to Kraspel, upewniało go to bowiem o trafności własnego sądu i pozwalało tuszyć, że plan jego na dobrej jest drodze do urzeczywistnienia w całości.

Trzeciego dnia nocleg wypadł w Krzyżowej. Ztamtąd na prawo wiedzie murowany gościniec do przedostatniej nad granicą stacyi kolei żelaznej, pół mili zaledwie odległej, na lewo zaś, tuż przed karczmą, droga wysadzana jarzębiną, znana nam dobrze droga, prowadząca do lasów olchowickich. Niespełna mila ztąd na tej drodze leśniczówka, pół mili dalej wieś Olchowce i dwór nad brzegiem jeziora i altana chińska, bluszczem obrosła i łódka ukryta w sitowiu... Zwierciedli się zachód czerwony w jeziorze — jak krew. Nim słońce zejdzie jutrzejsze, w porannym mroku sześciu ludzi usiądzie w tę łódkę i spłoszą śniące w sitowiu ogrodowe łabędzie; popłynie ich sześciu na brzeg drugi, mającej w oddali, na skraj lasu, — a pięciu ztamtąd powróci...

Tak stało się niespełna rok temu. Tak i jutro się stanie. Jutro dzień spotkania Ignacego z Olesiem.

* * *

Pogoda służyła podróży. Trzeciego dnia jednak, przed wieczorem, na widokręgu od wschodu, kłębiaste zaczęły się ukazywać obłoki, skupiały się, rozszerzały, wiatr zadął silny, a coraz było ich więcej, coraz gęstszą oponą zakrywały niebo. Od czasu do czasu dalekie dawały się słyszeć grzmoty. Deszcz zaczął padać. Na zachodzie tylko, chowało się słońce w pozłoconej jaskrawym blaskiem warstwowej chmurze.

Pędzi kabriolet bitym gościńcem ku karczmie w Krzyżowej. Deszcz coraz rzęsiwszy. Ignacy owinął się płaszczem, a co chwila odwraca głowę i spogląda w tył po za siebie: w oddali widać ręczo w tę samą stronę pomykającą czwórkę z powozem, nad którym daszek od deszczu rozpięto.

Niepokoi się Ignacy o swoją ukochaną. Byle nie przemokła na deszczu! Ten wichur, tak silny, mógłby ją przewiać... Może ona grzmotów się lęka?... ach, ta burza niezawodnie źle wpłynie na stan jej umysłu!...

Już kabriolet przed karczmą. Ignacy wyskoczył. „Nie wyprzęgaj!“ — zawołał na stangreta. A stojącego w bramie karczmarza pyta: „Są pokoje?“ — Są. Każe je więc co prędzej przygotować na przyjęcie swej pani. Z kabrioletu sam wydobywa dywany, poduszki. Zaściela je na fotelu, aby miała na czem spocząć, zanim jej z przywiezionej pościeli zrobią wygodne posłanie. Przetwiera okno, aby pokój przewietrzyć. Z torebki wydobywa wodę kolońską i skrapia nią meble i podłogę. Każe przygotować kąpiatku na rozpuszczenie bulionu. Zaleca spokój i ciszę: prosi, obiecuje sowitą zapłatę, napomina, grozi. Wreszcie słysząc dudnienie zajeżdżającego w bramę powozu, usuwa się spiesznie i ukrywa w sieni, aby nie być widzianym.

Sam jednak widzi wszystko przez szpary bramy wjazdowej, za którą stanął. Widzi, z jaką troskliwością Kraspel przenosi ją z powozu do izby. Ale wydaje mu się, że bledszą jest niż rano i bardziej zmęczoną. Niepokój go ogarnia, radby corychlej pomówił z lekarzem. Nie śmie go jednak kazać wywołać, bo on tam może potrzebny. Niecierpliw się i czeka przed drzwiami. Spogląda na zegarek: już późno, a jemu czas w drogę, dziś na noc musi stanąć w Olchowcach.

Wybiegła wreszcie Marysia z izby. Pyta ją o panią, ale ona nie umie nic powiedzieć prócz słowa: „dobrze, jednakowo“. Każe jej więc wywołać lekarza.

Ale Kraspel nie przybywa. Posyła więc raz drugi po niego. Zjawia się wreszcie lekarz, widocznie zniecierpliwiony natarczywością.

— Czegóż pan posyłaś dwa razy po mnie? Nie nowego, wszystko dobrze... ale jeśli nie przychodzę, to widocznie jestem tam potrzebny. Proszę mnie nie niepokoić.

— Przepraszam pana. Kazałem pana wywołać, bo muszę jechać.

— Jechać? o tej porze? w taką straszną ulewę?... Nie słyszysz pan, jak bębni po dachu?

— Mam ważny interes. Będę tu jutro rano z powrotem. Będę się starał wrócić na czas, abyśmy mogli odjechać na stację kolei i przybyć tam przed odejściem pociągu.

— Koniecznie! Cóżbyśmy tu robili w karczmie dzień cały. Tu niczego nawet dostać niepodobna. — Pociąg odchodzi o dziewiątej.

— Wrócę na czas... mam nadzieję, że wrócę. Mogłbym się jednak spóźnić... Na każdy wypadek, rzeczy niech będą spakowane a konie zaprzężone, bo może w ostatniej chwili nadjadę... Do widzenia!

— A gdybyś pan na czas nie przyjechał?

— To rób pan co chcesz!

— Jako? jechać? zostać?

Ignacy odwrócił się z niechęcią.

Owinął się płaszczem, wybiegł, skoczył do kabryoletu i popędził drogą ku Olchowcom.

Deszcz lał jak z cebra.

* * *

W kwadrans później trzech jeźdźców wyciągniętym kłusem pędziło ku karczmie gościńcem.

Ulewa nie ustaje, zwał wody coraz gwałtowniej szumi i huczy. Rowami drogi i pola płyną rwące potoki wzbierają, występują z brzegów, zlewają się, łączą w jeden strumień, zalewają drogę całą, która teraz do rzeki podobniejsza, niż do gościńca.

Niebo aż czarne od chmur. Kłębienia się ich już nie widać, ani przelotu, tak jak w kotle napełnionym parą, która go mało nie rozsądzi. Ciemno.

Czasem błyskawica roztwiera niebiosa, ogarniając je całe odrazu na jedną sekundę, olśniewającą eksplozyą blasku. Jeszcze ciemniej potem, gdy zgaśnie.

Zdaleka słyhać grzmoty. Nie grzmoty, grzmot raczej jeden, ciągły, nieustający. A może to tylko ulewa tak hu-czy i zmienia się w grzmot? Najstarsi ludzie nie pamiętają takiej. Co za zniszczenie straszne odsłoni się jutro oczom! Jutro? czy będzie jakie jutro? Bojaźliwsi i przesądni myślą, że to dziś chyba już koniec świata.

Trzej jeźdźcy zwolnili biegu, drogi już rozeznac nie można. Konie ogłuszone szumem, bite strugami nawałnicy, oślepe od blasku błyskawic, isć nie chcą, a szarpią się i zrywają w cuglach.

Jeden z jeźdźców, w burce z kapturem, wrywa się ciągle naprzód. Przy blasku błyskawicy rozeznał miejsce, gdzie się znajduje: wysokiego nad studnią przy karczmie żórawia, białe ściany zajazdu, na lewo jarzębinową drogę do Olchowiec.

Zatrzymał konia na skrócie drogi.

— To tutaj! na lewo droga! — zawołał, gdy się zbliżył jeden z jego towarzyszy. — Spieszmy, spieszmy! bo jeśli tak dłużej potrwa, to nie dotrzemy na miejsce. — W lesie jezioro musiało wystąpić już na drogę.

— Ależ Olesiu! szaleństwo! jechać dalej niepodobna. Zanocujemy w karczmie.

— Nie! jedźmy! — odparł Oleś rączo. — Jeśli nie dotrzemy dziś, jutro może już będzie niepodobieństwem!

— Dzisiaj niepodobna! Droga musi być zalana, mosty zerwane. Ciemno. Zbłądzilibyśmy.

— Ja tam być muszę! choćbym miał isć na czworakach!

— Na czworakach nie pójdziesz, chyba popłyniesz.

— To popłynę!

— Ja z tobą płynąć nie chcę.

— To pojedę sam!

— Szaleństwo! Właśnie mógłbyś nie dojechać, jeśli nocą będziesz chciał się tam dostać. W lesie pełno parowów, droga kręta, omylna; zabłądzisz, koń cię zrzuci, a jeśli nie utoniesz, to wyratujesz się na drzewo i będziesz siedzieć dwa dni, dopóki wody nie opadną.

Oleś się namyślał.

Szum ulewy głośny dalsze słowa jego towarzysza. —
Wicher tłumił wyrazy na ustach.

Od nieustannych błyskawic ślepy źrenice.

— Gdzież Stefan? — oglądając się za siebie zapytał
Oleś.

— Stefana koń już ledwie idzie... Oto nadjeżdża.
Zważ tylko! Pocóż ci tam być dzisiaj, skoro to jutro dopiero termin?

— Ja tam jutro muszę być o świcie!

— Dla czego? godzina nie umówiona!

— Właśnie dla tego, że nie umówiona, muszę być dzisiaj, aby ją umówić... a najpóźniej jutro o świcie.

— Masz czas umówić ją jutro a strzelać się wieczorem.

Trzeci towarzysz w tej chwili zbliżył się do nich.

— Jakto? — zapytał, zasłyszawszy koniec rozmowy —
jakto? Oleś chce dzisiaj tam jechać? Cóż znowu! Ja nie pojedę! Chybabym oszalał!... Koń mój ustaje, a ja przemokłem do nitki... po świeżo przebytem zapaleniu płuc!

Oleś musiał się poddać. Postanowiono zanoć w karczmie, a o świcie wyruszyć w dalszą drogę.

Bramę zajazdu zastali zamkniętą. Tadeusz zeskoczył z siodła i bił w nią co siły, pięścią i obcasem. — Wychylił wreszcie głowę przez furtkę pejsaty arendarz.

— Otwieraj!

— Nie ma stancy!

— Otwieraj! na deszczu nie zostaniemy. Wolimy w sieni spać na sianie.

Arendarz otworzył, ale kładąc palec na ustach, dodał:

— Nu, ja małą stancyjkę jeszcze mam, ale proszę wielmożnych panów cicho! cicho! bo tu jest jedna wielka pani chora, która dzisiaj schowała się u mnie przed deszczem, a jutro rano jedzie na kolej.

To mówiąc, otworzył mały pokoik obok szynkowni. — Stajenny odebrał od nich konie. Tadeusz poszedł z nim, aby upomnieć się o wygodę i owies dla wierzchowców.

— Czy nie ma innego pokoju? — zapytał Stefan.

— Tu będzie panom dobrze; ja pościel przyniosę i trzecie łóżko. Innego pokoju nie ma, bo trzy stancye zajęła ta pani hrabina.

— Cóż to za pani?

— Pani hrabina Brwicka.

— Jaka Brwicka? — zapytał żywo Oleś.

— Ja nie wiem jaka. Wielka pani! ma siedmioro służby ze sobą.

Oleś nie mógł odgadnąć, która to Brwicka byćby mogła, choć całą swą rodzinę, wszystkich Brwickich znał jak rodzonych braci i siostry. Jeśli „wielka pani“ — pomyślał, to już chyba Adamowa, bo ci najbogatsi, jeżdżą jak wieley państwo. Ale dokąd jedzie? i czemu bez męża?... Nie słyszał także, aby się wybierali w podróż. Nie rozłączają się nigdy z sobą, czemużby sama jechała? I chora? Adamowa, to kobieta zdrowa jak łania.

— Chora? — zapytał arendarza.

— Nu, ona nie jest bardzo chora, siedzi sobie w fotelu, a rosół się dla niej gotuje... i suszy się pościel w kuchni. bo jej zamokła w drodze, a u niej pościeli nie chce.

Oleś postanowił osuszyć także w kuchni przesiąknięte deszczem odzienie i pójść potem do nieznamomej krewnej.

Zaledwie jednak wszedł do kuchni, przy blasku ogniska ujrzał jakąś dziewczynę, której rysy wydały mu się znajome.

— Marysia! — zawołał. — Co ty tu robisz?

Poznała go. Ucieszyła się i ani jej na myśl nie przyszły wybiegi.

— Ja tu z moją panią.

— Pani twoja tutaj? — wykrzyknął młodzieniec, jakby zmysły postradał. — Z kim jedzie? dokąd jedzie?

— Państwo jadą za granicę, bo pani chora.

— Za granicę?... chora?... państwo?... jacy państwo? — pytał urywanym głosem bezprzytomnie.

Dziewczyna patrzyła nań zdziwiona, nie umiejąc sobie zdać sprawy z jego pomieszania.

— A no, państwo: pani z panem...

Przycisnął rękę do czoła i jęknął z głębi piersi:

— Ah!...

Stał chwilę drżący, jakby pasował się sam z sobą. — Wreszcie zapytał:

— Powiedz mi: czy pani po ślubie?

Dziewczyna nie zrozumiała pytania.

— Po ślubie? jakto?... A jużci pewnie, że musi być po ślubie!

— Więc wzięli ślub?

— A jużci pewnie!

— Pani chora?

— Chora.

— Cóż jej jest?

Dziewczyna zaniepokojona natarczywością pytań, zawahała się z odpowiedzią.

— Czy ja wiem? chora. Głowa boli.

— Powiedz Marysiu! powiedz prawdę! Nie będziesz tego żałować.

I sięgnąwszy do kieszeni, sporą garść srebra wcisnął jej do dłoni.

— A no — rzekła cichszym głosem, oglądając się trwoźliwie — a no, pani... rozum straciła.

Zachwiał się na nogach. Przerazenie, rozpacz, wściekłość, wszystko mieściło się w głuchym jęku, który wy dobył mu się z piersi.

Wybiegł do sieni. Uchwycił za klamkę drzwi jej mieszkania. Przestraszona biegła za nim dziewczyna. Zatrzymała go w progu, zastępując mu miejsce.

— Gdzie pan idzie? tam nie można!

Pochwycił ją gwałtownie za ramię. Płomienie buchały mu z oczu.

— Czy *on* tam jest?

— Kto? Jest tylko doktor i nakazał, aby tam nikogo nie wpuszczać.

Ale on jednym szarpnięciem ręki odtrącił ją i wszedł.

W fotelu siedziała Klaudya, twarzą zwrócona ku drzwiom. Po za nią lampa stojąca na stole, oświetająca pokój. Z tyłu przy oknie, plecami obrócony do drzwi, obserwował doktor błyskawice oddalającej się burzy. Szum ulewy przycichł, słychać było tylko szmer ściekającej na gościńcu wody i monotonne pluskotanie w rynwach.

— Lodziu! — zawołał młodzieniec, rzucając się ku nieszczęśliwej.

— Oleś!

I wyciągnęła ku niemu ramiona. Chciała się podnieść, powstała — i upadła bezsilna w poduszki fotelu.

Oleś klęczał już u jej stóp. Całował jej rękę, patrzył jak w słońce, na wybladłe, zmienione strasznie lica ukochanej. Tonął w bezdennym smutku jej oczu.

Dr. Kraspel, usłyszawszy wykrzyk, żywo odwrócił się od okna, chcąc przeszkodzić jakiejś niespodzianej scenie, której znaczenia nie rozumiał, nie wiedząc, jaki oboje łączył stosunek. Zapóźno jednak już było przeszkadzać: Oleś klęczał u jej stóp, rękę jej namiętnemi okrywając pocałunkami — a ona, z uśmiechem na ustach, drugą rękę położyła mu na głowie i gładziła włosy.

— Oleś! — powtórzyła cichym szeptem, jak przez sen — Oleś!... Oleś. ...

— Poznałaś mnie? kochasz mnie?... wszak prawda? Patrzała na niego, uśmiechała się.

Dr. Kraspel był w fatalnem położeniu. Nie brakło mu nigdy przytomności umysłu, ale tym razem nie wiedział, co mu począć wypada. Wypadek ten był zbyt wielką dla niego niespodzianką. Olesia nie znał wcale, nie wiedział o jego stosunku do Ignacego, nie wiedział także, że Ignacy ma rywala, który serce Klaudyi pozyskał. Co robić?

Czuł, że wydalenie tego adonisa, który jak piorun spadł z deszczem, nie przyjdzie mu łatwo. Gwałtowna scena najfatalniejsze mogłaby pociągnąć następstwa. Cóż więc robić?... Czy ten człowiek wie przynajmniej, że ona obłąkana?... Te jego wyrazy: „Poznałaś mnie?“ zdawałyby się świadczyć, że chyba wie. Na tem trzeba oprzeć działanie.

Stanął tuż za krzesłem Klaudyi i składając ręce z prośbą, jakby do modlitwy, to znowu wodząc palcem w kółko po czole, dawał znaki Aleksandrowi swego niepokoju o nią. Chciał w ten sposób dać mu do zrozumienia, że go błaga, aby nie pogarszał stanu obłąkanej swem niewłaściwym zachowaniem.

Dostrzegł to Aleksander i zrozumiał. Ale innego snadź był zdania co do środków leczniczych i łudził się nadzieją, że ją zakłęciami miłości i pieścotami doprowadzi do opamiętania i ozdrowi. Całował i pieścił jej drobną, wychudłą rączkę. Ona z uśmiechem na ustach, jak ongi, odgarniała mu włosy ze skroni.

— Lodziu moja! moje dziewczę drogie! słuchaj mnie!... Ty moją będziesz! moją! moją!

— Moją... — szepnęła za nim.

— Obudź się! obudź! zlituj się! słuchaj mnie! uważaj dobrze, co ci powiem!...

Wpatrzyła się w niego, jakby duszę utopić w nim chciała.

— On cię porwał, ten łotr Ignacy... ale ja cię oswo-
bodzę: moją będziesz!...

Milczała.

Kraspel pukał sobie palcem po czole, ściągał ramiona i wymowną mimiką okazywał Olesiewi, że to postępowanie jego jest niedorzeczne. Wolał jednak rzeczy pozostawić własnemu biegowi, niż pogorszyć sprawę interwencją.

Oleś pochwycił ją za oba ramiona i wstrząsał lekko, ponawiając prośby i zaklęcia.

Milczała. Ani śladu ruchu i życia.

— Lodziu!... Lodziu!...

— Proszę pana, to na nie! — wmięszała się Karolina, która nadbiegła z drugiej izby: — pani się nie odezwie. Nie panu nie odpowie.

— Lodziu!... jedyna moja!... zlituj się! odpowiedz mi!... choć jedno słówko!

Milczała. Uśmiech, który umilił był jej lica, błakając się czas jakiś jak błędny oguik na ustach, przygasał z wolna i znikł.

— Lodziu! — kochanie moje! życie moje! — wołał rozpaczonym głosem młodzieniec.

Milczała.

— Ale niechże pan wierzy, że to się na nie nie przyda. Pani ma duszę na innym świecie i nie słyszy.

Kłęcząc, głowę złożył na jej kolanach. Wzdrygnęła się. Dłoń jej położył na swej głowie; nie poruszyła ręką. Ręka jej, jak ręka umarłej, bezwładnie spoczywała na nim. Zapłakał.

— Przekonałeś się pan już — przemówił wreszcie do niego dr. Kraspel, — dajże pan teraz chorej spokój, bo zaręczam panu, jako lekarz, że nie może szkodliwiej podziałać na jej umysł od takich eksperymentów. System nerwowy rozstrojony do tego stopnia, wymaga przede wszystkim wypoczynku, a nie rozbudzenia.

— Czy wróci ona do zdrowia? — zapytał zwątpia-
łym tonem.

— Nie mogę ręczyć, ale mam nadzieję. Od kilku dni
nastąpiło znaczne polepszenie... które pan teraz popsuleś. —
Przyznasz pan, że byłem cierpliwy, nie chcąc gorszej wy-
wołać sceny. Ale teraz proszę, jeśli pan masz jakiegokolwiek
względy dla chorej, zaprzestań pan dalszych prób!

Spojrzał na nią Oleś raz jeszcze z niewymowną bole-
ścią, ucałował jej ręce, odstąpił. — Patrzył na nią jeszcze
w milczeniu załzawionemi oczyma, długo, długo. — Chciał
odejść, ale u drzwi zatrzymał się znowu, spojrzał raz jesz-
cze. Łzy puściły mu się strugą po twarzy, zakrył oczy,
odszedł.

Za drzwiami wybuchnął płaczem, załamał ręce, za-
chwiał się i nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadł na
ławie, stojącej w sieni pod ścianą. Przesiedział tam większą
część nocy.

Udał się wreszcie na spoczynek, ale oka zmrzyć nie
mógł. Za ledwie świtać zaczęło, zbudził towarzyszy, kazał
osiadłać konie i samotrzeć ruszyli drogą ku Olchowcom.

* * *

Niebo zamglone wypogodziło się nad ranem zupełnie.
O siódmej Kraspel już był na nogach i wydał służbie po-
lecenie, aby pakowała rzeczy i przygotowała wszystko do
wyjazdu za godzinę. Na ósmą konie mają być zaprzężone:
w kilka minut po dziewiątej pociąg odchodzi ze stacyi. Do
stacyi pół godziny jazdy, trzeba więc wyjechać z krzyżo-
wskiej karczmy najpóźniej o kwadrans na dziewiątą.

Klaudia przeżyła noc spokojnie. Lekarstwo nie chybiło celu, spała. Rano, zbudziwszy się, przyjęła bez oporu posiłek. dozwoliła się umyć i ubrać.

Konie już zaprzężone, powóz zajechał, już ósma. — Ignacego dotąd nie ma. Oczekuje go niecierpliwie lekarz. Wyszedł na drogę, spogląda w lewo i w prawo, nie wie bowiem, w którą wczoraj udał się stronę. . . . Tam jakiś powóz widno w oddali — to pewnie on. . . .

Nie, jego konie siwe, te ciemnej maści. . . . Dokąd mu wczoraj tak było spieszo w tę ulewę? Co to mógł być za interes tak naglący? „Mógłbym się spóźnić“ powiedział, „może w ostatniej chwili nadjadę“.... Dziwna rzecz. Hm! hm! — dziwny człowiek!

I przypomniał Kraspel wypadki wczorajszego wieczoru. . . . Co się też stało z tym romantycznym młodzieńcem? Byle dziś znowu nie chciał napaść pacjentki i wrzeszczeć jej nad uchem: „Lodziu! Lodziu!“ . . . A może on gotów zrobić jaką awanturę mężowi? Trzeba przestrzedz pana Ignacego.

Spojrzał na zegarek. Wrócił do karczmy. Zapytał arendarza o Olesia. — „Ci trzej panowie na koniach? . . . ho, ci pojechali przed świtem. Nawet na kawę nie chcieli poczekać.“ — Pojechali? trzech ich było? . . . pojechali tak rano? . . . I tym widać było spieszo. . . . hm, hm! . . .

I przypomniał sobie nagle wyrazy Olesia: „on cię porwał — ale ja cię wyswobodzę! moją będziesz!“ — Wyswobodzi ją? . . . aha! już rozumiem! . . .

Zrozumiał w samej rzeczy. — No, za chwilę jeden z nich tu powróci. Ale który? . . .

Spojrzał znowu na zegarek. Kwadrans na dziewiątą. Czas ostatni. Wóz z kuframi wyprawił tedy naprzód na stację kolei. Z Klaudją trzeba czekać. Czwórka koni rąca, powóz lekki, będzie można pospieszyć. Jeszcze pięć minut czasu.

Nie wraca. Cóż zrobić, jeśli nie wróci? . . . A cóż, gdyby nie on, ale ten drugi powrócił? . . . Mniejsza o to ,

ten czy ów! każdemu byłbym potrzebny... Wolę jednak Ignacego — bo on za dwie mi zapłaci usługi, za kurację i za metrykę ślubną. Ho, ho! suto mi zapłaci!

Jeszcze chwila. — Słysząc tentent koni. Zatrzymały się przed karczmą... Który z nich?

Wbiega do sieni Ignacy.

— Jedźmy! jedźmy! — woła z fantazyą, ujrawszy lekarza. — Nie spóźniłem się! Mamy dość czasu.

— A więc szczęśliwie?

— Co szczęśliwie?... Aha! pan wiesz? Zkąd?

— Domyśliłem się. Szczęśliwie zatem?

— Dość.

— Jakto? dość tylko?

— O cał poniżej obojczyka.

— Ugrzęzła?

— Wyszła w pobliżu kości pacierzowej... Czy to śmiertelne?

— Prawie zawsze.

— Chwała Bogu. — A jakże dziś Klaudya?

— Lepiej, niż się spodziewałem.

W godzinę później przejeżdżali granicę w wagonie pierwszej klasy. W jednej przedziałce Klaudya z lekarzem i dwiema służącymi, w drugiej Ignacy, palący cygaro za cygarem i dalekie układający plany.

* * *

W dwa tygodnie później otrzymał pan Robert list w dużym formacie, zaopatrzony w zagraniczne marki pocztowe, a w nim dwa wystawione urzędownie dokumenty: metrykę ślubu zawartego *in articulo mortis* między Ignacym

i Klaudya i formalne pełnomocnictwo obojga małżonków, wydane na jego imię, do odbioru i zarządu klucza warty-nieckiego.

Zanim pan Robert zabrał się do czytania listu dwu-ćwiartkowego, przyglądał się wprzód dokumentom. Nie można było wątpić o ich autentyczności, wszelkie jej bowiem posiadały znamiona.

Zasepiło się zacne oblicze starca na wiadomość, jaką powziął z metryki ślubnej, że Klaudya „na łożu śmierci“ dopiero zawarła związek z Ignacym. A więc te straszne ciosy, które spadły na nią niespodzianie, przypawiły ją o niebezpieczną chorobę? Może umarło już biedne dziewczę? Przeczucie jakieś mówiło starcowi, że Klaudya już nie żyje.

Zadumał się starzec nad tym żałobnym dokumentem ślubnym i serce mu się ścisnęło żalem za córką tak niedawno zmarłego przyjaciela, nad którego grobem nie wyrosła jeszcze trawa.

— Ha! rychło ujrzał major swą jedynaczkę ukochaną, która odjechała go przed zgonem i nie zamknęła mu powiek do wiecznego snu — niewdzięczna!... Ale jeśli jest żywot po śmierci, to śmierć ich połączyła znowu, i pewnie córce przebaczył!... Dziwne to spotkanie musi być na tamtym świecie — jeśli jest...

— Może jej lepiej tam z ojcem, niżby jej było tu żyć z Ignacym?... — Kochała go — opuściła umierającego ojca dla niego! — Może to i prawda co mówił Ignacy?... któż wie, co tu prawdą?...

Miłość odradza ludzi do nowego życia, miłość podnosi upadłych i uszlachetnia. — Przypomniał sobie pan Robert rozmowę ostatnią z Ignacym na pogrzebie majora. Nigdy nie widział go tak skruszonym, tak pokornym, tak żałującym win swoich i obiecującym poprawę.

— Któż wie, czy ta miłość nie stałaby się dla niego wtórym chrztem żywota, zmywającym grzechy i nowe otwierającym drogi?... Wszak i ojciec jego podobnie szumiał za

młodu, a ożeniwszy się, powstrzymał się nad brzegiem przepaści i najzacieńszym stał się obywatelem, cześć sobie zdobył i szacunek powszechny. . . . Prawda, tak haniebnym nie dopuścił się nigdy czynów, jak Ignacy — a jednak to krew ta sama, ten sam temperament. Nie, nie trzeba tracić nadziei. Wszakże i ten nie zatracił w sobie wszelkiego już poczucia honoru i uczciwości, radby zmył winy swoje, radby naprawił krzywdy wyrządzone krewnym, pamięta, że jest Brwikiem i chciałby uchronić od plamy nazwisko. W moje ręce oddaje swój i żony swej majątek — mnie zawierza mienie swe, przyszłość i honor. Wszakże się wahać nie mogę? wszak to Brwicki!

— On i jego ojciec, to zawsze jedna krew! Burzy się, kipi, fermentuje — ale trzeba przeczekać cierpliwie, czy ocet, czy wino. Straciłem był nadzieję — straciłem może dla tego, że sam byłem najciężej dotknięty. Wstyd mi.

I postanowił pan Robert, z całą energią, na jaką stać jeszcze było racnego starca, zabrać się do uregulowania powierzonych mu interesów.

Raz jeszcze przyjrzał się nadesłanym dokumentom. — Powinny wystarczyć. — Datum..

Datum świadczy, że wówczas, w Wartyńcach, na pogrzebie majora, gdy Ignacy zaręczał, iż ślub się odbył, nie byli jeszcze zaślubieni. . . .

— No, nie można się dziwić temu kłamstwu, ani tak dalece mieć mu je za złe! Obawiał się, aby mu jej nie odebrano.

— Ślub na łożu śmierci?.. Może to tylko środek użyty dla tem łatwiejszego pominięcia wszelkich formalności, zezwolenia opieki, zapowiedzi itp.?.. Może panna młoda udawała śmiertelnie chorą, lekarz uproszony, lub ujęty zapłatą poświadczył niebezpieczeństwo, a księżysko j ki pocziwy, wprowadzony w błąd, połączył romansową parę?

I przypomniał sobie pan Robert podobne w życiu zdarzenie, w którym mimowoli zmuszony był odegrać rolę świadka.

— Pamiętasz ty, Onufry? — zapytał starego sługę, który właśnie podawał mu poranną kawę.

I śmiejąc się, przypomniał mu owo zdarzenie, dla obu pamiętne, jak pani Barbara, szafarka, śmiertelną niby złożona chorobą, po dokonaniu zaślubin i odejściu księdza, na równe nogi wyskoczyła z łóżka i tań-zyc zaczęła z radości.

Zaśmiał się poczciwy Onufry basowym głosem, rad, że na twarzy pana Roberta dawno niewidziana zajaśniała wesołość.

Pan Robert zabrał się wreszcie do odczytania listu Ignacego.

List ten był prawdziwym arcydziełem w swoim rodzaju. Nie podobna było trafniejszych obmyślić zwrotów, aby utwierdzić p. Roberta w wierze w zupełne przeobrażenie i odrodzenie moralne skruszonego grzesznika, aby bardziej zjednać go dla siebie i dla Klaudyi.

Co do zdrowia żony donosił Ignacy, że w samej rzeczy choroba Klaudyi wielkie wznieca w nim obawy, że jednak lekarze, zwołani na konsylium dobrą robią nadzieję, chociaż nie obiecują spiesznej rekonwalescencji. Kazali mu udać się do Włoch, gdzieby wpływ dobroczynnego klimatu i pięknej natury współdziałał z tą troskliwością, jaką on otaczać ją będzie. „Gdy się będzie czuć kochaną i szczęśliwą, przyjdzie do sił i zdrowia“ — tak go upewnił jeden z najznakomitszych lekarzy niemieckich. „Oh, jeżeli to prawda (pisał Ignacy), to o jej wyzdrowieniu wątpić nie mogę. Nigdy kobieta bardziej od Klaudyi kochaną nie była. Nigdy nikt bardziej odemnie nie kochał. Czuję się innym teraz człowiekiem, niepodobnym wcale do tego, jakim byłem. Miłość jej uświęciła mnie do nowego życia, obudziła we mnie wszystkie uspione dobre instynkty. Stanę się godnym nazwiska, które noszę, stanę się godnym ojca mego i twej przyjaźni stryju! Stanę się godnym Klaudyi!“

Nazajutrz po otrzymaniu tego listu, wyjechał p. Robert z Płotkowie, aby się zająć powierzonym mu uciążliwym zadaniem.

Z niemałemi trudnościami miał do walczenia. Rutyna, nabyta długoletniem doświadczeniem, znajomość interesów, wytrwałość niezłomna, wszystko byłoby może nie wystarczyło do rozwikłania tak strasznie poplątanych nici. Ogarniało go chwilami już zwątpienie, czy wyjdzie zwycięzko z tej kampanii, zbyt uciążliwej na jego wiek podeszły. Kredyt jednak niezachwiany, jakiego używał, szacunek powszechny, który mu jednał przyjaciół i sprzymierzeńców, cześć, jaką nawet osobiście nieznający go, byli dla niego przejęci, najsilniejszymi stały się dźwigniami, aby nie ugrząść w tem trzęsawisku, z którego pragnął wydobyć krewnego swego a syna swego przyjaciela.

Na wezwanie jego, ci sami Brwicey, którzy niedawno temu jednozgodnym wyrokiem zdecydowali byli, że „Ignacy umarł“, ubiegali się teraz na wysięgi o współudział w pracy oczyszczenia jego majątku i ocalenia jego dobrej sławy. Ten sam pan Paweł, który na naradzie familijnej w Płotkowicach zaproponował, aby go ogłosić za infamisa, z ramienia pana Roberta objął teraz zarząd gospodarstwa w Mianowie. A ten sam pan Kazimierz, który się domagał aby Ignacego zmusić do samobójstwa, albo „jak psa utopić“, rąbał się z jakimś szlacheicem, który poważył się ubliżyć dobrej sławie kochanego krewniaka.

Jeden tylko Oleś nie brał udziału w tej całej krzątaninie. Nikt go do tego nie wzywał, wiedzieli bowiem wszyscy, że Ignacy mu cięższą, niż innym wyrządził krzywdę, zabierając mu pannę, w której biedny chłopak od lat kilku szalenie był zakochany. Po pogrzebie majora znikł on wszystkim z oczu i nie wiadano wcale, gdzie się podziewa. Sądono, że wyjechał za granicę. W kilka dopiero tygodni dowiedziano się przypadkiem, że Oleś ciężko ranny „skutkiem wypadku jakiegoś na polowaniu“, leży w domu przyjaciela w Olchowcach. Matkę jego, która niepokoiła się, nie otrzymując przez czas tak długi listów od syna, przygotowano o ile można najogłędniej do bolesnej wiadomości,

wreszcie powiedziano jej, że syn walczy między życiem i śmiercią i pragnie z nią się obaczyć. Nieszczęśliwa kobieta i tak już srodze strapiona niebezpieczną chorobą córki, udała się bezwzględnie do Olchowiec.

Tajemnica pojedynku, wbrew temu, jak się zwykle dzieje, tym razem ściśle była zachowaną. Wypadek na polowaniu wydawał się zaiste nieprawdopodobnym, ale jeszcze nieprawdopodobieństwem większem przypuszczenie pojedynku z Ignacym, który, jak wiedziano, wyjechał z chorą żoną za granicę.

Pan Robert krzątał się gorliwie około interesów Ignacego. Największą może napotkał trudność w umorzeniu śledztwa, jakie skutkiem wniesionego oskarżenia o gwałtowne porwanie Klaudy z urzędu wytoczonym zostało. Doświadczenie jednak pana Roberta, stosunki przyjazne z wpływowymi osobami we wszystkich sferach towarzyskich, a wreszcie hojne szafowanie pieniędzmi, przeważały szalę i w tej także kwestyi, jak w tylu innych przeważać zwykło.

Wkrótce otrzymał pan Robert nowy list od Ignacego z Nizy, do którego, według zobowiązania, powziętego w liście poprzednim, dołączony był dokładny wykaz długów zaciągniętych, obligów na swoje i cudze imię podpisanych i sfałszowanych weksli. List z równem jak poprzedni mistrzostwem zredagowany, aby zjednać łaskę i przebaczenie pana Roberta, zawierał solenne pod słowem honoru zapewnienie, że nigdy już a nigdy w życiu nie dopuści się winowajca sfałszowania wekslu. — Wiadomości o stanie zdrowia Klaudy, były nieco pomyślniejsze, a przy końcu listu mieścił się dopisek pisany drżącą ręką kobiecą następującej treści:

„Drogi Stryju!... Przebacz Ignasiowi i mnie... Kochałeś mego ojca... Ratusz nas — *Klaudia*.“

Do listu dołączona była druga ~~ew~~ kartka, w której Ignacy do poprzednich wiadomości dodaje, że na wielką prośbę Klaudy, musiał jej zezwolić na przypisanie się do listu, bojąc się, aby odmowa szkodliwie na jej wielce roz-

drażnione nerwy nie wpłynęła. „Od jej spokojności zależy nadzieja jej wyzdrowienia — jakże trudno mi zapewnić jej ten spokój, w obec ciężkich trosk moich! I teraz także muszę tać przed nią grozę naszego położenia. Szczupłe fundusze, które zebrałem na drogę, już bliskie wyczerpania, a pobyt za granicą i życie w Nizy z temi wygodami i komfortem, jakich wymaga stan zdrowia mej żony, bajeczne za za sobą pociągają wydatki. Nie mam kredytu, weksli fałszować nie będę, nie mam udać się już do kogo, tylko do ciebie stryju drogi! Nie wiem, czy już objąłeś administracyę mego majątku i majątku Klaudyi, ale w żadnym razie nie opuszczaj nas i wydobądź choć kilka tysięcy, abyśmy tu nie zostali bez grosza“...

Zbyteczną rzeczą byłoby dodawać, że prośba ta nie pozostała bez skutku.

W liście, chłodnym na pozór, w którym niemniej dawna serdeczna dla Ignacego przebijała życzliwość, doniósł mu p. Robert o pomyślnym skutku swoich gorliwych usiłowań, wspomniał o szlachetnem współdziałaniu całej rodziny, nie zataił jednak, że uregulowanie interesów wymagać będzie sprzedaży jednej wsi Ignacego i znacznego obciążenia majątku Klaudyi. Przesyłając błogosławieństwo swoje stryjowskie nowożeńcom, p. Robert, do którego serca żywo przemówił przypisek Klaudyi, wyraził nadzieję, iż miłość jej uchroni na przyszłość Ignacego od popadnięcia napowrót w błędy swej młodości.

*

*

Wkrótce po wysłaniu do Nizy hojnego zasiłku, otrzymał pan Robert list następujący od Seweryna:

Gleichenberg w Styryi (Villa Höflinger). Wyjeżdżając do Włoch z chorą niebezpiecznie żoną, nie spodziewałem się kochany stryju, że w tak krótkim czasie zgłoszę się do ciebie z wiadomością, którą równie miło otrzymać ci będzie, jak mnie ją przesłać, bo z wiadomością pomyslną. Lekarze wiedeńscy zamiast do Włoch, wysłali żonę moją do Gleichenbergu, a wpływ tutejszego powietrza prawdziwie cudowny na płuca jej wywiera skutek. Wygląda ona coraz lepiej. utyla, kaszel ustał, a sił przybyło jej o tyle, że dość dalekie zaczynamy już odbywać przechadzki. Ja, który żadnej już wyzdrowienia dla niej nie miałem nadziei, teraz mam najlepszą. — Na zimę wyjeżdżamy do Włoch — a wiadomości, które mi dr. Czarka przysłał o Olesiu, pozwalają się spodziewać, że i Oleś z nami będzie mógł tam pojechać. — Biedny chłopiec! ileż on przebył! Jakiż to niewyczerpany zapas sił duszy i ciała, jeśli wszystko przetrwa szczęśliwie! Któż odgadnie, jaki go jeszcze los czeka, jaką niespodziankę chowa mu przyszłość?

Gorzko się uśmiechasz stryju, na ten wyraz „niespodzianka“ — a oto wyczytasz w mym liście, oprócz wiadomości o mej żonie, drugą, jeszcze może bardziej niespodzianą. Ale przebacz, muszę ci to szeroko opowiedzieć.

Na jednym ze spacerów naszych, przypatrując się pięknej willi, spostrzegliśmy wychodzącą z niej właśnie pannę, w której żona moja poznała dawniejszą swoją służącą, Karolinę. Zapytana z kim jest w Gleichenbergu, zawahała się z odpowiedzią. Zadziwiło to moją żonę — a Karolina spostrzegła, że tajemnica naraża ją na jakieś niesłuszne posądzenie. W obronie więc swej dobrej sławy, wyznała, że jest tu — z Klaudyą.

Wyobraź sobie stryju nasze zdziwienie! W willi tej właśnie mieszkała Klaudia! Moja żona chciała ją zaraz odwiedzić. Karolina jednak na to: „Moja pani chora i nie można jej odwiedzać“. — „Tembardziej, jeżeli chora, odwiedzę ją.“ — „Doktor nie pozwala“... Dziwnie się to wszy-

stko wydało podejrzanę. Po nitec do kłębka doszliśmy wszystkiego. Okropne rzeczy! Na szczęście, najgorsze już przemija.

Klaudia jest już bliską wyzdrowienia, ale straszną przebyła chorobę — obłąkanie!...

Poznaliśmy tego doktora i był zmuszony wbrew swej woli wiele nam rzeczy wyjawić, o których nam się nie śniło. Potrzebował pieniędzy. — Ignacego tu nie ma. Zostawił Klaudę pod jego opieką, sam pojechał „na dwa tygodnie“ w pilnych, jak mówi, interesach, do Włoch. ... Domyślisz się łatwo stryju, że pojechał, jak zwykle, do Monte Carlo. Pisał ztamtąd do doktora raz jeden, posyłając nader szczupły zasiłek pieniężny, a teraz, już od miesiąca, żadnej o sobie nie daje wiadomości. Fundusze przez niego zostawione i nadesłane z Włoch, wyczerpały się, a dr. Kraspel zmuszony był prosić mnie o pieniądze. ... Wściekłym on na Ignacego miota się gniewem.

Po dłuższem wzbranianiu się, widząc, iż to stawiam za warunek zasiłku, dopuścił nas do Klaudyi. — Wygląda ona nieźle, ale stan jej umysłu nie jest jeszcze normalny. Kraspel opowiada, że po wyjeździe z kraju, choroba jej przybrała tak groźną postać, iż z tego powodu, ślub, który się według jej życzenia miał odbyć w Rzymie, odbył się w jakimś małym miasteczku po drodze, żądała tego bowiem, czując się bliską śmierci. Czy też to wszystko prawda? — Opowiada dalej Kraspel, że gdy konającą przywrócono do życia, w następstwie nerwowej choroby, wrażeń doznanych i użytych dla ocalenia jej heroiczych leków, rozwinęło się obłąkanie. Wpadła w taką martwość umysłu i bezprzytomność, że przez kilka tygodni nie chciała przemówić ani słowa, a pożywienie przymusem wlewano jej w usta. — Dziś już je sama chętnie, szczególnie lubi owoce i łakocie, przechadza się w ogródku swojej willi i rozmawia.

To, co mówi, jest zwykle całkiem rozsądne. Bywają jednak dni, w których dziwne miewa przywidzenia, a inne znowu, w których milczy uparcie i zaledwie o kilka słów

uprosić ją można. Kilkakrotnie wspomniała moja żona w rozmowie o Olesiu, mówiąc o nim „mój brat“. Klaudya chętnie o nim zdaje się rozmawiać — ale również zawsze go swoim bratem nazywa. Jak to wytłómaczyć? — Innym razem opowiadała jej żona o tych klejnotach fałszywych, które, jak ci mówiłem, znaleźliśmy w skrytce biurka, kupionego na licytacji. Klaudya zerwała się przerażona i zawołała: „Tam były listy mojej matki!“...

O Ignacym zabronił lekarz do niej mówić, a ona też sama wcale o nim nie wspomina. Raz jeden tylko wymówiła jego imię, wzdrygając się przytem ze wstrętem i chwytając się oburącz za głowę. Zdaje się jednak nie pamiętać wcale o porwaniu, czy też ucieczce z Wartyniec i o wszystkim, co potem nastąpiło. Wie tylko, że była chora i że przyjechała do kąpiel z lekarzem. Sama opowiada o przebytej ciężkiej chorobie: „Tak mi było źle, że już traciłam przytomność, zdawało mi się, że zwaryuję. Ah, jakież okropne miałam przywidzenia!... Poczciwy doktor! gdyby nie on, pewniebym była zwaryowała!“ — O śmierci ojca oczywiście jej nie powiedziano. Żaliła się jednak pewnego razu, że ojciec na nią bardzo zagniewany. „A cóżem ja zawiniła?“ dodała, płacząc rzewnie. Kilka razy chciała pisać do ojca, ale doktor wzbrania jej czytać i pisać, a ona z dziwnem zawsze mu ulega posłuszeństwem.

Doktor przypuszcza, iż wkrótce nastąpi nowa faza w jej usposobieniu i że sama zacznie dopytywać się o wszystko, co przeszła od początku swej choroby, nie mogąc sama zdać sobie sprawy, co w jej wspomnieniach jest prawdą, a co przywidzeniem. Wtedy zwolna, ostrożnie, trzeba będzie wszystko jej powiedzieć. Ale jak ona to zniesie?

Doktor Kraspel utrzymuje, że wyzdrowienie jej nie podlega już teraz wątpliwości i jest tylko kwestyą czasu, byle tylko w ciągu rekonwalescencji nie doznała jakiego zbyt silnego wstrząśnienia. Tą obawą tłómaczy on niechęć, jaką zrazu nam okazywał w przypuszczeniu nas do Klaudyi.

Otóż, kochany stryju, moja żona, która, jak wiesz, zwykła zawsze dalekie roić projekty, cieszy się nadzieją, że Klaudia odzyska zdrowie i rozum, że Ignacy nie wróci już do niej i przypadnie gdzie w świecie bez śladu, że wreszcie Oleś ożeni się z Klaudya. Marzenia to, marzenia... ale któż zgadnie, czy się nie ziszczą?

Stary zamek w Gleichenbergu słynny tradycją o procesach czarownic. Powiedziałem mojej żonie, że jeśli doprowadzi do tego co zamierza, to ją tam pod sąd oddać będę musiał.

Kończę już przedługą epistołę i przepraszam, że cię nią utrudziłem. Ale kończę prośbą, udziel stryju tego listu doktorowi Czarce. Żywo go obchodzi los Klaudyi, a może uzna za właściwe Olesowi także co o niej powiedzieć.

Oboje z żoną całujemy ręce twoje kochany stryju i polecamy się twemu dla nas łaskawemu sercu.

Przywiązany krewny

Seweryn.

P. S. Wkładałem list do koperty, gdy mi zaanonso-
wano wizytę pewnego francuza, z którym zabrałem tu zna-
jomość. Rozmawiając o tem i owem, przyszliśmy na temat
gry hazardowej, a przy tej sposobności nadmienił francuz,
że właśnie otrzymał list od swego brata z Monte-Carlo,
w którym tenże donosi o dwóch samobójstwach w sali gry.
Pierwszy samobójca był to jakiś szwed, drugi zaś *un comte
polonais*. Jeżeli przeczuciom wierzyć można, to tym hrabią
polskim jest Ignacy. Ciągłe mi coś tak szepce w sercu. —
Gdybyż to było prawdą! ta wstrętna powieść jego życia,
nie mogłaby trafniejszego znaleźć rozwiązania.

* * *

Gdybyż to się w życiu wszystko kończyło tak, jak się zwykło kończyć w powieści!

Gdybyż to w życiu cnota zwyciężała zawsze, a zbrodniarz doczekał się zawsze pogardy, wstydu, hańby i kary, unicestwienia nikczemnych planów i rozpaczy!

Na co tu taić prawdę? na co czmucić ludziom oczy złotą baśnią, w którą nikt nie uwierzy?

Zwycięża często cnota. Ale i zbrodnia nieraz tryumfuje. Ileż to razy widzimy ją na zwyciężkim rydwanie! Ileż to razy niedosięgniona ludzkiej sprawiedliwości, zdobędzie ona, co zdobyć pragnęła i hardo podnosi głowę!

— Bądź cnotliwym, a zwyciężysz! — To morał chyba dla dzieci. Nie! godzi się prawdę ludziom powiedzieć całą: Bądź cnotliwym, a jeśli zwyciężysz, to zaznasz takiej szczęścia słodyczy, jakiej niezdolny uczuć zbrodniarz, choćby los najbardziej mu sprzyjał i wszelkie spełnił pragnienia i ziścił wszystko i najwybujałsze marzenie prześcignął swojemi dary!

— Bądź cnotliwym, a jeśli cię los pognębi i wszelkie zawiodą nadzieje, to i w największem nieszczęściu nie będziesz tyle się czuć nieszczęśliwym, ilebyś był nim, gdybyś się wyrzekł cnoty, gdybyś się wyzuł z tej zbroi, która cię czyni nad wszelkich mocarzy świata zbrojniejszym. — W największej niedoli znajdziesz jeszcze odrobinę pociechy, której zbrodniarz nigdy nie zaznał.

— Mądrością jest cnota, bo szczęśliwemu szczęścia przysparza, bo nieszczęście znośniejszem czyni.

Ten miłościwy, *altruistyczny* uczucia nastrój, sam przez się jest szczęściem, sam przez się słodyczą zaprawia dni żywota i za wszystkie świata skarby wyrzec się go nie warto. Kto go nie zaznał, ten nie uzna tej prawdy. Na próżnoby ślepemu mówić o świetle. Śmieje się. Litości godzin.

Ale nie, on się śmiać nie będzie, jak niewidomy z kolorów. On z hipokryzą będzie ci potakiwać. Jemu nie wol-

no wyjawić przed ludźmi swych niecnych uczuć, ani powiedzieć jakim jest. On nigdy sobą samym być nie może. On nigdy tego szczęścia nie zaznał. Zawsze spętany potrzebą udawania, fałszu, kłamstwa — nie zaznał nigdy wolności. Wśród ludzi czuje się jakby pośród szpiegów, dozorców więzienia i czychających na jego życie i mienie zbrodniarzy. Nieszczęśliwy.

Czyż nie wystarcza to piekło? Na co tu zgryzot sumienia? Bezsumiennosc sama jest piekłem. Na co tu straszyc innem?

Na co tu czmucic ludziom oczy zlotą baśnią, że cnota zawsze zwycięża? Czyż już sam prawdziwy zbrodni wizerunek nie wystarcza, aby wstręć do zbrodni obudzić? aby ukochać cnotę?

Moralność wymaga tej baśni, powiadacie? Czy sądzicie, że baśniom ludzie dzisiejsi uwierzą? Nie, słuszną sprawa tylko prawdą stoi.

Moralnem to tylko jest, co jest prawdą.

Niech więc za złe nie biorą nowszemu powiesciopisarstwu, że porzucilo kłamną baśń, w której cnota zawsze zwycięża, że kreśli ludzi takich, jakimi są, a świat takim, jakim jest.

Nie jest on takim zaiste, jakbyśmy pragnęli. Nie dzieje się w nim tak wszystko i nie wszystko tak kończy, jak się zwykle kończyło w powiesciach.

* * *

Kochany Olesiu!

Piszę w pokoju Klaudyi. Przed chwilą otrzymałam list najpoczciwszego doktora Czarki z twoim przypiskiem. A więc

już wkrótce ujrzymy was tu w Gleichenbergu! Nie zdołałabym ci opisać mojej radości! Wybieraj się, nie zwlekaj z wyjazdem, ale jedź krótkimi etapami, aby cię podróż zbyt nie utrudziła, widzę bowiem z charakteru twego pisma, że jesteś jeszcze bardzo osłabiony.

Na twój przyjazd najmilszą gotowałam ci niespodziankę — ale nie, po twoim kochanym przypisku, nie mam już serca, aby ci zataić, to, co do czasu ukryć chciałam. Seweryn ma słuszną: trudno kobiecie dochować tajemnicy. Słuchaj więc:

Po długim staraniu udało mi się wymóżyć na służących Klaudyi wyznanie zupełnej prawdy. Klaudya nie jest po ślubie! Ślub ten miał się odbyć za granicą, wedle dokumentu, który p. Ignacy przesłał stryjowi Robertowi. Otóż Karolka i Marysia gotowe są przysiąc, iż od wyjazdu z Mianowa ani na krok nie opuszczały swej pani a o ślubie nie wiedzą. Klaudya była zresztą przez cały ten czas umysłowo nieprzytomną, nie mogłaby zatem była dać zezwolenia. Stan jej zdrowia był ciągle jednaki, nieprawdą więc jest i to, jakoby na łożu śmierci związek ten przyszedł do skutku.

Starałam się także wybadać dra Kraspla w tej mierze, ale on wymijające daje odpowiedzi. Utrzymuje, że ślub się niewątpliwie odbył, ale że on nie był przytem obecny i że za pomocą kilku tysięcy potrafiłby się o to postarać, aby ten ślub był unieważniony. Mnie się zdaje, że on w tej intrydze miał jakiś udział. Zrobił on na mnie zrazu najlepsze wrażenie, ale Seweryn zaraz powiedział, że to „szczwany lis“ być musi.

Opowiadała mi Karolka o waszem spotkaniu się w karczmie w Krzyżowej.—Lodzia cię kocha, „mówi często o tobie, sama o tobie rozmowę zaczyna, ożywia się mówiąc i jestem przekonaną, że twój przyjazd do Gleichenbergu dopełni kuracyi, która jest na najlepszej drodze. Przyjeżdżaj!

Twoja siostra.

P. S. — Od stryja Roberta dawno nie mamy wiadomości. Czy nie chory? Seweryn doniósł mu, że dokumenta nadesłane przez Ignacego były podrobione; było to jego obowiązkiem przestrzedz stryja, że się dał podejść w tak niekzemny sposób. Biedny starzec, tak dbały o czystość swego imienia bez skazy, musi być niesłychanie przygnębiony tem odkryciem, że powagą swego nazwiska pokrywał najohydniejsze oszustwo. Obawiamy się, aby tego nie przyplącił zdrowiem. Seweryn radzi mu, aby jak najrychlej sam o tem złożył doniesienie do sądu.

* * *

Telegram z Nizy. Do p. Roberta Brwickiego. — Bóg mi poszczęścił. Rozbiłem bank *Monte-Carlo*. Milion franków drogą bankierską posyłam. Majątku Klaudyi proszę nie obciążać, mego nie sprzedawać. Wracam.

Ignacy.

* * *

Ischl (Hotel Bauer). Kochany Stryju Robercie
Przed trzema dniami telegrafowałem na wyjezdnem z *Gleichenbergu* do Olesia, telegrafowałem również i do stryja, prosząc o odpowiedź, czy Oleś przed wyjazdem z domu depeszę moją otrzymał. Żadnej odpowiedzi dotąd nie mamy i niepokoi nas to bardzo, bo jeśli Oleś przed nadejściem mego telegramu wyjechał już do *Gleichenbergu*, może się stać nieszczęście, bo może się tam Oleś spotkać z Ignacym. Nie

mamy sposobu zawrócenia go z drogi, bo nie wiemy na których stacyach zatrzyma się dla odpoczynku.

Czy telegram mój stryja nie doszedł? czy stryj może chory? Milczenie stryja niepokoi nas także. Depesza moja wszakże była zrozumiała? Powtarzam ją:

„Ignacy znaczne pieniądze Krasplowi nadesłał, zapowiedział rychły przyjazd. Kraspla zachowanie dwuznaczne. Uciekamy z Klaudyą do Ischl. Proszę zawiadomić bezwzględnie Olesia. Miejsca naszego schronienia zachować tajemnicę“.

Otóż w uzupełnieniu tej depeszy donoszę stryjowi, że jesteśmy w Ischl, plan nasz powiódł nam się wybornie. Tego dnia odbyliśmy z Klaudyą dłuższą przechadzkę. Pod pozorem, że czuje się znużoną i do swej willi wracać nie ma siły, zatrzymaliśmy ją na noc u siebie. Jej służące były wtajemniczone w spisek i dopomogły do przeniesienia najpotrzebniejszych rzeczy. Kraspel niczego się nie domyślał. Uciekliśmy nocnym pociągiem, zacierając najstaranniej wszelkie ślady obranego kierunku drogi. Ignacy przyjechawszy do Gleichenbergu, zastanie tam tylko swojego Kraspla. Obaj siebie godni. Toż to odbędzie się między nimi scena nieopłacona, jak z komedii jakiej żywcem wyjęta! Radbym się jej przypatrzeć! Ignacy rzuci się na niego jak wściekły tygrys.

Udało nam się. Kamień nam spadł z piersi. Tryumfujemy — a po nadejściu listu Ignacego, jego przesyłki pieniężnej i zapowiedzi przyjazdu, byliśmy przez dwa dni w wielkiej obawie, tembardziej, że zachowanie się Kraspla było więcej niż dwuznaczne, nasz sprzymierzeniec knuł najniewątплиwiej plan zdrady. Większych się on spodziewa korzyści z aliansu z Ignacym i z nim teraz trzymać zamierzył. Nie silił się nawet bardzo na maskowanie swoich planów. Nie przypuszczał, abyśmy mogli zdecydować się na taki krok awanturniczy, nie bał się nas, lekko sobie nas ważył. Ciekawy jestem, jaką teraz ma minę.

Tryumfujemy. Cieszymy się, jak żydzi po ucieczce przez Czerwone morze. Jedno nas teraz tylko nabawia je-

szcze niepokoju. Obawiamy się, aby w Gleichenbergu Ignacy nie spotkał się z Olesiem. Obaj nie wiedzą gdzie Klaudya, obaj będą wściekli, nie zastawszy jej tam. Mogłoby się stać jakie nowe nieszczęście. ...

Ale opisuję ci stryju szczegółowo o naszej ucieczce z niewoli egipskiej Kraspla, a nie doniosłem jeszcze o rzeczy najważniejszej i najpomyślniejszej. Nie zgadłbyś kto był najlepszym sprzymierzeńcem naszym i kto dziś najbardziej cieszy się z udania naszego planu. Klaudya!

Stan jej umysłu uległ nader korzystnej zmianie. Z każdym dniem cuci się ona z uspienia coraz bardziej i zaczyna zwolna przypominać sobie wypadki, które poprzedziły jej straszną chorobę. Wie, że ją Ignacy gwałtem porwał z domu rodzicielskiego — zaczynała kilka razy opowiadać mej żonie o nagłym zaślabnięciu majora, o ponocnej rozmowie z Ignacym, który jej pokazywał jakieś listy Olesia... W tem miejscu wybucha płaczem i przerywa, a potem już płaczą się jej myśli. Wie tylko, że Ignacy ją gwałtem porwał, że jechała z nim kareta i wołała o pomoc... „a potem... prawda? ja zwaryowałam?... Dalej już nie wiem. ...“
Moja żona bardzo trafnie postąpiła, prosząc, aby o tem nateraz nie myślała i nie przypominała sobie tych strasznych wypadków: „Nie myśl już o tem Lodziu! Wszystko będzie dobrze, już jesteś zdrowa!“ I zaczęła mówić jej o bliskim przyjeździe Olesia. Na to Klaudya: „Dobrze, ale powiedz mi: to ojciec mnie tu wysłał z Krasplem?“ — Wiedząc o jej zaufaniu do Kraspla, wahała się moja żona z odpowiedzią, aż do chwili, gdyśmy powzięli zamiar ucieczki. Otóż, skoro się Klaudya dowiedziała, że doktor Kraspel jest figurą Ignacego i że Ignacy ma przyjechać, aby ją znowu porwać, prosiła ze łzami aby ją ratować i zgodziła się bez namysłu na nasz plan. W wykonaniu go żadnej z jej powodu nie mieliśmy trudności. Jest ona najniewątpliwiej bliższą już zupełnego wyzdrowienia. Jakież to szczęście będzie dla Olesia!

Kończę już stryju, bo czas list oddać na pocztę. Gdybyś wiedział, gdzie się Oleś w drodze do Gleichenbergu zatrzymać zamierzał, to zatelegrafuj do niego, aby jechał do Ischl.

Oboje z żoną ręce twoje całujemy. Moja żona ma się wcale dobrze. Utyła i nie kaszle teraz nie prawie.

Seweryn.

* * *

Ischl (Villa Molkensieder). Kochany Stryju Robercie! Przed kilkoma dniami pisałem do stryja, donosząc o naszym przyjeździe do Ischl. Wczoraj w nader ważnej sprawie telegrafowałem, dotąd jednak nie mam odpowiedzi, co mnie bardzo niepokoi, bo sprawa była nagląca. Żądałem od stryja wstrzymania wszelkich kroków prawnych przeciw Ignacemu, do których sam poprzednio stryja nakłaniałem. Powód tego żądania jest tego rodzaju, że nie mogłem go podać w depešy. Powodem tym jest smutne nad wszelkie wyrazy odkrycie, które inaczej nam na całą sprawę zapatrywać się każe. Nadanie sankcyi związkowi, którego unieważnieniem cieszyliśmy się przedwczesnie, dziś niestety stało się požądanem. Symptomaty, które moja żona z przerażeniem dostrzegła, potwierdził przywołany lekarz. Rzecz nie podlega wątpliwości. Wyjaśniają mi się teraz półsłówkami podawane propozycye Kraspla, których nie rozumiałem. — Biedna Klaudya coraz zdrowsza, dziś w usposobieniu prawie wesołem, nie jest świadomą ogromu swego nieszczęścia. Niewinna, jak dziecko. Patrząc na nią, serce się kraje.

Od Olesia żadnej nie mamy wiadomości. Matka pisała do mej żony, że przed nadejściem mej depešy wyjechał do Gleichenbergu. — *Seweryn.*

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DOMÓWIENIE.

Wracamy do jaworzyńskiej karczmy, do towarzystwa turystów tatrzańskich, któremu Władysław czyta *tom drugi*.

Czytanie powieści przeciągnęło się do późnej nocy.

Słuchacze widocznie byli znużeni — czy znudzeni. Jedna tylko pani Katarzyna z wzrastającym zdawała się słu chać zajęciem. Nie spuszczała prawie wzroku z twarzy autora, jakby chciała szukać w sympatycznych rysach Władysława, tego, czego brak czuła w powieści: — ideału. Maluchną rączką podparła śliczną swą główkę, a uroczą jej i pełną życia postać, w odblaskach dogasających płomieni kominika najpiękniejszy tworzyła obrazek.

Władysław podnosił czasem na nią zachwycone oczy, w których jaśniało szczęście. Najwstrętniejsze, pełne rażącego realizmu sceny, jakich w jego powieści nie braknie, nabierały pewnego poetycznego uroku dla niego i dla niej — a to siłą kontrastu z temi uczuciami, które napełniały ich serca. Wobec wstrętnej postaci Ignacego, tem piękniejszym był dla niej Władysław. A on, odczuwał w Ignacym urojonego rywala, który mu chciał zabrać panią Katarzynę. — Czytał z przejęciem, godnem lepszego dzieła.

Nie podzielała tych uczuć reszta towarzystwa. Pani Leonowa mrugała na męża z oznakami niecierpliwości. Na bożna warszawianka, pani Teofila, zdawała się przy niektórych scenach zgorszona. Pani Wanda, urodziwa lwowian-

ka, z widocznym zadowoleniem przypatrywała się zakochanej parze, bawiąc się raczej sceną życia, niż czytana powieścią. — Pan Leon, zajęty ciągle swoim katarem, słuchał z roztargnieniem i co chwila dokładał drewniek do kominka. Rad oczekiwał końca. Pan Hieronim nudził się niepospolicie i ziewał ukradkiem, zakrywając usta szeroką dłonią. — Co do mnie, słuchałem zrazu uważnie — później odbiegłem myślą daleko i całkiem straciłem wątek. Zelektryzowały mnie dopiero ostatnie słowa: „Koniec tomu drugiego“.

— Łaskawi państwo! — zawołał pan Hieronim — późno już bardzo. Już po północy *moścudzieju*. Deszcz ustał, wypogadza się. Jutro rano trzeba będzie wyruszyć w drogę. Chodźmy spać!

Wszyscy powstali z swych miejsc.

Tu nastąpiły podziękowania konwencyjonalne, składane autorowi za „tak mile spędzony wieczór“ i udaliśmy się wszyscy na spoczynek.

Dobranoc — dobranoc. A od pani Katarzyny dostało się Władysławowi na dobranoc, przy cieplejszem niż zwykle uściśnieniu ręki, takie spojrzenie — że myślał o niem, dopóki nie zasnął, a zasnąwszy, śnił o niem aż do rana.

Nazajutrz o świcie, wysłany z Zakopanego posłaniec przyniósł mi nadeszły do mnie telegram, wzywający mnie do Krakowa. Z żalem pożegnałem towarzystwo odjeżdżające do Szmeksu i udałem się w drogę z powrotem.

O powieści Władysława nie mówiłem z nikim, zapomniałem wkrótce o niej. Nie wiem jaki o niej wyrok wydali słuchacze. — —

Z zakochaną parą spotkałem się w rok później. Byli już ci państwo po ślubie. Zaprosili mnie uprzejmie do swego domu, na wieś. Pojechałem.

Najmilsze odniosłem wrażenie z pobytu u nich. Miło gościem być w domu, gdzie gości szczęście.

Drugiego czy trzeciego dnia mej bytności w ich dwor-
ku, pani Katarzyna, korzystając z nieobecności męża,
zwróciła się do mnie z przychlebnym uśmiechem:

— Mam do pana prośbę! a sądzę, że mi pan nie
odmówi?

— Jeśli tylko mogę, spełnię z rozkoszą każdy rozkaz
pani.

— „Z rozkoszą“? jak to pięknie! .. Otóż, możesz pan,
możesz. Ale przyrzeknij mi pan, że zrobisz, o co proszę!

— Przyrzekam, choć nie domyślam się wcale, czego
pani sobie życzy.

— Słuchaj pan więc. Otóż mąż darował mi drugi tom...

— Drugi tom? — zapytałem zdziwiony. — Jakiego
dzieła?

— Ach! czyż pan zapomniałeś o jego powieści, czy-
tanej w karczynie jaworzyńskiej?..

— Wiem, wiem już. To drugi tom tej powieści, któ-
rej pierwszy skazałaś pani na spalenie w kominku?

— Nie przypominaj mi pan tego! — odrzekła prawie
ze łzami. — Otóż mąż nie chce pierwszego tomu pisać po-
raz wtóry, ani powieści dokończyć. Został drugi tom i jest
moją własnością. Jabym chciała, abyś go pan podał do
druku.

— Drugi tom? powieść bez początku i końca?

— Tak.

— Ależ...

— Nie mów pan nic. Wiem, co pan chcesz powie-
dzieć, bo to już słyszałam od Władysława. Wszyscy pano-
wie chorujecie na hiperkrytycyzm i doktrynerską estetykę.
Powieść, jest to epizod społecznego życia, a to życie nie
ma początku i końca. Trzy tomy byłyby tak samo urywkiem
całości, jak tom drugi... Śmiejesz się pan? Dobrze, śmieję
się pan jak chcesz, ale spełń moją prośbę!

— A Władysław co powie na to?

— On nie ma prawa dysponować swoją powieścią, bo mi ją darował. Zastrzegł sobie tylko, aby nie wyszła pod jego nazwiskiem.

— Ha, kiedy taka nieodmienna wola pani, spełnię, co rozkażesz.

— Dziękuję panu najserdeczniej! — i podała mi rękę przyjaźnie.

— Ale możeby ją wydać tylko w jednym egzemplarzu... dla pani? — dodałem z uśmiechem.

Pani Katarzyna spojrzała na mnie nawpół z gniewem.

— Zawsześ pan taki sam! Starasz się być złośliwym. Czy to pięknie? Cóż pan właściwie chcesz przez to powiedzieć? Że powieść nie nie warta, że nie zasługuje na wydrukowanie? — Zostaw pan sąd publiczności.

— Zostawię, łaskawa pani, zostawię! Ale to nie przeszkadza, abym miał także sąd własny.

— A więc panu nie podoba się ta powieść? Radabym wiedzieć, co się panu w niej nie podoba?

— Wszystko. Nie ma tam ani fabuły zajmującej, ani jedności akcyi, ani dramatyczności opowiadania, ani charakterów należycie umotywowanych, ani...

— Dosyć! dosyć panie! przez litość! bo mi się zdaje, że czytasz pan formułkę, wedle której piszecie wasze krytyki. Przystąpmy do zarzutów po jednemu.

— Słucham pani.

— A więc najprzód co do „fabuły“: mnie ona zajmuje. A sąd kobiety w tej kwestyi, czy książka jest zajmującą lub nie, waży więcej od wszystkich krytyków razem. Co do „jedności akcyi“: wszak skupia się całe działanie wkoło porwania Klaudyi?...

— Ale jakaż to architektonika! jakaż to budowa tej powieści! jakaż to dysproporcya epizodów!...

— Zapominasz pan, że znasz tylko drugi jej tom: czyż można wyrokować o architekturze jakiejś budowli, jeśli się widzi tylko środkowe jej piętro...

— Można łaskawa pani, z niepotrzebnych przystawek, ryzalitów, ornamentacyj, sądzić o wadliwości planu. Pocóż np. ta rozwlekła narada w domu pana Roberta, kiedy rzecz cała mogła być opowiedziana w trzech słowach: „Rodzina postanowiła zerwać z Ignacym stosunki“. Po co następnie cała scena w Sosnówce, w domu p. Seweryna, nie związana niczem z całością? Chyba na to, aby umotywować mniemaniami suchotami p. Sewerynowej, wyjazd jej za granicę, a oraz wyjaśnić, jak się Oleś dowiedział o chorobie majora? Nie potrzeba było na to takich przygotowań. — A te sążniste konferencye Ignacego z adwokatem i z doktorem w wartynieckim ogrodzie, ten szczegółowy opis pogrzebu, te narady z Krasplem, te monologi Ignacego w powozach, bryczkach itp., czy to posuwa akcyę naprzód? Bynajmniej! To ją zawsze tylko przygotowuje lub omawia fakt już dokonany. Kreślenia scen prawdziwie dramatycznych Władysław starał się unikać. Czemuż np. nie opisał szczegółowo pojedynku Olesia....

— Cóż bardziej zużytego, jak opisy pojedynków!

— Czemuż urwał opowiadanie o porwaniu Klaudyi na scenie w kościele zaroślinieckim, a nie opowiedział nam podróży dalszej do Mianowa i pierwszych dni tam spędzonych, które ją tam przyprawiły o utratę zmysłów....

— Daruj pan, ale to powód jasny. Mnie się zdaje, że to był jedyny sposób, aby unikać w opowiadaniu scen zbyt drastycznych — w rodzaju Zoli, Goncourta itp. Pozostawił je autor wyobraźni czytelnika.

— Niech i tak będzie. A jednak nie unikał on gdzieindziej opisów rażących nieestetycznym realizmem, n. p. wstrętnego opisu chorób i śmierci. Przypomnę pani tylko konanie majora, suchoty pani Sewerynowej, obłąkanie Klaudyi. Pełno ich w powieści. Wymień mi pani natomiast choć jedną scenę, któraby miłe po sobie zostawiła wspomnienie. Same choroby, śmierci, pogrzeby i łotrostwa.

— Ależ to obraz życia, a nie idylla!

— Życie się nie składa z samych stron ujemnych. Cóż to za obraz być może bez światła, obraz złożony z samych cieni! — Ale dajmy temu pokój. Przystąpmy do charakterów. — Otóż jedyny wyrazistszy charakter powieści, to Ignacy. Pomijam, że to postać w najwyższym stopniu wstrętna, ale to co wiemy o zacnej rodzinie Brwickich, nasuwa nam ciągle pytanie, jakie wpływy mogły wytworzyć takiego między nimi wyrodka? Rozwiązania tej zagadki oczekujemy daremnie. Wzmianka o cioci Marysi, która go zaprawiała w pisaniu anonimów i naśladowaniu cudzego piśma, zaiste nie wystarcza. ...

— Zapominasz pan, że tom pierwszy...

— Że tom pierwszy spalony został z pani rozkazu? Każesz mi pani wierzyć, że tom pierwszy był arcydziełem. Byłby nim także i tom trzeci, gdyby go był autor napisał... Jaka szkoda! — Ja jednak wracam do tomu drugiego, bo ten tylko mamy w ręku. — Jeśli się ten drugi tom pani podoba, to nie uwierzysz pani jak mnie to cieszy. ...

— Nie przypuszczałam. Czemuż to pana tak cieszy?

— Bo świadczy to najwymowniej o przywiązaniu pani do mego przyjaciela. Miłość jest ślepą.

— Nie mów pan o mnie, ale o charakterach powieści.

— Cobyś pani powiedziała o dramacie, którego bohater przez cały czas przedstawienia, od początku do końca pozostawałby na scenie? Otóż i tu bohater (miły bohater!), p. Ignacy, z wyjątkiem kilku epizodów, które bez szkody dla całości opuścićby można, od początku do końca nie schodzi ze sceny. Nuży to i niecierpliwi czytelnika niepospolicie, że przez cały tom nie opuszcza go prawie ani na chwilę figura ta wstrętna, z którą w życiu pewnie żadnej nie szukałby znajomości. — Drugą wybitniejszą postacią jest Kraspel, łotr nie mniejszy od Ignacego. — Klauzdia pozostaje w półcieniu: w pierwszej scenie sprawia ona wrażenie naiwnej sentymentalnej gąski, w dalszych występuje już jako okaz dla psychiatry. — Oles? Olesia nie znamy prawie:

wygląda on jak niedowarzony, romantyczny młodzieniaszek. Oboje kochankowie nie są w stanie zainteresować nas szczerze i obudzić naszej sympatii. Tem mniej major, którego poznajemy jako paralytyka już nawpół nieprzytomnego na łożu śmierci. — O poczciwym panu Robercie słyszymy wiele dobrego, ale nie widzimy go w akcji. Z powodu zbyt daleko posuniętej jego pobłażliwości i łatwowierności, sprawia on na nas wrażenie nawpół zdziecinniałego starca, a rysy jego charakteru nie występują dość wybitnie. — Poczciwy dr. Czarka tem się tylko charakteryzuje, że w zamysleniu wyciąga dwoma palcami dolną wargę i powtarza swoje *no, no*. — Poczciwy proboszcz mówi ciągle *bójcie się Boga*, fajki z ust nie wypuszcza i o jedzeniu myśli. — P. Bartłomiej opowiada facecyjki szlacheckie i przy każdym żywszem słowie szybkim ruchem otwiera i zamyka szerokie dłonie. — P. Wenanty ma przysłowie: *Przemienienie Pańskie*; — p. Józef ciągnie ślamazarnie słowo za słowem; — głuchawy Onufry otwiera usta, aby lepiej słyszał opowiadanę przez p. Bartłomieja facecyjki i śmieje się basowym głosem. — P. Paweł, który za młodu zakochawszy się nieszczęśliwie, chciał sobie życie odebrać, ożenił się potem i ma dziewięcioro dzieci; — p. Cypryan stracił wiele pieniędzy na świdy, uparłszy się, aby znaleźć węgiel kamienny w majątku, w którym go nie było; — p. Marcei, p. Adam, p. Seweryn, p. Kazimierz itd. wszyscy mają podobne właściwości i znamiona, ale te nie stanowią jeszcze wybitnej charakterystyki typów, któraby dla nich nas zainteresować mogła, któraby nam kazała pokochać ten światek poczciwych ludzi i znajdować przyjemność w ich towarzystwie. Tak nam nieswojsko między nimi, jak w towarzystwie Ignacego i Kraspla. — Aby się powieść podobała czytelnikowi, potrzeba, żeby go autor wprowadził w towarzystwo, w którym miłoby mu było przebywać, w którym albo ubawić się można, albo poczuć do kogoś żywszą sympatię. Tego o powieści Władysława powiedzieć niepodobna...

— Zapomniałam, że pan sam jesteś autorem. Zazdrość z pana przemawia. Jeśli pan nie dotrzymasz przyrzeczenia i drugiego tomu nie podasz do druku, będę myślała, że...

— Przyrzekłem, więc dotrzymam.

— Przekonasz się pan, że powieść będzie czytana z zajęciem.

— Obaczymy, łaskawa pani. Może pani będziesz żałować, żeś z drugim tomem nie postąpiła jak z pierwszym.

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat, Nr 72

00-830 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

5

2614